www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 34 (1128)
16-22.08.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Krzysztof Jasiewicz
Gra idzie o przejęcie państwa

Prof. Zbigniew Lasocik
Handel ludźmi to polski wstyd

Prof. Zygmunt Zdrojewicz
Seks dobry na bóle głowy

Arkadiusz Jakubik
Czekam na rewolucję w Kościele

Banaś kontra Ziobro

BEZ LITOŚCI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 34 >
9 771509 311102

Nowy podcast tygodnika PRZEGLĄD

SŁUCH! SŁUCHAJ! POSŁUCHAJ!

Dużo więcej niż kolejny podcast

LEWICOWY GŁOS W TWOIM UCHU!

SŁYSZYSZ LEPIEJ, WIDZISZ DALEJ, ROZUMIESZ BARDZIEJ

ZNAJDZIESZ NAS NA:

Przegląd

eprasa.pl 4a35c65921

Roman Kurkiewicz

Bronię TVN, ale…

Jest oczywiście paradoksem, że obecny kryzys wywołany przez lex TVN czyni z tej stacji symbol i ostoję wolności słowa, wzorzec medium demokratycznego, gwaranta kontroli władzy i niezależności odmienianej przez wszystkie przypadki. TVN ani żadna z jej podstacji takiej funkcji nie pełni i nie pełniła z prostej przyczyny: to przede wszystkim biznes, którego pierwotnym celem, głównym zadaniem i jedyną racją istnienia jest pomnażanie zysku, zarobek. Jeśli można zarobić na informacji i publicystyce – kapitalizm zarabia. Przy okazji zdarza się, że wejdzie mocno i celnie w jedną z medialnych powinności. Kiedy jest w wyraźnej opozycji do aktualnej ekipy rządzącej, może to nawet wyglądać na funkcję kontrolną, krytyczną, sprawdzającą. Przy innej konfiguracji politycznej ta energia słabnie i siada. Nie można o tym zapominać, pamiętając równocześnie, że władza nie powinna mieć narzędzi do recenzowania, tym bardziej w sposób tak karkołomnie bezprawny jak pisowski „reasumpcyjny" wobec TVN (TVN 24) – z której swoją drogą politycy odpowiedzialni za ten stan rzeczy niemal nie wychodzą. Choć oczywiście ulubioną kategorią do zapraszania są nawróceni (niektórzy po wielokroć), ozdrowieńczo krytyczni byli ministrowie czy posłowie tej formacji. Gdyby policzyć ile tefałenogodzin wypełnili Giertych, Sikorski, Gowin, to nie wiem, czy TVP Info by tę kwotę przebiło.

Taka jest polityka medium jako biznesu, czyli precyzyjniej biznesu mediopodobnego. Żadną miarą nie czynię z tego zarzutu stacji, dla której przez dwa lata robiłem niemal codzienny programik. Jednak chciałbym, żeby to jasno widzieć i rozumieć. Taka forma mediów, prywatnych, dzisiaj będących własnością globalnego potentata, kiedy staje się ostatnią „nadzieją wolności", jest bolesną konsekwencją jednej z największych porażek Polski potransformacyjnej, czyli niezbudowania mocnych, stabilnych, finansowanych przez państwo mediów publicznych, niezależnych równocześnie od zmieniających się rządów. Takie media winny służyć nam – społeczeństwu, a nie Polsce, narodowi, państwu, rządowi, władzy czy partii.

Na tej pustyni, wyhodowanej przez wszystkie ekipy polityczne po 1989 r., które nie uznały zbudowania prawdziwych mediów publicznych za istotne dla demokracji, wyrasta fałszywy kwiat wolności – media prywatne. Tak, pozostając bardzo krytyczny i wobec treści, i modelu je tworzącego, bronię TVN przed ingerencją władzy – nie bardzo licząc na wzajemność. PiS akurat jest bardzo niedobre, ale przyszłościowo to lewica na uczciwe potraktowanie tamże nie może liczyć.

BĄKOWSKI

NIE PRZEGAP!
Co poniedziałek
na naszym kanale na YouTubie
i na Facebooku rozmowy
z prof. Joanną Schiller-Walicką
o testamencie politycznym
prof. Andrzeja Walickiego

CYTATY

EWA LIPSKA, poetka
Podobno Historia zatacza koło. Gorzej, kiedy zatacza kwadrat. Historia do kwadratu to już trójkąt bermudzki.
„Kraków"

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO, filozof
PiS bezczelnie hoduje i bezczelnie dowartościowuje „ciemny lud", bo ów lud „wszystko kupi" i niewiele rozumie.
Wiadomo.co („Trybuna")

eprasa.pl 4a35c65921

W NUMERZE

KRAJ
8 **Banaś i Ziobro: bez przebaczenia**
Kto kogo wsadzi za kraty
12 **Polska nie jest już liberalną demokracją**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Jasiewiczem
14 **Czy Polak jeszcze potrafi?**
Nadal nie ma leku na covid
22 **Wstyd, że Polska słabo radzi sobie z handlem ludźmi**
– rozmowa z prof. Zbigniewem Lasocikiem
26 **Szturm na Hel**
Lato bije rekordy frekwencji

SYLWETKI
18 **Mark Brzezinski – co może ambasador?**
PiS się go boi. I słusznie

ZAGRANICA
28 **Wirus na platformie**
Dezinfomacja w mediach społecznościowych
31 **Ciało kobiety, własność mężczyzny**
Korespondencja z Salwadoru i Hondurasu

OPINIE
34 **Janusz Rolicki**
TVN albo kryminał!
41 **Piotr Ciszewski**
Kretynizm parlamentarny

KSIĄŻKI
36 **Andrzej Walicki**
Sprawiedliwość na pasku polityki

HISTORIA
38 **Sądy polowe w III powstaniu śląskim**

KULTURA
42 **Osobnik raczej analogowy**
– rozmowa z Arkadiuszem Jakubikiem
46 **Qulturalia**
47 **Pragnij przemiany**
Odważny festiwal w Świdnicy
56 **Malowane na drewnie**
66 **Julia Curyło. Kosmogonie**

SPORT
48 **Arcymistrz Duda**
Polski szachista zdobył Puchar Świata

ZDROWIE
50 **Jak to robią Polacy?**
– rozmowa z prof. Zygmuntem Zdrojewiczem

ZWIERZĘTA
52 **Krzykacz**
Mniej znane łabędzie krzykliwe

EKOLOGIA
58 **Spalony temat kryzysu klimatycznego**
– rozmowa z Davidem Wallersteinem

FELIETONY I KOMENTARZE
Roman Kurkiewicz
3 Bronię TVN, ale…
25 Reasumpcja po staropolsku
17 **Jan Widacki**
Eufemizmy
21 **Andrzej Romanowski**
Tryptyk o sensie I. Polska
45 **Tomasz Jastrun**
Młot narodowy
55 **Wojciech Kuczok**
Trzeźwica

26
KRAJ

SZTURM NA HEL
Lato bije rekordy frekwencji

42
KULTURA

OSOBNIK RACZEJ ANALOGOWY
– rozmowa z Arkadiuszem Jakubikiem

52
ZWIERZĘTA

KRZYKACZ
Mniej znane łabędzie krzykliwe

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

eprasa.pl 4a35c65921

Dziękuję, Profesorze!

Od lat jestem stałym czytelnikiem PRZEGLĄDU. Mam wiele uznania dla całego Zespołu i stałych Felietonistów. Dziś w sposób szczególny dziękuję za felietony prof. Andrzejowi Romanowskiemu. Wyważone, a jednocześnie śmiałe, nieraz zaskakujące opinie, mądre przesłania, obiektywne, wbrew retoryce IPN i PiS, oceny przeszłości. Taki też jest wydźwięk najnowszej książki Profesora, „Pamięć gromadzi prochy". Poglądy Profesora pozwalają mi – pod rządami PiS – czuć się pewniej i lepiej, dają oparcie i nadzieję...

20 sierpnia tego roku Profesor obchodzi jubileusz 70-lecia. Zdrowia i wszelkiej pomyślności, Jubilacie! Dalszych wspaniałych publikacji, kolejnych tomów Polskiego Słownika Biograficznego. *Ad multos annos*, Profesorze!

Rafał Skąpski

Zbrodnia czy chwała?

Im więcej czytam o powstaniu, tym bardziej jestem przekonana, że to była straszna, niewybaczalna zbrodnia i nic tu nie pomogą romantyczno-patetyczne bajania, że wszyscy muszą się z nami liczyć, bo tacy jesteśmy niepokorni. Tak się liczyli, że Warszawa została spalona, a o gwałtach na kobietach zaczęło się mówić dopiero niedawno, i to też w dużej mierze dzięki książce Agnieszki Cubały. Gwałty wojenne na kobietach i dzieciach to ciągle temat tabu, a są one zbrodnią i źródłem traumy na całe pokolenia. Ale cierpienie ofiar nie robi takiego wrażenia jak patetyczne bieganie 10 chłopaków z jednym karabinem i nie jest polityczną kartą przetargową. Oczywiście wielki szacunek dla powstańców, rozmowy z nimi były dla mnie bardzo inspirujące i oni dalej inspirują, zwłaszcza zabierając głos na temat tolerancji w Polsce. Ale nie ma przebacz dla tych, którzy o powstaniu zdecydowali.

Anna Kam

Wojny i wojenki Wojska Polskiego

Nie mamy odpowiedniej bazy warsztatowej i za siedem lat te czołgi będą złomem. Czołgi to broń ofensywna, my potrzebujemy dobrej obrony przeciwlotniczej i przeciwpancernej oraz trochę samolotów, chyba że PiS chce atakować ateistyczne Czechy.

Kamil Garbowicz

•

Szaleństwo ogarnęło nie tylko klasę rządzącą, skoro powszechnie akceptuje się wydawanie miliardów na bezsensowne zbrojenia, kiedy brakuje ich na cele rozwojowe kraju, a przede wszystkim na walkę z pandemią. Gdyby jeszcze te środki służyły stworzeniu miejsc pracy w polskim przemyśle... Niestety, polski przemysł i armia bazują na importowanym uzbrojeniu, głównie amerykańskim, którego zakupy są podyktowane nie potrzebami naszego wojska, tylko bieżącą polityką. Ktoś policzył, ile kosztuje to szaleństwo? Samoloty F-35 za 4 mld, czołgi za 23 mld, stare fregaty, baterie patriotów...

(…) Żałuje się pieniędzy na dzieci, awanturuje o podniesienie składki zdrowotnej, a lekką ręką pozwala na wydanie miliardów na czołgi. To, jak rozumiem, jest słuszne „rozdawnictwo", kiedy pieniędzmi polskiego podatnika zwiększa się zyski korporacji zbrojeniowych oraz banków, w których nasz kraj się zadłuży, by się zbroić.

Paweł Stawicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Stadion Camp Nou – pracownicy usuwają wizerunek odchodzącego z FC Barcelony argentyńskiego napastnika Lionela Messiego. Messi grał dla katalońskiego klubu od 2000 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4a35c65921

Prof. Andrzej Romanowski, wybitny humanista, uczony o znakomitym dorobku naukowym i wielkim wkładzie w rozwój nauki i kultury, wykładowca akademicki, publicysta i nasz komentator, obchodzi 70. urodziny. *Ad multos annos*, Drogi Profesorze.

Andrzej Kraśnicki, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, i cały sztab przygotowujący naszą ekipę do występów w Tokio. Za 14 medali sportowcy dostaną ponad 2,2 mln zł premii (120 tys. za złoto, 80 tys. za srebro i 50 tys. za brąz w sportach indywidualnych).

Pracownicy Paroc Polska w Trzemesznie, wielkiego producenta materiałów budowlanych i izolacji, po tygodniowym strajku dostaną podwyżki i dodatki stażowe. Był to największy od lat strajk w korporacji.

Solidaryzujemy się z fanpage'em Socjalizm Teraz i jego redaktorem naczelnym Tymoteuszem Kochanem, którzy zostali ocenzurowani przez Facebooka. Jedna z najstarszych stron lewicowych zniknęła z portalu społecznościowego bez żadnego ostrzeżenia.

400-letni dąb szypułkowy Dunin z gminy Narew (powiat hajnowski), mający 13 m wysokości i prawie 7 m obwodu, został drzewem roku.

O 5% wzrosły w lipcu ceny towarów i usług. Takiej inflacji nie było od 10 lat. Napędzają ją drożejące paliwa i rosnące ceny żywności.

384,5 tys. Polaków, którzy przekroczyli 65. rok życia, ma ponad 10 mld zł zaległości w spłacaniu zobowiązań.

Na prawie 19 mln badań technicznych pojazdów przeprowadzonych w 2020 r. tylko 2,5% zakończyło się wynikiem negatywnym. Co oznacza, że te badania ciągle są fikcją albo okazją do nielegalnego zarobku. W Niemczech czy Finlandii nie dopuszczają do ruchu 20% pojazdów.

Archidiecezja łódzka ma dodatkową specjalizację. Zaczęła prowadzić żwirownię w Porszewicach. Najpierw wyrżnięto las, z 2,6 mln zł opłat kurię zwolniono, później marszałek województwa (PiS) dał koncesję na wydobycie. I interes się kręci.

Zamrożenie płac w budżetówce na 2022 r. oznacza, że większość z ok. 560 tys. zatrudnionych będzie miała płace w granicach 3 tys. zł netto.

Grzegorz Jankowski, były szef Springerowskiego „Faktu", który za jego czasów bił rekordy kłamstw i przegranych procesów, prowadzi podobne programy w Polsat News. W krótkim czasie zdążył zarżnąć Superstację, której szefował. Ma wszakże jedną zaletę: jest ortodoksyjnie pisowski.

PRZEBŁYSKI

Dojeni przez Francuzów

Przybywa informacji, jak nas traktują francuskie firmy. Doją polską krówkę do ostatniej kropli. Ale karmienie zostawiają polskim podatnikom. Dziewięć największych firm z francuskim kapitałem (m.in. Orange, Auchan, Carrefour i Michelin) zapłaciło w latach 2015-2019 łącznie 788 mln podatku CIT. Czyli 0,32% przychodów, jakie miały. A było to prawie 250 mld zł (dane ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców). Francuzi jak mało kto potrafią też wyciskać ostatnie soki z pracowników. Wiedzą o tym rolnicy, których bezlitośnie doi francuski bank BNP Paribas.

Zrzutka na ks. Duszkiewicza

Prawdziwy z niego król puszczy. Pomysłowość ks. Tomasza Duszkiewicza w wyciąganiu kasy na swoje cele nie ma granic. Wielebny założył fundację Ekologiczne Forum Młodzieży. I od razu, tylko z lasów na Białostocczyźnie, skapnęło mu 217 tys. zł. Nadleśnictwa wiedzą, kogo warto wesprzeć. A pupil ekswiceministra Jarosława Zielińskiego jest na czele listy tych, do których spływa udój od leśników. Dodatkowo ks. Duszkiewicz wydzierżawił grunt w Czerlonce. Przy samej Puszczy Białowieskiej. Od regionalnej dyrekcji lasów państwowych, oczywiście też z Białegostoku. Za 362 zł. Rocznie. I to na 30 lat. Teraz dopiero ks. Duszkiewicz da popalić ekologom, którzy bronią puszczy.

Objawienia, objawienia

Jest człowiek, który uważa, że Księga Objawienia św. Jana zapowiada powstanie rządu światowego! Może to i prawda. Choć Wojciech Golonka z tygodnika „Do Rzeczy" pisze z tak wielkimi emocjami, że trudno go uznać za wiarygodnego znawcę Księgi Objawień. Chyba że Golonka tak się boi tego proroctwa, że na wszelki wypadek rozjeżdża wszystko, co globalne. A szczególnie raport WHO (Światowej Organizacji Zdrowia) z dość banalną konkluzją, że z globalną zarazą można skutecznie walczyć tylko globalnie. Dla Golonki to czysta Apokalipsa. Zamach na suwerenność naszego narodu, i tak umęczonego rządami dojnej zmiany. Do objawień św. Jana doszły więc objawienia Golonki.

Świetlik, który jest wszędzie

Zdarza się, że ktoś narzeka na lenistwo dziennikarzy. No cóż, bywają i tacy. Tym chętniej pokazujemy Wiktora Świetlika. Redaktora, który jest urobiony po pachy. Świetlik dawno przegonił Wincentego Pstrowskiego, legendarnego przodownika pracy z lat 50. Świetlik jest wszędzie. Jako dyrektor radiowej Trójki zaczął jej zaorywanie. Efekty słyszymy. Pracowity Świetlik doradza premierowi Morawieckiemu. Pracuje dla Kurskiego (TVP) i PAP, i „Super Expressu". Żeby jeszcze był tak zdolny, jak jest robotny.

Gosposia zapłaci tysiąc

Proboszcz parafii w Mnichowie, ks. Grzegorz K., zapłaci 3 tys. zł na fundusz pomocy pokrzywdzonym oraz pomocy postpenitencjarnej.

Wikariusz ks. Dariusz N. wpłaci na ten cel 2 tys. zł. A gosposia księży Daria P. – 1 tys. zł. Dodatkowo wszyscy uiszczą po 538 zł kosztów sądowych. Tak prawomocnie skończyła się bójka między duchownymi na parafii. Szanse na kolejną bokserską rundę zmniejszyła kuria, przenosząc księży do innych parafii.

FOT. YOUTUBE (2), WIKIPEDIA

eprasa.pl 4a35c65921

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polska powinna przyjąć współpracujących z nami Afgańczyków?

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Tego rodzaju zobowiązania mają charakter nieformalny, ale wobec osób, które pomagały realizować polską rację stanu w Afganistanie i chronić naszych żołnierzy przed śmiercią, mamy pewien dług wdzięczności. Uważam, że powinniśmy próbować go spłacić. Mówię to niezależnie od tego, że Unia Pracy była przeciwna wysyłaniu tam naszego wojska. Pod hasłem „Stop wojnie w Afganistanie" zbieraliśmy podpisy pod apelem do rządu w tej sprawie. Niestety, ówczesne władze go zignorowały i dopiero w tym roku udało się polskich żołnierzy sprowadzić do kraju. Okazało się, że mieliśmy rację, o czym świadczy choćby to, że talibowie właśnie odzyskują władzę. Historia dowodzi, że w żadnej części świata na dłuższą metę nie da się siłą narzucić zasad demokracji.

KALINA CZWARNÓG,
Fundacja Ocalenie

Uważam, że Polska powinna udzielić wszelkiej ochrony osobom, które wspomagały nasz kontyngent w Afganistanie – ale nie tylko im. W tej chwili sytuacja tam jest taka, że wszyscy Afgańczycy i Afganki, którzy stawią się na naszej granicy lub w inny sposób poproszą o pomoc, a następnie uzasadnią swoje obawy przed prześladowaniami, powinni zostać objęci procedurą uchodźczą. Nie możemy nie udzielić im schronienia.

DR MICHAŁ PIEKARSKI,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

Afgańczykom, którzy pomagali polskim żołnierzom, bezwzględnie należy umożliwić przyjazd do Polski, podobnie jak to zrobiły inne państwa, zwłaszcza Stany Zjednoczone. To nasz moralny obowiązek wobec tych, którzy narażali siebie i swoje rodziny, współpracując z naszą armią podczas wojny. Tak naprawdę powinno się o nich zadbać wcześniej (o ile tego nie zrobiono, bo nie mamy pełnych informacji), zwłaszcza że prawdopodobnie mówimy o góra kilkudziesięciu osobach. Poza możliwością mieszkania w naszym kraju powinniśmy im zapewnić niezbędną opiekę i warunki do życia, gdyż stracili wszystko i grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo właśnie dlatego, że podjęli ryzyko współpracy z naszym kontyngentem.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ZDZISŁAW NOWAK

Nie. Powinni ich przyjąć ci, którzy polskie wojsko na tę wojnę posłali. Na przykład do pięknej willi w Kazimierzu.

PAWEŁ PIWOWARCZYK

Tak, powinna. Inaczej kto nam zaufa? Zwłaszcza tam i na Wschodzie w ogóle. Amerykanie to mocarstwo, ich lojalność nie obowiązuje, ale dla nas lojalność to wartość bezcenna. „Tamci" ludzie nie są głupi, umieją rozeznać, kto jest uczciwy, a kto nie. Kto ich szanuje, a kto nie. To ważne, a pamięć przechodzi z pokolenia na pokolenie.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Jak najbardziej. I to nie tylko współpracujących z okupantami, bo byliśmy okupantami (podobnie jak w Iraku), ale wszystkich, którzy uciekają przed wojną.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4a35c65921

Banaś i Ziobro:

BEZ PRZEBACZENIA

Między nami, pisowcami – ja ciebie prokuratorem, ty mnie kontrolą

Robert Walenciak

To nie jest zwykła wojna między politykami. Że niby są z tego samego obozu, a jeden pod drugim dołki kopie. Albo że walczą ze sobą, a potem się otrzepują i rozchodzą, każdy w swoją stronę. To jest wojna niezwykła – bo jest ich dwóch, a gdy ona się skończy, jeden będzie siedział.

Obaj wzajemnie się nękają, wysyłając przeciw sobie podległe im służby. Obaj zebrali już pokaźne kwity. Ten, który będzie górą, wsadzi tego drugiego do więzienia.

Obaj nękają się wzajemnie, obaj zebrali pokaźne kwity. Ten, który będzie górą, wsadzi drugiego do więzienia.

Czyli albo Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, wsadzi do więzienia Mariana Banasia, albo Marian Banaś, prezes Najwyższej Izby Kontroli, postawi Zbigniewa Ziobrę przed Trybunałem Stanu, a później przed sądem.

Na początku był kryształ

30 sierpnia miną dwa lata od powołania Mariana Banasia na prezesa Najwyższej Izby Kontroli. „Pancerny Marian" wybrany został głosami Prawa i Sprawiedliwości, jego wybór prawa strona nagrodziła brawami. Nie liczyło się, że według opozycji oświadczenia majątkowe Banasia budziły wiele wątpliwości, to wszystko zostało pominięte.

Miesiąc później było już inaczej – 21 września stacja TVN opublikowała materiał, z którego wynikało, że Banaś jest właścicielem kamienicy w Krakowie i że mieści się w niej „hotel", w którym wynajmowane są pokoje na godziny. Telewidzowie mogli usłyszeć, jak prowadzący ów „hotel" dzwoni „do Banasia" i krótko z nim rozmawia.

Mleko się rozlało. Ale jeszcze wtedy PiS solidarnie Banasia broniło. „To jest swoistego rodzaju zemsta na panu prezesie, który jest człowiekiem kryształowym, niezwykle uczciwym, bardzo solidnym, twardym politykiem. To pełna manipulacja od początku do końca", wspierał prezesa NIK ówczesny marszałek Senatu Stanisław Karczewski.

„Marian Banaś zabrał co najmniej dwieście kilkadziesiąt miliardów przestępcom", mówił z kolei Jarosław Kaczyński, tłumacząc, że być może w materiałach prasowych chodzi o zemstę mafii, którą Banaś pozbawił olbrzymich pieniędzy.

Chwilę później mieliśmy zwrot o 180 stopni. Dziennikarze wzięli Banasia pod lupę. Z ujawnianych przez nich materiałów wynikało, że utrzymuje kontakty z ludźmi z krakowskiego półświatka, karanymi za sutenerstwo, a kamienicę zdobył w nie do końca jasnych okolicznościach. Jego oświadczenia majątkowe wykazują zaś, że dorobił się pieniędzy i dóbr materialnych, których pochodzenia nie sposób wyjaśnić.

Ciach! Banaś przestał być kryształowy, więc partia wezwała go do złożenia rezygnacji. A on odmówił. W ten sposób zerwał się ze smyczy.

Ze swojego punktu widzenia miał rację, bo jako prezes NIK mógł liczyć na to, że chroni go immunitet. A bez immunitetu byłby bezbronny.

Przypomnijmy, że powoływany na sześcioletnią kadencję prezes NIK jest praktycznie nieusuwalny – gwarantuje mu to konstytucja. Może odejść ze stanowiska w trzech przypadkach: gdy sam poda się do dymisji, gdy zostanie skazany prawomocnym wyrokiem za popełnienie przestępstwa lub gdy Trybunał Stanu orzeknie w stosunku do niego zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych.

No i się zaczęło. W grudniu 2019 r. prokuratura, na podstawie zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa złożonych przez CBA, Generalnego Inspektora Informacji Finansowej i posłów PO, wszczęła postępowanie. Sprawę powierzono prokuraturze w Białymstoku, kierowanej przez zaufaną Zbigniewa Ziobry, Elżbietę Pieniążek, wcześniej pracującą w CBA. Przy okazji (może licząc, że w ten sposób zachęci się prezesa NIK do dymisji?) służby wzięły na celownik jego syna, Jakuba.

Białystok bierze Banasia pod lupę

Gdy prokuratura wszczęła śledztwo, agenci CBA przeszukali m.in. mieszkania Mariana Banasia i jego rodziny, w sumie 20 miejsc, w tym samochód Jakuba Banasia. Zabezpieczyli też jego komputer i telefon. Niejako przy okazji Banaś junior stracił pracę – został zwolniony ze stanowiska doradcy zarządu Pekao SA.

Śledztwo zatem, o czym dowiedzieliśmy się, gdy niedawno prokurator generalny wystąpił do marszałek Sejmu Elżbiety Witek o zgodę na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej prezesa Banasia, toczyło się bardzo szerokim frontem. Dotyczyło i Mariana Banasia, i jego syna Jakuba, i synowej. Śledczy zajmowali się dosłownie wszystkim. Sprawdzali pocztę elektroniczną, czytali mejle. Bez większego ryzyka pomyłki można stwierdzić, że Banasiom założono podsłuch.

eprasa.pl 4a35c65921

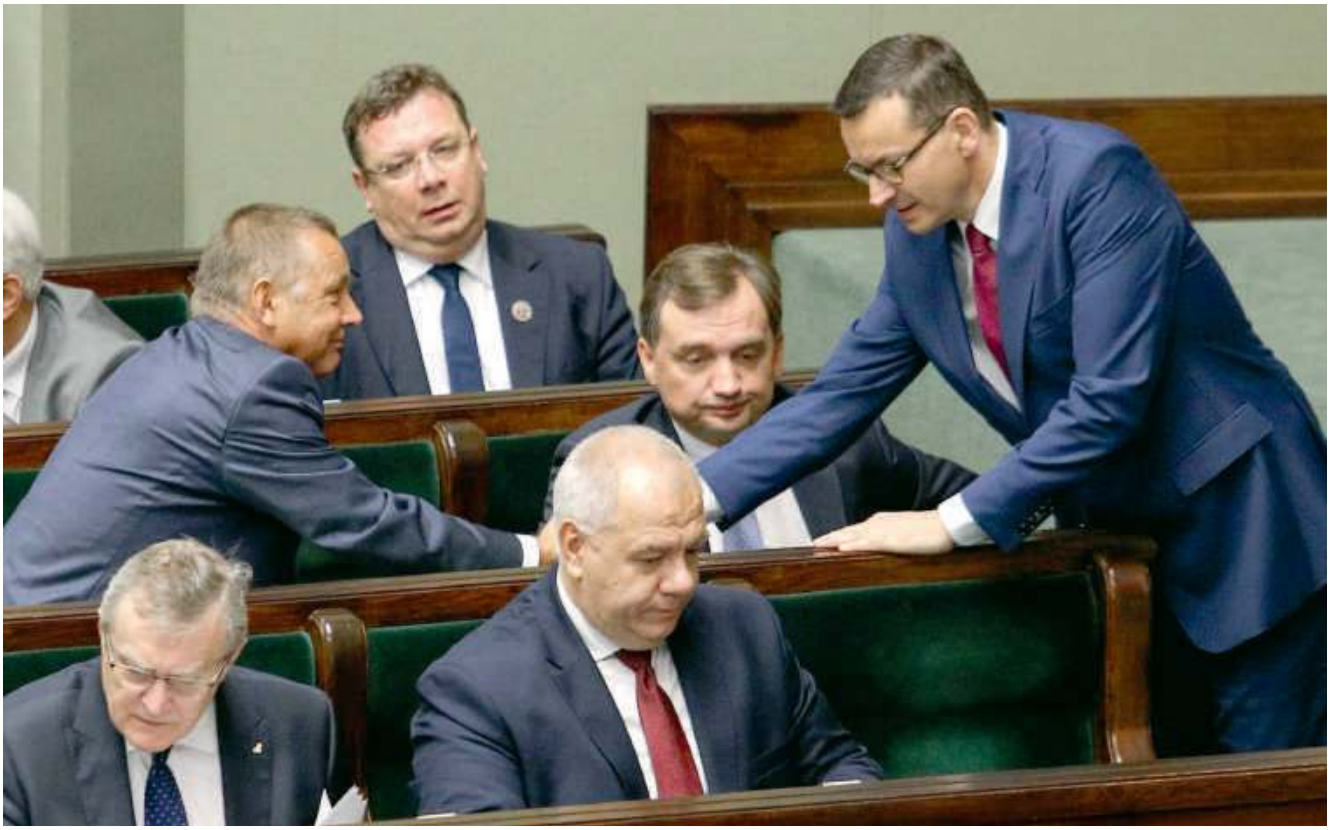

Dawniej koledzy z sejmowych ław: Marian Banaś, Zbigniew Ziobro i premier Mateusz Morawiecki.

Wniosek, który Prokuratura Krajowa skierowała do marszałek Sejmu o uchylenie Banasiowi immunitetu, opierał się na „dowodach zebranych w 80 tomach akt". W tych aktach znajduje się „dokumentacja znaleziona w efekcie przeprowadzonych przez CBA kilkudziesięciu przeszukań, a także pozyskana z banków, urzędów i innych instytucji, oraz elektroniczna korespondencja prowadzona przez Mariana Banasia". CBA sporządziło też analizy przepływów finansowych na rachunkach bankowych prezesa NIK, biegli zbadali podatki i wartość nieruchomości.

Mając te materiały, PiS uderzyło dwutorowo. I w ojca, i w syna. 23 lipca Centralne Biuro Antykorupcyjne zatrzymało Jakuba Banasia na lotnisku w Krakowie, gdy wrócił z wakacji. „Mój syn został zatrzymany na lotnisku Kraków Balice, gdy w towarzystwie małżonki wracał z urlopu", pisał na Twitterze Marian Banaś. A czy była potrzeba tak widowiskowego zatrzymania? Żeby każdy patrzył, jak syn prezesa NIK jest zakuwany w kajdanki? Jeśli się chciało dokuczyć Banasiom – to tak.

„Cały czas rządzący chcą mnie skłonić do tego, żebym ustąpił ze stanowiska – mówił Marian Banaś „Newsweekowi". – W momencie kiedy stałem się prezesem NIK, która kontroluje wydatki rządu i ujawnia poważne nieprawidłowości, zaczęło się szukanie haków na mnie i na moją rodzinę. Przecież w normalnych warunkach nikt by nie zajmował się moim synem. To jest przykład, że właściwie każda osoba, każdy polityk, nawet z ekipy rządzącej, może stać się ofiarą, kiedy będzie niewygodny dla obecnej władzy".

Uderzenie poszło również w ojca. Jako prezesa NIK chroni go immunitet, więc by przedstawić mu zarzuty, prokuratura musi uzyskać zgodę Sejmu. We wniosku skierowanym do marszałek Witek możemy przeczytać: „Prokuratura zamierza postawić prezesowi NIK kilkanaście zarzutów, w tym podania nieprawdy w 10 oświadczeniach majątkowych i deklaracjach podatkowych. Marian Banaś miał też nakłaniać dyrektora Administracji Skarbowej w Krakowie do bezprawnego ujawnienia mu informacji na temat prowadzonych w jego sprawie czynności przez CBA i kontroli podatkowej".

Powoływany na sześcioletnią kadencję prezes NIK jest praktycznie nieusuwalny – gwarantuje mu to konstytucja.

W każdym razie prokuratura bardzo gorliwie zajęła się Jakubem Banasiem oraz jego żoną Agnieszką i postawiła im po siedem zarzutów. Między innymi wyłudzenia z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa ok. 120 tys. zł na renowację kamienicy oraz wyłudzenia podatku VAT w wysokości prawie 80 tys. zł. Banasiowie mieli się posłużyć podrobionymi fakturami VAT potwierdzającymi wykonanie robót budowlanych i innymi dokumentami poświadczającymi nieprawdę.

Jak pisze „Rzeczpospolita", Banaś miał m.in. w 2016 r. podać, że posiada 550 tys. zł, jednak wedle analizy jego konta było to ponad 963 tys. zł. Rok później Banaś poinformował, że posiada 380 tys. zł, a według ustaleń miał wtedy posiadać 825 tys. zł. Obejmując posadę szefa NIK, Banaś miał zadeklarować, że posiada 2,721 mln, a według śledczych miało być o 550 tys. zł więcej.

eprasa.pl 4a35c65921

Zarzuty są takie, jakie są. Marian Banaś ripostuje, że nieścisłości w oświadczeniach majątkowych ma większość polityków, on już złożył wyjaśnienia i sprawa dawno powinna być zamknięta.

Może tak, może nie. Wyrok w tej sprawie to rzecz sądu. Ale wiadomo, że sądowy wyrok ma w tym wszystkim wartość drugorzędną. Chodzi o coś innego – o pozbawienie Banasia immunitetu, bo wtedy będzie można go zatrzymać. Choć na chwilę. Będzie można wówczas wytoczyć prezesowi NIK proces. Z nadzieją, że długo trwać nie będzie.

Sprawę powierzono prokuraturze w Białymstoku, kierowanej przez zaufaną Ziobry, Elżbietę Pieniążek, wcześniej pracującą w CBA.

O tym, że te śledztwa, groźby, prześwietlanie rodziny to element presji, mówi sam Banaś: „To nie jest przypadek. Na kolegium (NIK) rozpatrywaliśmy uchwałę dotyczącą nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości. A tydzień później mój syn został aresztowany, mojej synowej też postawiono zarzuty, i w tym samym dniu jest wniosek o uchylenie mojego immunitetu".

Jednak Banaś atakowany przez PiS śledztwami i oskarżeniami nie tylko się broni, ale również atakuje. Bardzo celnie. Jednym z takich ataków była kontrola, którą zarządził w Funduszu Sprawiedliwości, podległym Ministerstwu Sprawiedliwości, czyli Zbigniewowi Ziobrze.

NIK kontroluje Ziobrę

O kontroli w Funduszu Sprawiedliwości, funduszu celowym, który istnieje od roku 2012 i dysponuje setkami milionów złotych, głośno jest od pierwszych dni sierpnia.

4 sierpnia podczas konferencji prasowej w NIK Michał Jędrzejczyk, dyrektor Departamentu Porządku i Bezpieczeństwa Wewnętrznego Izby, mówił: „W dniu dzisiejszym prezes NIK powiadomił prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego, wiceprezesa Rady Ministrów Jarosława Kaczyńskiego oraz szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego o uwagach, ocenach i wnioskach wystąpienia pokontrolnego. Skala nieprawidłowości w funduszu jest tak duża, że NIK zwrócił się do wyżej wymienionych o podjęcie pilnych działań naprawczych, a do szefa CBA o wyjaśnienie ujawnionych mechanizmów korupcjogennych".

Już to wystarczyło, by Ministerstwo Sprawiedliwości wystosowało komunikat, w którym czytamy: „Z ubolewaniem przyjmujemy próby wykorzystania Funduszu w wewnętrznych rozgrywkach i dla ochrony partykularnych interesów prezesa NIK i jego syna".

Ale to nie zatrzymało kontrolerów NIK. I choć raport w sprawie kontroli Funduszu Sprawiedliwości nie został oficjalnie przekazany mediom, to przecież niektóre redakcje cytują jego co bardziej sensacyjne ustalenia. A inspektorzy NIK ujawnili, że ministerstwo Ziobry rozdawało setki milionów złotych z funduszu bez kontroli, planu i uzasadnienia. I że „Ziobro zmienił fundusz, który miał pomagać ofiarom przestępstw, w fundusz promocji swej partii". „To był fundusz wyborczy polityków PiS, szczególnie Solidarnej Polski, nie dla ofiar przestępstw", mówił prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz.

Banaś nie tylko się broni, ale i atakuje. Bardzo celnie – zarządził kontrolę w Funduszu Sprawiedliwości podległym Ziobrze.

W formie najbardziej brutalnej można rzec, że Ziobro okradał ofiary przestępstw i te pieniądze dawał na promowanie swojej partii i siebie samego. Czy taka opinia jest uzasadniona? Spójrzmy, za OKO.press, które pierwsze dotarło do raportu, co ustalili inspektorzy NIK.

Choć Fundusz Sprawiedliwości miał przede wszystkim pomagać ofiarom przestępstw, ludzie Ziobry wydają pieniądze z niego właściwie na dowolne cele. Decyzje o dofinansowaniu organizacji i jednostek z sektora finansów publicznych „były podejmowane w sposób uznaniowy". Wbrew prawu nie podawano ich do publicznej wiadomości.

Ministerstwo „nadużywało szczególnego, tzw. pozanaborowego trybu udzielania dofinansowania" jednostkom z sektora finansów publicznych. A także „dyskrecjonalnie i nietransparentnie" zmieniało wyniki konkursów o dotacje z Funduszu Sprawiedliwości. W efekcie zadania powierzano „nieprzygotowanym podmiotom, niedysponującym potencjałem do ich efektywnej realizacji", mimo że zgłaszali się wykonawcy „posiadający odpowiednie przygotowanie i wieloletnie doświadczenie".

Z Funduszu Sprawiedliwości finansowano projekty, które ministerstwo określało „jako naukowo-badawcze", chociaż „nie odpowiadały standardom przyjętym dla projektów badawczych" – polegały „na wytworzeniu dużej liczby niespójnych tematycznie utworów (stanowiących np. analizę przypadkowych treści internetowych i literatury fantastycznej)". Resort nie potrafił wskazać, po co powstały i jak je wykorzystano.

Plany finansowe Funduszu Sprawiedliwości przygotowywane były nierzetelnie, a w sprawozdaniach prezentowano zaniżone koszty. Wielu dotacji udzielono z naruszeniem ustawy o finansach publicznych. Ministerstwo regularnie naruszało też przepis tej ustawy, zgodnie z którym powinno w ciągu 30 dni rozliczać umowy dotacji.

Chociaż rocznie ministerstwo Ziobry wydawało ponad 350 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości, nie stworzyło mechanizmów kontroli wydatków. Nie reagowało na „problemy systemowe w zakresie gospodarowania środkami Funduszu, takie jak konflikty interesów oraz mechanizmy korupcjogenne, występujące powszechnie w obszarach pomocy pokrzywdzonym przestępstwem oraz realizacji tzw. przedsięwzięć naukowo-badawczych".

Działania, które miały informować społeczeństwo o możliwości skorzystania z pomocy Funduszu Sprawiedliwości, w rzeczywistości służyły „promowaniu działań i koncepcji Ministra Sprawiedliwości, w obszarach takich jak relacje Polski z instytucjami

eprasa.pl 4a35c65921

W 2019 r. jeszcze ze sobą rozmawiali. Posiedzenie Sejmu VIII kadencji.

Unii Europejskiej czy też reforma wymiaru sprawiedliwości".

Według kontrolerów NIK minister Ziobro:

- wydał niecelowo i niegospodarnie 63,324 mln zł w ramach tzw. przeciwdziałania przyczynom przestępczości – problemy stwierdzono w przypadku 13 z 16 umów kontrolowanych w tej kategorii;
- przekazał 59,506 mln zł podmiotom do tego nieprzygotowanym, „pomimo że o realizację tych samych zadań ubiegali się również wykonawcy posiadający odpowiednie przygotowanie i wieloletnie doświadczenie";
- przeznaczył 140,803 mln zł na ochotnicze straże pożarne, ale sprzęt dla nich rozdysponowano „w sposób uznaniowy";
- wydał 35,204 mln zł na wyposażenie placówek medycznych, ale zostało ono „przekazane wybranym arbitralnie podmiotom, bez konsultacji z organami właściwymi do spraw zdrowia, które pozwoliłyby ustalić najpilniejsze potrzeby sprzętowe, a także liczbę i rodzaj placówek medycznych najbardziej potrzebujących wsparcia". Jak to wytłumaczyć? Bardzo prosto – otóż tajemniczym „zbiegiem okoliczności" dotacje dla strażaków i szpitali trafiały akurat do okręgów wyborczych polityków Solidarnej Polski i akurat w trakcie kampanii wyborczych. Żeby kandydaci SP mogli się chwalić w lokalnych mediach, że zdobyli „prezenty" dla swojego regionu.

Wśród zakwestionowanych wydatków NIK wymienił także dotacje dla:

- Fundacji Wyszehradzkiej – 1,36 mln zł;
- Fundacji Życie – ponad 6 mln zł;
- Fundacji Mamy i Taty – 1,5 mln zł;
- Fundacji Czyste Serca – prawie 1 mln zł.

Zdaniem NIK te pieniądze poszły na „finansowanie szerokiego spektrum niepowiązanych logicznie aktywności obejmujących: organizację konferencji dotyczącej m.in. perspektyw współpracy państw Grupy Wyszehradzkiej; edukację menadżerską lokalnych grup działaczy i urzędników; promowanie kwestii światopoglądowych (w szczególności instytucji małżeństwa i rodziny)".

NIK podważyła również celowość dotacji w wysokości 1,3 mln zł dla Fundacji Strażnik Pamięci (szefuje jej redaktor naczelny prawicowego tygodnika „Do Rzeczy" Paweł Lisicki). Według kontrolerów pieniądze przeznaczono na przeciwdziałanie przestępstwom, „które ze względu na ich incydentalny charakter nie były nawet wykazywane w statystykach sądowych". OKO.press w komentarzu napisało, że prawdopodobnie chodzi o projekt „Przeciwdziałanie przestępstwom dotyczącym naruszenia wolności sumienia popełnianym pod wpływem ideologii LGBT".

Stoją naprzeciw siebie

W ciągu kilku dosłownie dni Zbigniew Ziobro i Marian Banaś oddali do siebie strzały.

Ziobro akt oskarżenia ma już gotowy, prokuratorzy zgromadzili w sprawie Mariana Banasia 80 tomów akt. Teraz tylko musi czekać na decyzję Sejmu co do immunitetu Banasia. I jeśli będzie ona dla prokuratury korzystna – na rozprawy w sądzie. Z nadzieją, że dowody oskarżenia będą miały moc, co w przypadku resortu Ziobry nie zawsze jest oczywiste. „Mam dowód na to, że służby wymuszają na osadzonych składanie fałszywych wyjaśnień i oskarżeń wobec mnie. To jest niezależne państwo? Niezależne służby i prokuratura?", grzmiał Banaś w trakcie niedawnego posiedzenia sejmowej Komisji ds. Kontroli Państwowej. Co pokazuje, że nawet jeśli Ziobrze uda się otworzyć przeciwko niemu proces, to będzie on długi i różnie może się skończyć.

Do tego Banaś odpowiada Ziobrze ustaleniami kontrolerów NIK. Oni również zgromadzili potężny materiał. A ich zarzuty dotyczą setek milionów złotych. Okradania ofiar przestępstw i wydawania należnych im pieniędzy na partyjną propagandę, na promowanie Ziobry i jego ludzi.

Taki jest zarzut Banasia. Ale jego droga jest dłuższa. Ustalenia kontrolerów NIK trzeba przesłać do prokuratury i dopiero ona może sporządzić stosowne akty oskarżenia. A w dzisiejszych czasach trudno sobie wyobrazić prokuratora prowadzącego śledztwo przeciwko prokuratorowi generalnemu… Co nie znaczy, że „dzisiejsze czasy" będą trwały wiecznie.

Oto więc Banaś zawiesił nad głową Ziobry miecz Damoklesa. I mniej więcej wiadomo, kiedy on spadnie. Wtedy, kiedy PiS straci władzę.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM (2)

eprasa.pl 4a35c65921

Rozmawia Jakub Dymek

Polska nie jest już liberalną demokracją

Gra toczy się o to, kto będzie kontrolował media, proces wyborczy i całość państwa

Dlaczego w czasie kryzysu gospodarczego i pandemii, gdy rola państwa jest tak ważna, lewica, czyli ta siła, która chce sprawniejszego i silniejszego państwa – nie zyskuje?

– Bo partia, która jest w Polsce u władzy, choć nazywa się prawicą, faktycznie sama ma program skrajnie lewicowy.

Skrajnie?!

– Według dzisiejszych standardów, owszem. Niech mi pan pokaże państwo, które dziś chce większej interwencji w gospodarkę, większej centralizacji i bardziej uznaniowego dysponowania środkami publicznymi niż Polska czasów PiS.

Polscy liberalni i lewicowi krytycy PiS odpowiedzą panu natychmiast, że to nie jest lewicowa polityka, bo opiera się tylko na świadczeniach i gotówce do ręki, a nie na rozbudowie usług publicznych: edukacji, ochrony zdrowia, instytucji służących obywatelom.

– To jest dobry argument, ale nie przeczy temu, że PiS dąży do centralizacji w sposób porównywalny tylko z PRL. Oczywiście, gdy spojrzymy na wartości, język i prawa mniejszości, nikt PiS lewicą nie nazwie. Ale jeśli chodzi o model redystrybucji, politykę adresowaną do uboższych grup społecznych, utrzymywanie władzy za pomocą świadczeń, to dziś we współczesnych kategoriach PiS można porównywać do Wenezueli. Może panu to porównanie się nie podobać, ale mamy do czynienia w Polsce z pewną „podwójną renacjonalizacją". Po pierwsze, produkcji i gospodarki – rola państwowych spółek, szczególnie energetycznych, i w ogóle państwa w gospodarce. Po drugie, co trochę z tym się łączy, sfery informacyjnej i medialnej – wystarczy spojrzeć, co właśnie stało się w Sejmie. A jeśli nie Wenezuela, to albo Węgry Orbána, albo Turcja Erdoğana – to są bardzo podobne modele. Innym partiom trudno to przebić.

Dlaczego?

– Bo świadczenia bezpośrednie są mocniejsze jako mechanizm wyborczy niż usługi publiczne. Słowem, co mi po tym, że będę miał autobus co 15 minut, jeśli zamiast tego mogę dostać 500 zł – przynajmniej 500 zł! – co miesiąc do ręki. Najwyżej wezmę taksówkę czy Ubera.

PROF. KRZYSZTOF JASIEWICZ

– profesor socjologii na Washington and Lee University w Lexington, Virginia, redaktor naczelny kwartalnika „East European Politics and Societies"

Ale może język usług publicznych nie działa z innego powodu. Po prostu w wielu miejscach Polski – przede wszystkim na wsi, choć nie tylko – przychodnię, linię autobusową, pocztę czy sąd zlikwidowano. Dlaczego ludzie mają się domagać lepiej działającej komunikacji albo opieki żłobkowej, skoro nie mają ich wcale?

– To prawda i dlatego sięgnąłem po przykład komunikacji zbiorowej. Bo upadek transportu widać szczególnie. I to ma dalekosiężne skutki: nie ma transportu, ludzie inwestują w samochody, więc infrastruktura i tak się nie polepsza, a jakość powietrza jest coraz gorsza.

Druga taka sprawa to ochrona zdrowia. Oczywiste jest dziś, że trzeba w nią inwestować, pandemia to pokazała. Ale na kim się wzorować? Ameryka, Włochy, Wielka Brytania, Niemcy – nikt nie wytrzymał starcia z koronawirusem, wszystkie gospodarki musiały się zamknąć. Może więc mówienie o tym, że powinniśmy mieć taki system jak u zamożniejszych sąsiadów w Europie, też nie działa. Można wyborcom pokazywać Skandynawię jako wzór, ale czy porównywanie się do Skandynawii w Polsce ma w ogóle sens?

Czyli pańskim zdaniem postulat inwestowania w lepszą służbę zdrowia też jest atrakcyjny tylko w teorii?

– Widać, że te inwestycje są konieczne, ale nie ma gwarancji, że ktokolwiek będzie w stanie tę konieczność uczciwie i w przekonujący sposób Polakom przedstawić. A wielu próbowało. I tu wracamy do tego, że PiS jest partią centralizacji i załatwienia wszystkiego za pomocą większych nakładów i decyzji partii – czyli teoretycznie i tu reprezentuje optykę lewicową. W Polsce pojęcia lewicy i prawicy, podobnie jak ich recepty, skrajnie się wymieszały.

Pan w badaniach podkreśla, że ludzie o lewicowych poglądach społecznych – na aborcję, rolę mniejszości czy świeckość państwa – i lewicowych przekonaniach co do gospodarki i państwa, to dwie osobne grupy. Osie tych światopoglądów nie są zbliżone.

– Co więcej, stało się to już dawno temu. Ten rozjazd można prześledzić w badaniach, sięgając lat 80., a już na pewno lat 90. W przeciwieństwie do USA, gdzie do niedawna te pakiety poglądów – postępowość i sprawiedliwość

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4a35c65921

społeczna, konserwatyzm i wolny rynek – były ściśle związane, w Polsce nic nie trzyma ich razem. I na tym polega problem naszej lewicy. Mówiąc o jednym, zniechęca połowę sympatyków, mówiąc o drugim – pozostałą połowę. Odrzuca swoich własnych liberałów, opowiadając o socjalu i równości, a następnie odrzuca własny elektorat socjalny, wybierając się na Paradę Równości.

Przekonanie, że nie tylko można, ale nawet trzeba stać na obu nogach, socjalnej i tożsamościowej, jest pana zdaniem niemożliwe do utrzymania?

– Tak by wynikało z moich badań, gdyby miały prowadzić do politycznych, a nie tylko analitycznych wniosków. Mam przed sobą najnowsze badanie CBOS o postawach społeczeństwa, tym razem w ujęciu pokoleniowym. Grupa 18-24 lata w porównaniu z ogółem obywateli jest bardziej lewicowa w sprawach związków partnerskich, ekologii czy świeckości państwa. Zarazem jest dużo bardziej prawicowa niż ogół społeczeństwa w kwestii podatku liniowego. Widać, jak szybka jest ta liberalizacja społeczna – sprzeciw wobec polityki PiS – ale za nią wcale nie idzie lewicowe podejście do gospodarki. Mamy podwójnie liberalny – nie lewicowy – zwrot młodzieży, wymierzony w PiS i jego socjalno-konserwatywno-narodową politykę. To wynika z badań, ale jaką lekcję wyciągną z tego partie opozycji, lewicowe i centrowe, to pytanie do nich.

A jaką powinny?

– Zacznijmy od tego, co najważniejsze. Mamy czas, gdy trzeba jednolitego frontu. Rywalizacja między partiami lewicowymi, liberalnymi i konserwatywnymi ma sens w demokracji. Tam, gdzie jest wolny rynek idei i gdzie nie ogranicza się dostępu do informacji. I gdzie nie ma ograniczeń procesu wyborczego. Polska nie jest w tej chwili tego typu demokracją.

Nie odbywają się wybory albo nie ma wolnego rynku? Nie przesadzajmy.

– Nie jest liberalną demokracją. Nie w sensie liberalizmu jako opcji dominującej, tylko w sensie różnic między liberalną – pluralistyczną i uznającą prawa mniejszości – demokracją a demokracją większościową, w której zwycięzca bierze wszystko. Dziś gra toczy się w Polsce o to, kto będzie kontrolował media, proces wyborczy i całość państwa. By później nieuczciwego procesu wyborczego nie dało się ujawnić za pomocą wolnych mediów, skontrolować i naprawić. Wybory z 2019 r. pokazały, jakie strategie są skuteczne.

To znaczy?

– Sejm trafił w ręce PiS, ale Senat ledwo, ledwo odbiła opozycja. Dlaczego? Wyłącznie dlatego, że była to siła jednofrontowa. Że nie było współzawodnictwa pomiędzy lewicą a centrum. I mamy dowody na sensowność tej strategii, nie tylko w Senacie, ale także choćby w przypadku wyboru rzecznika praw obywatelskich.

Argument przeciwników zjednoczenia opozycji jest następujący: to tylko głębiej wpycha nas w toksyczny konflikt dwóch bloków, pozbawia podmiotowości mniejsze partie i niweczy szanse na to, że kiedyś będzie możliwa inna polityka niż tylko PO-PiS.

– Mogą sobie chcieć dowolnej polityki, ale nie będą jej mieli, gdy nie będzie demokracji. Pan mówi o ponownym wejściu w dwupartyjny konflikt. My przecież w nim jesteśmy, czy tego chcemy, czy nie. Są takie kraje – jak USA – gdzie ta polaryzacja jest jeszcze wzmocniona przez samą konstrukcję instytucji demokratycznych. Jednak nawet w Polsce wiemy, że gdy raz państwo w takim klinczu się znajdzie, gdzie tylko dwie partie walczą o władzę, bardzo trudno będzie z niego wyjść.

Czy myśli pan, że te podziały w Polsce – na prowincję i miasto, na konserwatywno-socjalnych i postępowo liberalnych itd. – podobnie jak w USA zostaną już zacementowane?

– Ten podział zostanie. Pytanie tylko, w którą stronę wychyli się społeczne wahadło. Ja w USA mieszkam 30 lat, ale zmiana w poglądach obyczajowych, jaka zaszła w ciągu zaledwie kilku lat, jest czymś, czego ani 20, ani 30 lat temu nie mogłem się spodziewać. Akceptacja już nie związków partnerskich, ale małżeństw jednopłciowych, była kwestią paru lat. W bardzo konserwatywnym społeczeństwie stało się to wręcz normą, nawet w bardziej religijnych stanach, zaskakująco szybko. Badania w Polsce pokazują ruch w tym samym kierunku – choć nie zakładałbym się, że będzie on równie szybki. Bo to jest kierunek, w którym idą demokracje, idzie Zachód, idzie świat. Polska – o ile pozostanie w globalnym czy europejskim obiegu wartości – też dojdzie do tego momentu. Chyba że prędzej PiS wyrzuci nas z tego obiegu. Oni przecież wiedzą, że o to właśnie grają.

A jeśli Polska pozostanie w świecie Zachodu, to pańskim zdaniem będzie nieustannie się liberalizować?

– Ten podział na konserwatyzm i liberalizm jest jednym z najbardziej oczywistych czy naturalnych. Interesujące jest tak naprawdę to, gdzie i jak daleko przesunie się środek tego sporu – w lewo czy w prawo. W tym momencie przesłanek wielkiego zwycięstwa konserwatyzmu nie widzę.

Część polityków PiS wie, że ich poglądy to przeżytek. Dla części wrogość wobec liberalizmu, Zachodu, wartości europejskich to czysty oportunizm. Dla jeszcze innych jest to kwestia prawdziwych lęków i przekonań. Część naprawdę uważa, że lepiej pożegnać się z Europą, z sojuszami i światem liberalnej demokracji, byle zachować katolickie i tradycyjne jądro polskiej tożsamości. Dla tych ludzi obrona polskości, tak jak oni ją rozumieją, jest ważniejsza niż miejsce Polski w świecie i warta każdej instytucjonalnej czy gospodarczej ceny.

Świadczenia bezpośrednie są mocniejsze jako mechanizm wyborczy niż usługi publiczne.

W Polsce pojęcia lewicy i prawicy, podobnie jak ich recepty, skrajnie się wymieszały.

eprasa.pl 4a35c65921

To szczególny przypadek Polski?

– Jak przypomniał niedawno na innych łamach Ernest Skalski, brytyjski historyk i filozof Arnold Toynbee zajmował się tym, jak kraje peryferii reagują na zmianę, którą przynoszą imperia – dominujące gospodarczo, technologicznie, a kiedyś również militarnie nad podbitymi. Jaka jest odpowiedź społeczeństw peryferii? Polaryzacja. Jedni chcą przyjęcia tych nowinek, drudzy zwierają szeregi w obronie tradycyjnych porządków i obyczajów, wznoszą swoje Okopy Świętej Trójcy. Kaczyński mówi, że chcemy być jak Zachód, ale pod względem poziomu życia, nie wartości. Jego przeciwnicy mówią zaś, że musimy podzielać zachodnie i europejskie wartości, by osiągnąć towarzyszący im poziom wolności i dobrobytu – inaczej to niemożliwe. Tak wygląda ten konflikt.

Dziś Polsce bliżej jest w tym okopywaniu się w obronie wartości do Rosji Putina. Z takiego podejścia zresztą brała się do czasu jego wielka popularność – bo próbował udowadniać, że można podnosić poziom życia zwykłych ludzi bez przyjmowania zachodnich wartości.

I taki jest ten najgłębszy polski podział? Wszyscy chcą rozwoju gospodarczego, ale uważają, że można go osiągnąć, tylko podzielając jeden pakiet wartości, tradycyjny albo nowoczesny?

– W pewnym sensie tak, z wyjątkiem tych, o których mówiliśmy wcześniej, którzy skłonni są rozwój poświęcić. Bo im nie o wartości, ale o dominację jednych nad drugimi chodzi.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Czy Polak jeszcze potrafi?

Obiecywano nam lek na COVID-19 i szczepionkę produkowaną przez spółkę Mabion. Wyszło jak zwykle

Marek Czarkowski

We wrześniu grozi nam kolejna fala zachorowań na COVID-19. Szpitale znów się zapełnią, część chorych umrze. Jeżeli ci, którzy jeszcze się nie zaszczepili, nie zrobią tego w najbliższych dniach, może być źle. Trzeba pamiętać, że pandemia dla milionów ludzi była i nadal jest tragedią. Jednak dla nielicznych stała się okazją, by wypłynąć na szersze wody i zarobić trochę grosza.

Nad Wisłą niemal symbolami takiej postawy stali się instruktor narciarski z Zakopanego, który opchnął hurtowo maseczki wątpliwej jakości, i były handlarz bronią, oferujący resortowi zdrowia respiratory za bardzo wysoką cenę. Były też inne, mniej spektakularne przykłady, świadczące o tym, że Polak potrafi.

Przed rokiem jeden wpis na Twitterze: „Mamy polski lek na COVID-19" wywindował notowania akcji spółki Biomed Lublin działającej w obszarze biotechnologii i medycyny. 23 września 2020 r. senator PiS dr Grzegorz Czelej ogłosił, że spółce udało się to, co nie udało się reszcie świata – wyprodukować lek na covid. Żeby wzmocnić przekaz, senator dodał, że lek działa i zabija wirusa. Kurs akcji spółki wzrósł z 16 do 22 zł.

Tego dnia na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej kierownictwo Biomedu z ówczesnym prezesem Maciejem Pirogiem ogłosiło, że spółka wyprodukowała 3 tys. ampułek leku z osocza pozyskanego z krwi osób, które przeszły zakażenie SARS-CoV-2.

Część inwestorów i dziennikarzy nabrała podejrzeń, że coś jest nie tak. Substancja prezentowana w szklanej fiolce przez senatora PiS nie mogła być lekiem, gdyż nie przeszła serii wymaganych prawem badań klinicznych i nie została zarejestrowana.

Pytane przez media Ministerstwo Zdrowia wyjaśniło, że to zaledwie „kandydat na produkt leczniczy". W podobnym tonie wypowiedziała się Komisja Nadzoru Finansowego, która „monitorowała aktywność spółki Biomed SA pod kątem prawidłowości wypełniania obowiązków informacyjnych". Władze lubelskiej firmy odpowiedziały, że nie ma co „dyskutować z semantyką" i to, co mają, można już nazwać lekiem.

Po kilku dniach notowania akcji wróciły do poprzedniego poziomu – 16 zł za jedną. A w grudniu 2020 r. z Biomedem pożegnał się prezes Piróg. Media pisały o konflikcie w spółce, co nie przeszkodziło jej w pozyskaniu dotacji unijnych w kwocie ponad 29 mln zł na projekt „Centrum innowacji biotechnologicznych BCG". I wyemitowaniu kolejnych transz akcji, ochoczo kupowanych przez inwestorów.

Płonne nadzieje

W tym roku mało się mówi na temat polskiego leku produkowanego z osocza ozdrowieńców. Nic dziwnego, jego perspektywy są więcej niż niejasne. Na stronie internetowej Harvard Health Publishing znalazłem obszerną informację na temat stosowania osocza krwi pochodzącego od wyleczonych pacjentów. Autorzy publikacji stwierdzają, że metoda jest znana od ponad 100 lat, stosowana w leczeniu różnych chorób, od odry po polio, ospę wietrzną i SARS. Powszechnie uważa się ją za bezpieczną.

Autorzy powołali się na wyniki badań, które objęły 1060 pacjentów z COVID-19, którym podano osocze

eprasa.pl 4a35c65921

Wiosną br. media informowały, że produkcją szczepionki przeciwko covidowi zajmie się w naszym kraju Mabion.

– w ich ocenie nie wpłynęło to znacząco na ryzyko zgonu, długość pobytu w szpitalu lub konieczność zastosowania respiratora. Podkreślili, że badania oparte były na niewielkiej próbie i w przyszłości może się okazać, że korzyści płynące z tej terapii mogą być większe.

Moim zdaniem szanse, że substancja produkowana przez Biomed Lublin trafi do III fazy badań klinicznych, są nikłe. Powód? Brak środków. Poza tym nad lekiem na COVID-19 pracują dziś największe koncerny farmaceutyczne. I odnoszą spore sukcesy.

Ostatnio świat obiegła informacja, że Centrum Medyczne Sourasky w Tel Awiwie prowadziło badania II fazy nowego leku o nazwie EXO-CD24 opracowanego przez prof. Nadira Arbera. Podawano go pacjentom w Atenach. Chorzy wracali do zdrowia w ciągu maksymalnie pięciu dni. Lek odznaczał się wysoką skutecznością i brakiem znaczących efektów ubocznych. Po analizie wyników ma trafić do III fazy badań klinicznych.

W kwietniu br. amerykańskie media podały, że nad lekiem na COVID-19 pracuje koncern Pfizer. Ma być gotowy do końca 2021 r. To preparat doustny, który nie tylko powinien łagodzić objawy zakażenia COVID-19, ale też będzie mógł być stosowany prewencyjnie, w sytuacji gdy zetkniemy się z osobą chorą na koronawirusa.

W lipcu br. badania na ludziach leku na COVID-19 rozpoczęła japońska firma farmaceutyczna Shionogi, która testuje swój specyfik podawany ochotnikom raz dziennie w postaci tabletki. Badania mają się zakończyć w przyszłym roku. W połowie czerwca br. koncern Merck ogłosił, że podpisał umowę z rządem Stanów Zjednoczonych na dostawę leku o nazwie Molnupiravir, który znajdował się w III fazie badań klinicznych. Za 1,2 mld dol. koncern ma dostarczyć wystarczającą liczbę dawek, by wyleczyć nim 1,7 mln osób. Lek podawany jest doustnie i działa najskuteczniej w przypadku łagodnego bądź umiarkowanego przebiegu COVID-19.

Nie trzeba być ekspertem, by dostrzec, że Biomed Lublin nie ma najmniejszych szans na nawiązanie równorzędnej rywalizacji z wyżej wymienionymi firmami. Na naszych oczach „polski lek na COVID-19" przechodzi do historii.

Jest też spółka Celon Pharma SA, która w ubiegłym roku otrzymała z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju dofinansowanie w wysokości ponad 38 mln zł na projekt pod nazwą „Opracowanie i wdrożenie do badań klinicznych i działalności własnej spółki innowacyjnego terapeutyku przeciwwirusowego w terapii COVID-19 i infekcji grypowych".

Nie ma jednak co się ekscytować. Celon Pharma zaproponowała „syntezę nowych strukturalnych analogów Remdesiviru" oraz nowych analogów zatwierdzonych substancji Camostat/Nafamostat. Mówiąc po ludzku, więcej ma to wspólnego z produkcją leków generycznych niż nowoczesnych, oryginalnych substancji, chronionych licznymi patentami. Na wyniki przyjdzie nam poczekać co najmniej do roku 2023. Jestem pewien, że wtedy mało kogo będzie to obchodziło.

285 mln zł na maseczki i nic

„Polskie szwalnie" – hasło, które dziś nikomu nic nie mówi, lecz rok temu miało być kołem zamachowym i motorem dla części polskich przedsiębiorstw jęczących pod jarzmem lockdownu. Cel był jasny – 100 mln maseczek z 200 polskich szwalni do końca czerwca 2020 r.

„To żenująca sytuacja, żeby w 40-milionowym kraju nie można było wyprodukować masek", grzmiał główny doradca premiera Morawieckiego ds. COVID-19 prof. Andrzej Horban i sugerował przedsiębiorcom, by wzięli się do szycia, jeśli chcą przetrwać.

Substancja prezentowana przez senatora PiS nie mogła być lekiem, nie przeszła wymaganych prawem badań klinicznych.

Patronat nad programem objął osobiście prezydent Andrzej Duda. Cóż... trwała kampania wyborcza i każdy gest się liczył. W Pałacu Prezydenckim zorganizowano nawet konferencję na temat szycia maseczek!

A potem poszło jak zwykle. Inicjatywa szwalnicza trafiła do Agencji Rozwoju Przemysłu, na czele której stał przyjaciel domu Morawieckich, dawny kierowca śp. Kornela Morawieckiego, opisywany na łamach PRZEGLĄDU Cezariusz Lesisz.

Według mediów zlecił on konkretne zajęcie się sprawą panu Janowi

FOT. GRZEGORZ GALASIŃSKI/DZIENNIK ŁÓDZKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 4a35c65921

Krupnikowi, byłemu pracownikowi sklepu Apple'a, oraz Wiktorowi Diakonowowi, który jest synem Andrzeja Diakonowa, posła na Sejm, jednego z twórców Porozumienia Centrum.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Ponieważ maseczki nie spełniały norm, zalegały w magazynach. Część wysłano na Białoruś w ramach pomocy humanitarnej. Pojawiły się problemy z płatnościami. Znam szacunki, z których wynika, że zmarnowano w ten sposób 285 mln zł. Sprawę chciano zamieść pod dywan, lecz nietaktowne pytania zaczął wiosną br. zadawać senator Krzysztof Brejza. I kilka wątków wypłynęło. Jeśli do kontroli „polskich szwalni" wzięliby się podwładni prezesa NIK Mariana Banasia, to klękajcie narody!

Rozlać czy polać?

W listopadzie 2020 r. po Warszawie krążyły plotki o rządowych planach budowy nad Wisłą fabryki szczepionek z prawdziwego zdarzenia. Premier Morawiecki prowadził rozmowy z przedstawicielami koncernów farmaceutycznych, a były już wicepremier Jarosław Gowin zaprosił do dialogu wybitnych przedstawicieli nauki polskiej. Inny wicepremier, Jacek Sasin, nie byłby sobą, gdyby także nie zajął się tym tematem. Goszcząc w studiu Polsat News 17 lutego, wyraził pogląd, że produkcja szczepionek w Polsce to kwestia przyszłości. Za to rozlewanie ich do ampułek to coś bardziej realnego. Sasin ocenił, że budowa fabryki szczepionek i uruchomienie produkcji kosztowałyby minimum 3 mld zł. Trzeba więc się zastanowić.

1 marca wicepremier od aktywów państwowych gościł w „Salonie politycznym Trójki" i po wygłoszeniu rytualnych uwag na temat niszczenia przez ostatnie 30 lat przemysłu farmaceutycznego w Polsce zdradził, że w maju br. w zakładach Polfa Tarchomin rozpocznie się montaż linii do ampułkowania szczepionek. Nie wyjaśnił tylko, czyjej firmy szczepionki będą rozlewane pod Warszawą. Grunt pod tę inicjatywę był przygotowany. W roku 2019 Polfa Tarchomin została dokapitalizowana kwotą 200 mln zł. Dodatkowe 250 mln zł miało zostać przeznaczone na wspomnianą linię rozlewniczą, o której moim zdaniem wszyscy chcą zapomnieć.

Ponieważ maseczki nie spełniały norm, zalegały w magazynach. Część wysłano na Białoruś w ramach pomocy humanitarnej.

Sytuacja ze szczepionkami w Europie wygląda tak: koncern AstraZeneca, mimo że jego specyfik jest skuteczny, ma kiepską prasę i musi szukać innych rynków. Pfizer/BioNTech, Moderna oraz Johnson & Johnson *de facto* podzieliły kontynent między siebie i dbają, by nikt im nie właził w szkodę. Jest firma Novavax ze szczepionką, o której można przeczytać, że jest świetna, daje mniej nieprzyjemnych efektów ubocznych niż preparaty konkurencji i za chwilę zostanie zarejestrowana oraz dopuszczona do użytku w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Wiosną br. polskie media informowały, że jej produkcją w naszym kraju zajmie się spółka Mabion, co było nieprawdą. Mabion ma wytwarzać na zlecenie firmy Novavax jeden z ważnych składników szczepionki.

6 sierpnia br. amerykańskie media doniosły, że spółce Novavax nie udało się uzyskać zezwolenia Agencji ds. Żywności i Leków na awaryjne użycie swojej szczepionki, co zostało zinterpretowane jako sygnał ostrzegawczy. Co gorsza, rząd amerykański nakazał firmie zaprzestanie produkcji w Stanach Zjednoczonych i ostrzegł, że jeśli nie spełni ona surowych wymagań Agencji, nie zaoferuje jej więcej finansowania.

4 sierpnia europejskie media podały, że Komisja Europejska zatwierdziła kontrakt z firmą Novavax na dostawę 200 mln dawek szczepionki przeciw COVID-19, lecz o tym, że taka umowa została wynegocjowana, wiedziano od dawna. Nadal jednak preparat nie został zarejestrowany przez Europejską Agencję Leków. Mabion, którego władze wiosną br. były pełne optymizmu, musi zatem czekać. A wicepremier Sasin musi rozstrzygnąć dylemat: rozlać czy polać?

Zbawi nas Psalm 90

Jest jeden krzepiący przykład. 1 sierpnia 2021 r. w swojej Pustelni Niepokalanów w Grzechyni suspendowany od roku 2011 ks. Piotr Natanek wygłosił transmitowane w internecie kazanie, w którym zaoferował wiernym niezawodną ochronę przed covidem – w formie legitymacji. „Przez wieki nasi ojcowie radzili sobie z covidem! – wołał kapłan. – Bóg czynił niemożebne cuda. Dlatego na drugiej stronie legitymacji macie napis: »Czy pył i bakteria mogą zatrzymać moją rękę, czyniącą błogosławieństwo nad twoją głową?«". Piotr Natanek dodał, że „tylko przez trzy miesiące będzie wydawana ta legitymacja z oryginalną pieczątką". Po czym pożalił się, że każdą podpisywał osobiście i teraz wie, dlaczego siadł mu bark.

By ostatecznie przekonać niedowiarków, kapłan zapewnił, że najskuteczniejsza szczepionka nazywa się Psalm 90 i kto będzie codziennie go odmawiał, covid nic mu nie zrobi. Na co on daje gwarancje Boga Wszechmogącego.

To prawdziwie polski wkład w walkę z globalną pandemią. A nie żadne tam maseczki, rozlewnie i leki.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Zmarł Ryszard Jarzembowski

dziennikarz, działacz lewicy, senator czterech kadencji (1993-2005), a w latach 2001-2005 wicemarszałek Senatu. Działacz sportowy i społeczny. Inicjator Stowarzyszenia Urodzonych w Niewoli Niemieckiej, w latach 1995-1997 zastępca kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Aktywny, pomysłowy, z dużym poczuciem humoru. Do ostatnich dni człowiek lewicy.

Ryszardzie, żegnamy Cię w smutku i żalu. Zostawiasz po sobie dobrą pamięć.

Senatorowie Klubu „Lewica Razem" w V kadencji Senatu RP

eprasa.pl 4a35c65921

Z Galicji

Jan Widacki

Eufemizmy

Nie wątpię, że język polityki czasów PiS będzie kiedyś przedmiotem badań naukowych. Jest to język pełen manipulacji, nadużyć semantycznych i eufemizmów.

Od pewnego czasu Jarosławowi Gowinowi wydawało się, że stoi na czele ważnej partii politycznej, a jego frakcja w klubie Zjednoczonej Prawicy odgrywa rolę języczka u wagi, co pozwala na stawianie PiS ultimatum. On sam uważał się za rozgrywającego, za męża stanu. Wszyscy komentatorzy zastanawiali się, „ile szabel" ma Gowin. Brzmi to ładnie, tradycyjnie, po polsku, rycersko. Gowin i „jego szable"! Nie o liczbę szabel tu jednak idzie, ale o liczbę paluchów, które przycisną odpowiedni guzik w trakcie głosowań. Ale paluch brzmi prostacko. Co szabla, to szabla. Szabla służy do uczciwej walki. A paluch? Na pewno jest bardziej uniwersalny. Można się nim podrapać, podłubać sobie. I oczywiście można nim przycisnąć guzik do głosowania. Licząc szable, Gowin zapomniał o paluchach. No i zbudził się z palcem w…

Nie dość, że nie dane mu było w wybranym przez siebie momencie demonstracyjnie opuścić jeśli nie tonący, to na pewno nabierający już wody i przez to mało sterowny statek Zjednoczonej Prawicy, to jeszcze został wywalony z posady wicepremiera i ministra, a na dokładkę pozostał niemal sam. Jego przeliczane wielokrotnie „szable" okazały się jedynie paluchami, w dodatku przyciskającymi te guziki, które wskazał im Kaczyński. Paluchy wolały posady rządowe lub nadzieje (może oparte na obietnicach, a może tylko na kalkulacji) znalezienia się na listach wyborczych w przyszłych wyborach. Kto wie, czy nie przedterminowych. Dostanie się do Sejmu z listy PiS jest znacznie bardziej prawdopodobne niż z listy Porozumienia Gowina, a właśnie podniesiono posłom uposażenia! Jest o co walczyć!

Gowin, teraz praktycznie samotny, politycznie podzielił los Leppera. Przez kilka lat wspierał demolowanie polskiej demokracji i porządku prawnego, łamanie konstytucji. Firmował wszystkie szaleństwa i łajdactwa. Nie zauważał nepotyzmu, kumoterstwa, korupcji własnego obozu politycznego. Jedyne, co potrafił zrobić, to czasem, głosując „za", się nie cieszyć. Ale Kaczyński nie jest aż tak subtelny, by się przejmować stanem emocjonalnym tego, kto głosuje pod jego dyktando. A Gowin przez sześć lat tak głosował, jak Kaczyński sobie życzył. Historia mu tego nie zapomni. Dziś lekceważy go zarówno PiS, jak i opozycja. Nie sądzę, aby go przytuliło nawet PSL, które raz już przytuliło Kukiza i pomogło mu dostać się do Sejmu.

Tak jak paluch eufemistycznie nazywano szablą, tak też prostytucję polityczną nazywa się teraz delikatnie korupcją polityczną. Zachowanie Kukiza i jego kompanów podczas środowego głosowania w Sejmie niewątpliwie bliższe jest prostytucji niż korupcji. Podobnie jak zachowanie niektórych paluchów Gowina po jego wywaleniu z rządu. Na tle tego, co teraz dzieje się w Sejmie i jego otoczeniu, niegdysiejsze sprowokowane przez dziennikarzy i przez nich nagrane spotkanie posła Lipińskiego z posłanką Samoobrony Renatą Beger i kuszenie jej posadą ministerialną wydaje się niewinną igraszką. A wtedy pokazane w telewizji budziło oburzenie zarówno klasy politycznej, jak i opinii publicznej. Dziś takie kupowanie posłów stało się normą.

Fatalnie to świadczy o naszej klasie politycznej. O jej moralności, nie mówiąc już o honorze.

Uważam, że Gowin sam jest sobie winien. Zadufany, przekonany o swojej mądrości politycznej i przebiegłości, o swojej roli, jak dziecko podążył drogą Leppera. Nie wiedział, że Kaczyński zjada „przystawki"? Niczego się nie nauczył z nieodległej przecież historii lat 2005-2007? W dodatku Lepper w sumie miał bardziej lojalną drużynę. W godzinie próby okazało się, że Gowin nie jest żadnym rozgrywającym na polskiej scenie politycznej, jak w swoim zadufaniu sądził. Nie potrafił nawet ocenić nastrojów we własnych szeregach. Wydawało mu się, że panuje nad swoimi „szablami", nie zorientował się, że już dawno ich nie ma. Ale nie zmienia to faktu, że towarzyszom Gowina z Porozumienia, którzy ochoczo przeszli do obozu PiS, obce są nie tylko takie pojęcia jak wierność, lojalność, ale i zwykła przyzwoitość. O honorze już nie wspominam. Kto im uwierzy, że do polityki idzie się z poczucia misji, a nie dla stanowisk i pieniędzy, skoro sami jednoznacznie pokazali, jak im zależy na stanowiskach i łączących się z tym pieniądzach? Mam nadzieję, że większość z nich zniknie po najbliższych wyborach i czeka ich nieznany los. Będą musieli żyć z pracy własnych rąk i własnego umysłu. Może im być z tym ciężko.

O Kukizie i jego wolcie nawet nie chce mi się pisać. To smutne, że od postawy kogoś takiego, kto nie ma pojęcia nie tylko o polityce, ale także o większości rzeczy, o których mówi, mogą zależeć czasem losy państwa. A Kukiz mówi ciągle o „repolonizacji" i okręgach jednomandatowych. Uważa się za polityka. Za pierwszym razem wchodził do Sejmu jako przeciwnik partyjniactwa i zepsutej klasy politycznej. Dziś nie jest już antysystemowy. Przyswoił sobie najgorsze cechy klasy politycznej. A dobrych nie zna. Zapewne uważa, że prostytucja polityczna to coś normalnego, że polityka w gruncie rzeczy na tym polega. I zapewne jest dumny, że stał się rasowym politykiem.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Andrzej Kowalski

Mark Brzezinski – co może ambasador?

PiS się go boi. I słusznie

Mark Francis Brzezinski (ur. 1965) to oficjalny kandydat na ambasadora USA w Polsce. Został mianowany przez prezydenta Joego Bidena, a w połowie ubiegłego tygodnia do Senatu Stanów Zjednoczonych wpłynął wniosek o akceptację. Nie wiadomo, czy Senat zdoła przegłosować kandydaturę przed przerwą wakacyjną. Jeśli nie, głosowanie odbędzie się na przełomie sierpnia i września, czyli nowy ambasador przybędzie do Warszawy miesiąc później.

Rodzina

Jak wiadomo, ambasador nie przyjeżdża, ale przybywa, nie je, ale spożywa, nie jedzie, lecz udaje się. Będzie ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym, co znaczy, a raczej znaczyło w czasach zamierzchłych komunikacyjnie tyle, że jego słowo jest równoważne z opinią ministra spraw zagranicznych. W przypadku MFB – sekretarza stanu USA.

Jest synem Zbigniewa Brzezińskiego, wnukiem Tadeusza Brzezińskiego, ostatniego konsula generalnego II RP w Montrealu. Jego mamą jest Emilie Benes Brzezinski, wnuczka brata (ang. *grandniece*) Edvarda Beneša, prezydenta Czechosłowacji w latach 1935-1938 i 1940-1948. Emilie to znana rzeźbiarka. Drugą żoną przyszłego ambasadora jest od 2008 r. Natalia Brzezinski, z domu Lopatniuk, 20 lat młodsza od męża, mająca również korzenie polskie – czy szerzej, z naszego regionu. Jest dziennikarką, szefową kolejnych fundacji, m.in. tych promujących współpracę USA z Unią Europejską. Siostra, Mika Brzezinski, to znana dziennikarka i prezenterka telewizyjna. Brat Ian jest związany z republikanami, był m.in. doradcą sekretarza obrony Donalda Rumsfelda. Czyli rodzina na swoim! Po amerykańsku oczywiście.

Wykształcenie i doświadczenie

Jeszcze w pierwszej połowie lat 80. dyplomaci radzieccy twierdzili, że Francja i Wielka Brytania są mocarstwami dzięki swojej dyplomacji, a USA mimo swojej dyplomacji. Dziś, podobnie jak wtedy, nikogo to nie śmieszy. Moim zdaniem dyplomacja amerykańska jest niezwykle profesjonalna. Może nawet bardziej od chińskiej czy rosyjskiej. Kandydaci do pracy w Departamencie Stanu powinni znać oprócz najpopularniejszego w USA hiszpańskiego również francuski, niemiecki czy rosyjski. Wielu też zna egzotyczne języki lub deklaruje chęć ich poznania. Miałem okazję obserwować dyplomatów wszystkich wyżej wymienionych państw, zarówno w stolicach mocarstw, jak i w mniejszych krajach. Większość dyplomatów amerykańskich, szczególnie tych młodszych, czyli mniej więcej do stanowiska I sekretarza, zna minimum język państwa urzędowania i jeden z innych języków ONZ.

Mark Brzezinski należy do pokolenia nowoczesnych dyplomatów. Zna francuski, polski i szwedzki. Jest doktorem praw i doktorem filozofii.

Znam amerykańskich dyplomatów, którzy mówią po czesku, ale by nie koncentrować się na jednym regionie i poszerzyć możliwości zawodowe, nauczyli się także hindi i farsi. By zostać dyplomatą w Chinach, trzeba, z niewielkimi wyjątkami, znać chiński. Ciekawa jest też różnica w podejściu do awansów na placówkach. Nieważne, czy dyplomata jest II sekretarzem, czy radcą. Ważne, by być kierownikiem wydziału, sekcji czy zespołu, nawet najmniejszego, powoływanego np. do rozwiązania konkretnych problemów. To daje prestiż, większe wyzwania czy finanse.

Przedstawicielem tego pokolenia nowoczesnych dyplomatów jest Mark Brzezinski, czyli MFB. Zna francuski, polski i szwedzki. Ma licencjat z polityki rządowej (Bachelor of Arts in Government), jest doktorem praw Uniwersytetu Virginia i doktorem filozofii Uniwersytetu Oksfordzkiego. Był stypendystą Fulbrighta, studiował w Polsce zasady działania Trybunału Konstytucyjnego w naszym kraju. W latach 1999-2001, za kadencji Billa Clintona, był w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego dyrektorem ds. Rosji/Eurazji oraz dyrektorem ds. Europy Południowo-Wschodniej. Na tych stanowiskach był również koordynatorem ds. promocji demokracji i rządów prawa w regionie. W latach 2011-2015, za kadencji Baracka Obamy, był ambasadorem w Szwecji. W Sztokholmie miał okazję współpracować z dwoma ambasadorami RP, Adamem Hałacińskim, który jest obecnie ambasadorem przy OBWE, i krótko, w latach 2014-2015, z Wiesławem Tarką, obecnie wicedyrektorem departamentu Europy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych może więc mieć o przyszłym ambasadorze wiadomości z pierwszej ręki.

Niektórzy nasi politycy niechętni MFB wyrażają nadzieję, że Senat nie zaakceptuje jego kandydatury w głosowaniu. To oczywiście możliwe. Tyle że jeśli prezydent USA będzie chciał go wysłać, może to zrobić – wtedy kadencja ambasadora ograniczona jest do 12 miesięcy. A potem może go awansować na zastępcę sekretarza stanu lub każde inne stanowisko. Mark Brzezinski ma wszystkie zalety zarówno ambasadora zawodowego, jak i politycznego. Jest wręcz idealną symbiozą obu.

Wyzwania w Warszawie

Mark Brzezinski jest też prawnikiem. Specjalistą w sprawach antykorupcyjnego naruszania międzynarodowych reguł. W trakcie wyżej

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 4a35c65921

Mark Brzezinski na odsłonięciu ulicy Zbigniewa Brzezińskiego, Wrocław, czerwiec 2018 r.

wymienionej pracy w Białym Domu koordynował pomoc USA dla krajów Europy Południowo-Wschodniej w umacnianiu rządów prawa. Takie zawodowe doświadczenie prawnicze i znajomość realiów Polski sprawiają, że dla rządu PiS będzie na pewno trudnym i kompetentnym partnerem, któremu nawet premier nie będzie mógł zarzucić nieznajomości historii czy realiów politycznych.

Administracja demokratów dała do zrozumienia, że nie pozostanie obojętna wobec naruszeń rządów prawa, praw człowieka, wolności gospodarczej czy słowa. Problemem jest jednak zrozumienie przez rząd w Warszawie, że to nie pustosłowie. Mark Brzezinski będzie również twardy wobec homofobicznych wypowiedzi ministra Czarnka i byłego ministra spraw zagranicznych Waszczykowskiego. Szczególnie że ten ostatni zaatakował brutalnie najbliższego współpracownika MFB w ambasadzie w Warszawie. Ale nie tylko dlatego. Po prostu społeczność LGBT w USA to wyborcy partii demokratycznej. Wróżymy Bixowi Aliu, obecnemu *chargé d'affaires* USA w Warszawie, kolejny krok w karierze, nie tylko ze względu na ohydny atak Waszczykowskiego. Bix Aliu jest również specjalistą od Europy Południowej i można się spodziewać, że za kilka czy kilkanaście miesięcy zostanie ambasadorem w jednym z tych krajów.

A wyzwania, które stoją przed ambasadorem w Warszawie? Zacznijmy od najgorętszych. Po pierwsze, telewizja TVN. Jest ona własnością amerykańskiego koncernu medialnego Discovery. Próba pozbawienia Amerykanów własności w Polsce, mimo wcześniejszej stanowczej interwencji w obronie niezależnej stacji podjętej przez poprzednią – wysłaną przez Trumpa – ambasador Georgette Mosbacher, rozwija się zgodnie z planem PiS. Mimo ostrzeżeń byłego sekretarza stanu Mike'a Pompeo, nominata Trumpa. Zaprotestował także obecny sekretarz stanu Antony Blinken. Wiadomo zatem, jakie zadania w tej sprawie będą czekały na nowego ambasadora.

Ale spodziewam się, że największym wyzwaniem dla niego stanie się sprawa restytucji mienia żydowskiego. Będzie to problem również ze względu na opór społeczny oraz uchwalenie ustawy zmieniającej Kodeks postępowania administracyjnego wspólnie przez rząd i część opozycji.

Co może ambasador?

Ambasador mocarstwa (USA) w państwie mniejszego sojusznika (Polska), mającego problemy z praktycznie wszystkimi większymi sąsiadami, może naprawdę wiele. Niektórzy – błędnie – dzielą ambasadorów USA na świecie na zawodowych (pracowników Departamentu Stanu) i politycznych (bliskich aktualnej administracji).

Imię i nazwisko	Data złożenia listów prezydentowi	Znajomość języka polskiego, ambasador zawodowy/polityczny	Mianowany przez
Thomas W. Simons jr	11.09.1990, Lechowi Wałęsie	Tak, zawodowy	George Bush, republikanin
Nicholas A. Rey	21.12.1993, Lechowi Wałęsie	Tak, polityczny	William Clinton, demokrata
Daniel Fried	27.11.1997, Aleksandrowi Kwaśniewskiemu	Nie, zawodowy	William Clinton
Christopher R. Hill	27.07.2000, Aleksandrowi Kwaśniewskiemu	Nie, zawodowy	William Clinton
Victor H. Ashe	17.07.2004, Aleksandrowi Kwaśniewskiemu	Nie, polityczny	George Bush jr, republikanin
Lee A. Feinstein	20.10.2009, Lechowi Kaczyńskiemu	Nie, polityczny	Barack Obama, demokrata
Stephen Mull	8.11.2012, Bronisławowi Komorowskiemu	Tak, polityczny	Barack Obama
Paul W. Jones	11.09.2015, Andrzejowi Dudzie	Nie, zawodowy	Barack Obama
Georgette Mosbacher	6.10.2018, Andrzejowi Dudzie	Nie, polityczny	Donald Trump, republikanin
Mark F. Brzezinski	**?**	**Tak, zawodowy**	**Joe Biden, demokrata**

eprasa.pl 4a35c65921

Takim ambasadorem była poprzedniczka MFB w Warszawie, Georgette Mosbacher. Ale tak naprawdę ambasadorowie USA dzielą się na zawodowych/profesjonalnych i politycznych również profesjonalnych, potrafiących słuchać rad dyplomatów młodszych rangą. Majstersztykiem połączenia brutalnej polityki i dyplomacji był list Georgette Mosbacher do Mateusza Morawieckiego z jesieni 2018 r., także w sprawie TVN. Tytułowanie premiera ministrem, literówki, ręczny dopisek sugerujący tok postępowania strony amerykańskiej... To wszystko wywołało efekt mrożący dla znających zasady dyplomacji. Strona polska zbagatelizowała te afronty, a pani ambasador przeprosiła za niefortunne sformułowania. Mleko jednak się rozlało, Annuszka już rozlała olej, a list przeciekł do mediów. A wystarczyło, by sekretariat premiera zwrócił list adresatce, *via* MSZ, informując notą o tytulaturze adresata i osób wymienionych w liście.

Mark Brzezinski będzie miał też inne narzędzia. Głównym będzie marchewka w postaci zarekomendowania amerykańskim władzom kontaktów na wysokich i najwyższych szczeblach. Ambasador ma również możliwość rekomendacji zwiększenia lub zmniejszenia intensywności współpracy wojskowej, rekomendacji – lub nie – dla inwestorów amerykańskich.

Doświadczenie prawnicze i znajomość realiów Polski sprawiają, że dla rządu PiS będzie trudnym i kompetentnym partnerem.

Co może strona polska?

Konfrontacyjna postawa ekipy „dobrej zmiany", która wcześniej zapisała się w pamięci demokratów zwłoką z gratulacjami dla Bidena po jego zwycięstwie w wyborach, może świadczyć o tym, że PiS liczy, iż rządy obecnego prezydenta USA nie potrwają długo – najwyżej do wyborów w 2024 r. Być może też liczy, że już w trakcie kadencji prezydentką zostanie Kamala Harris. Ona nie zna Europy, korzenie ma w Azji i tam będzie się koncentrować jej polityka.

To tylko częściowo korzystne dla PiS założenie. Nasza wschodnia flanka nie będzie już żadnym priorytetem dla USA, ale problemy własności amerykańskiej, wolności słowa, praw człowieka czy społeczności LGBT pozostaną biczem na PiS. Andrzej Duda może zwlekać z przyjęciem listów uwierzytelniających od nowego ambasadora. Pretekstem mogą być inne zajęcia prezydenta, wizyty zagraniczne lub krajowe, wreszcie Święto Zmarłych, Boże Narodzenie czy Nowy Rok. Ale co dalej?

Mam nadzieję, że władza nie będzie się uciekać do takich tanich sztuczek. Po co kopać się z koniem? No chyba że PiS ma już zaprzęg dwukonny. Ze Wschodu i Dalekiego Wschodu.

Andrzej Kowalski jest dyplomatą pracującym w MSZ, pisze pod pseudonimem

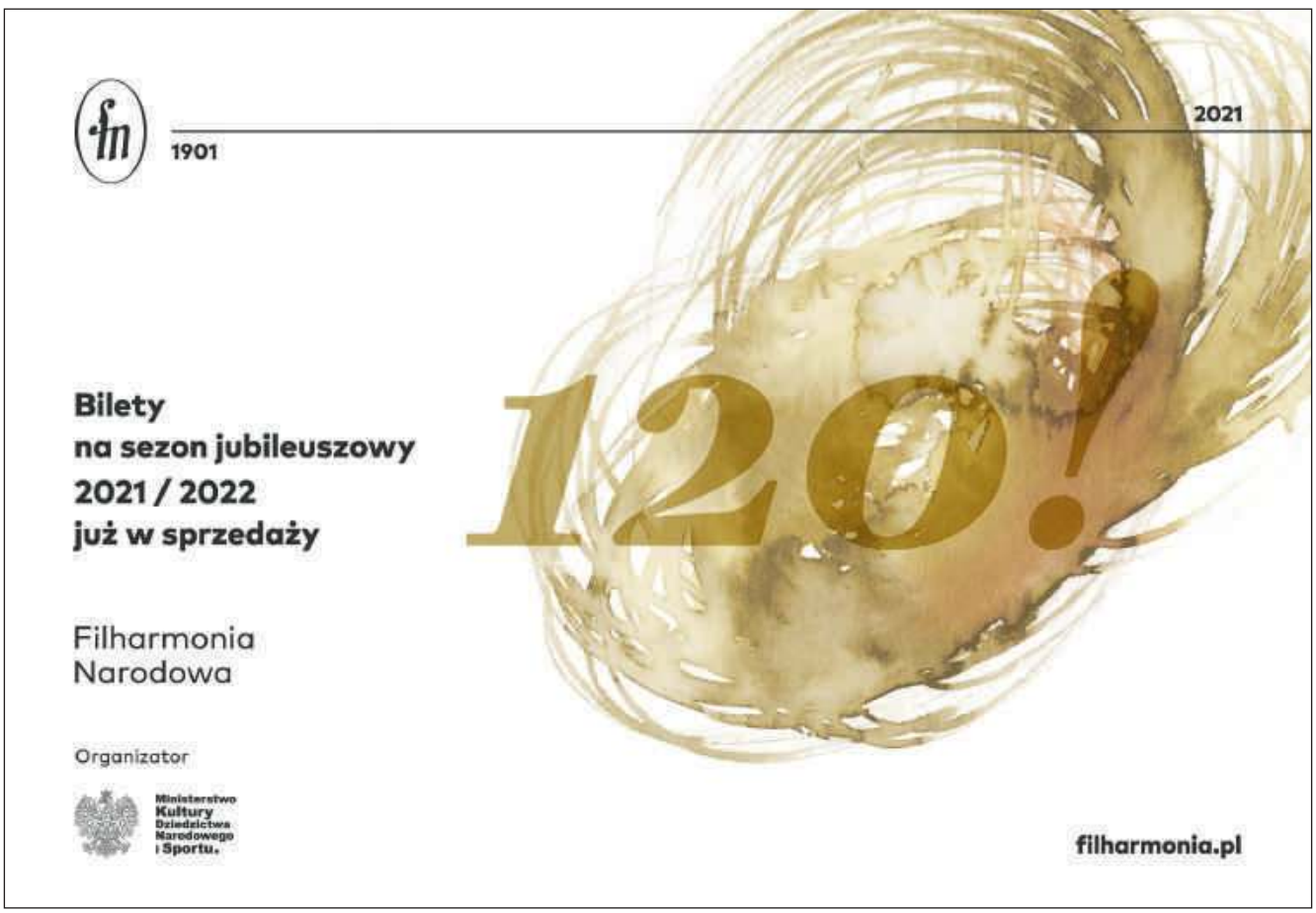

eprasa.pl 4a35c65921

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk o sensie I. Polska

Jaki sens ma Polska? Nie gorszmy się tym pytaniem – powinniśmy je sobie zadawać jak najczęściej. Był przecież czas, nawet nie tak dawny, gdy Polski na mapie nie było. I świat się nie zawalił. A przed tysiącem z górą lat nie było w ogóle przesądzone, czy jakaś Polska powstanie. To był raczej wybryk geopolityki, że ze słowiańskiego morza wyodrębnił się kolejny segment, odseparowany nawet od wcześniej powstałych Czech.

A przecież taki organizm powstał. Jego sensem stało się budowanie odrębności, oparte jednak na jedności łacińsko-germańskiej Europy. Gdy potem, w miejsce księstwa lub królestwa, pojawił się konglomerat polskich księstewek, równorzędnym sensem była ochrona Europy (Zachodu) przed pogańskim Wschodem: przed Prusami, Jaćwingami, Litwinami, Mongołami... Natomiast od czasu Kazimierza Wielkiego i kolejnych unii Polski z katolicką już Litwą sens był inny – wyznaczyła go nie wojna, lecz porozumienie ze Wschodem (zaburzały je tylko wielowiekowy konflikt z Moskwą i najazdy Tatarów krymskich). Polska stała się pomostem, jaki w jednym państwie przerzucono między obiema chrześcijańskimi cywilizacjami: łacińską i bizantyńską. A bywało, że pomost ów wiódł także w stronę cywilizacji islamu.

Aby jednak mógł on trwać, niezbędna była polityka tolerancji. I na miarę ówczesnych możliwości rzeczywiście ją prowadzono. Wprawdzie prawosławie (religia dominująca na obszarze połowy państwa Obojga Narodów) nie było nigdy dla polskich królów równe katolicyzmowi, ale też – w zasadzie – nie podlegało prześladowaniom. Tak jednak się działo tylko do czasu kontrreformacji. Gdy wiernym prawosławnym zaproponowano przejście na katolicyzm (unia brzeska z 1596 r.), a braciom polskim (arianom) postawiono wybór „katolicyzm lub wygnanie" (decyzja Sejmu z roku 1658), Rzeczpospolita wielu narodów, religii i kultur straciła sens.

Pod koniec XVIII w. było to już państwo niemal jednolite – religijnie i narodowo. Ale nie zapewniło mu to spoistości. Sens dalszego istnienia leżał zatem w głębokiej reformie ustrojowej i w powrocie do Europy (Zachodu). Ponieważ jednak Polska nie była już podmiotem polityki europejskiej, reform można było dokonywać albo pod osłoną zeuropeizowanej Rosji (tak powstał pierwszy polski rząd – Rada Nieustająca), albo pod osłoną Prus (tak uchwalono Konstytucję 3 maja). Zabrakło jednak konsekwencji. W rezultacie nastąpił drugi, a po nim trzeci rozbiór.

Szukanie nowego sensu trwało przez cały czas zaborów. Sensem Księstwa Warszawskiego był sam fakt zaistnienia tego pierwszego po rozbiorach polskiego państwa (choć bez słowa „Polska" w nazwie). Sensem wskrzeszonego w roku 1815 Królestwa Polskiego był powrót tej nazwy, ale także nadzieja, że całe ziemie historycznej Polski zostaną wkrótce złączone pod rosyjskim berłem. Sens pierwszy, napoleoński, obaliła legitymistyczna Europa. Sens drugi unicestwili sami Polacy, wzniecając antyrosyjskie powstanie. Po jego upadku pozostały już tylko wiara w nagłą miłość do Polski europejskich dworów lub czekanie na europejską rewolucję. Albo mesjanizm – przekonanie, że Polska tak czy tak musi cierpieć, bo jest „Chrystusem narodów". Na dokonujący się w kolejnym powstaniu powrót tradycji federalistycznych było już za późno.

Ale po latach pojawiła się II Rzeczpospolita. Zjednoczenie maksymalnie wielkiego terytorium sprzed rozbiorów stało się dla Polaków sensem priorytetowym. Jednak sens istnienia takiego państwa musiał być mierzony stosunkiem do narodów innych niż Polacy – po wspólnocie przedrozbiorowej właśnie taki otrzymaliśmy spadek. Tymczasem II RP pożeglowała w kierunku odwrotnym: nacjonalistycznym. A system wersalski, w którym się zakorzeniła, jej nie obronił. Dlatego sensem istnienia Polski powojennej była już nie niepodległość, lecz odrębna państwowość. I ta państwowość musiała zostać oparta nie na tamtych (egzotycznych?) sojuszach, lecz na sąsiednim ZSRR. Powstało zatem państwo z narzuconym ustrojem, lecz z „polską drogą do socjalizmu", drastycznie przesunięte na Zachód, lecz z sowiecką gwarancją integralności terytorialnej. Ta opcja się opłaciła – po latach z PRL wypączkowała III RP.

Jej powstanie było geopolitycznym cudem – porównywalnym z samym zaistnieniem Polski. Ten cud dodatkowo jeszcze potęgowało pozostanie w Polsce poniemieckich „Ziem Odzyskanych", wybronionych niegdyś przez polskich komunistów. Teraz idea Trójkąta Weimarskiego – z Niemcami i Francją – wprowadzała Polskę do serca Europy, do jej dziedzictwa z czasu Karola Wielkiego. Unia Europejska czyniła z Polski jedno z czołowych państw kontynentu. NATO gwarantowało bezpieczeństwo. A przy tym Polska uregulowała stosunki ze wszystkimi bez wyjątku sąsiadami – tego również nie przerabialiśmy nigdy w historii. Ostatecznie nasz kraj zajął szybko należne sobie miejsce: stał się wielkim zwornikiem Europy. Sens istnienia Polski okazał się głębszy, niż sami mogliśmy przypuszczać.

Wszystko to straciliśmy. Na własne życzenie. Dziś Polska, ogarnięta zimną wojną domową i zimną wojną z sąsiadami, skłócona z Unią Europejską i Stanami Zjednoczonymi, konfliktująca się z Izraelem, stała się chorym człowiekiem Europy. „Co robić z takim narodem?", jeden z mych przyjaciół zapytywał tak już jesienią 2015 r. „Tylko rozbiory!", odpowiadał z rozpaczą. Znów, jak w XVIII i XIX w., istnienie Polski nie ma dla świata sensu.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Wstyd, że Polska słabo radzi sobie z handlem ludźmi

Państwo zostawiło pewne obszary bez opieki, skorzystały na tym grupy przestępcze

Rozmawia Beata Igielska

PROF. ZBIGNIEW LASOCIK
– prawnik i kryminolog, kierownik Ośrodka Badań Handlu Ludźmi na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

W pandemii zjawisko handlu ludźmi miało się całkiem nieźle, a nawet lepiej niż przed nią. Dlaczego?

– Pandemia jeszcze bardziej osłabiła ludzi, którzy i przedtem byli społecznie słabi: cudzoziemców, kobiety, nielegalnych imigrantów, dzieci. Państwo skupiło się na likwidowaniu zagrożeń związanych z wirusem. Zostawiło pewne obszary bez opieki, a ponieważ życie społeczne nie znosi próżni, skorzystały na tym grupy przestępcze. To, co mówię, to w części spekulacje, bo w Polsce nie było badań nad handlem ludźmi. Inne kraje europejskie takie badania prowadzą. Ostatnio zaś zespół ds. zwalczania handlu ludźmi w nowojorskiej dzielnicy Brooklyn, którego jestem współpracownikiem, przeprowadził takie badania. Czyli można! A prawie 40-milionowe państwo w środku Europy nie potrafi tego zrobić.

W Polsce niełatwo przeprowadzić takie badania, bo brakuje koordynacji działań między służbami. Nie mamy też pomysłu, jak skutecznie zwalczać handel ludźmi. Drukujemy ulotki, podręczniki albo szkolimy 30 urzędników resortu rodziny. Chyba nie tak to powinno wyglądać.

– MSWiA bardzo się chwali ponadto, że wydrukowało plakat. Kto czyta taki plakat? To jak historia z wojaka Szwejka: nie było chleba, w związku z czym władze CK armii wydrukowały pocztówkę z wizerunkiem najjaśniejszego pana. Żołnierze dostali ją zamiast chleba. Jaka jest wartość takich działań?

Co zatem robić, żeby to miało sens?

– Przede wszystkim wystarczy przeczytać trzy ostatnie raporty Departamentu Stanu USA dotyczące handlu ludźmi na świecie („Trafficking in Persons Report"). Ostatni ukazał się w czerwcu. Tam są bardzo klarowne zalecenia. Można też przeczytać raporty grupy ekspertów Rady Europy GRETA, która wizytowała nasz kraj i sformułowała wiele ważnych zaleceń. Ale żeby je zrealizować, potrzebna jest wola polityczna, a tej w Polsce nie ma. Nie ma dyskusji na najwyższym szczeblu, jaka toczy się w wielu innych krajach. Jakkolwiek mam krytyczne uwagi odnośnie do zwalczania handlu ludźmi w Stanach Zjednoczonych, to tam na ten temat wypowiadają się prezydenci.

Kolejna sprawa: w Polsce jest bardzo niska świadomość społeczna tego problemu. Ostatnio przeanalizowałem wszystkie sondaże na ten temat. Co ciekawe, w sondażach zlecanych przez rząd były manipulacje treścią pytań i danymi, tak żeby uzyskać lepszy niż rzeczywisty stan wiedzy społeczeństwa na temat zjawiska. Z badań wynika np., że 90% Polaków wie, co to jest handel ludźmi. Z moich badań z grudnia 2020 r. wynika natomiast, że świadomość społeczna jest na poziomie ok. 30%.

Na problem rząd przeznacza nieco ponad milion złotych. To śmieszna kwota.

– Tyle, ile bogaty biznesmen nosi w lewej kieszeni. W Ameryce moi koledzy dostają taką kwotę jako grant badawczy. Gdy powiedziałem na konferencji Rady Państw Morza Bałtyckiego w Sztokholmie, że nasz kraj przeznacza na walkę z handlem ludźmi równowartość 250 tys. euro, ludzie pisali do mnie, że chyba się pomyliłem o jedno zero.

To dlatego kompensaty dla ofiar handlu ludźmi w Polsce są na poziomie 1 tys. zł.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4a35c65921

– Tak się zdarza. Ci słabi, biedni, niewykształceni, niemający dostępu do prawników ludzie nie są w stanie upominać się o swoje w sądzie. To dlatego w wielu krajach są specjalne programy finansowe, które tworzą po stronie państwa obowiązek rekompensowania ofiarom traumy, którą przeżyły. Polskie władze nie śpieszą się z zainicjowaniem takiego programu. A przecież państwo ma taki obowiązek, niezależnie od tego, czy ci ludzie występują z wnioskiem o rekompensatę, czy nie. Jeśli ktoś na terenie danego kraju został skrzywdzony, wykorzystany, stał się niewolnikiem, państwo ma prawny i moralny obowiązek to zrekompensować. Nasze władze mówią: tu u nas byli niewolnikami? A skąd przyjechali? A kto ich tu zapraszał? To na pewno polskie firmy ich skrzywdziły?

W jaki sposób ofiary handlu ludźmi są wykorzystywane na terenie Polski?

– Głównie jest to eksploatacja seksualna kobiet i praca przymusowa cudzoziemców na granicy wydolności fizycznej i kompletnego zniewolenia. Ofiara nie może się z tego wyzwolić, bo np. przebywa w Polsce nielegalnie, bo ma dług, bo się boi, że jeśli ucieknie, ucierpią jej bliscy. Sposoby zniewalania są wyrafinowane.

Handel ludźmi polega także na wykorzystywaniu ludzkiej naiwności. Zmusza się ludzi np. do brania kredytów albo pozyskiwania nienależnych świadczeń socjalnych, głównie w Wielkiej Brytanii i w Skandynawii. Biednych, często bezdomnych, słabo wykształconych ludzi wywozi się za granicę, lokuje w niezłych hotelach, łudząc obietnicą pracy. Tej oczywiście nie ma, a ci ludzie spędzili kilka dni w hotelu i muszą zapłacić. A ponieważ nie mają czym, przestępcy zmuszają ich do różnych zachowań, np. do wzięcia kredytu. Ponieważ są obywatelami UE, dostają kredyt, który w całości przejmują przestępcy. Albo tworzy się dla nich fałszywe dokumenty, żeby wystąpili o nienależne im świadczenia socjalne. Zanim władze się zorientują, biznes się zamyka. Ludzie ci nie są w stanie spłacić długów, więc zmusza się ich do kradzieży sklepowych i tak tworzy się system zniewolenia. Kolejna forma to przymusowe żebranie dzieci lub dorosłych. Poważnym problemem na świecie jest także przymusowe małżeństwo, które w Polsce w zasadzie nie istnieje. Podobnie z handlem ludźmi w celu pozyskiwania narządów.

W Polsce nie było badań nad handlem ludźmi. Inne kraje europejskie takie badania prowadzą.

Słuchając pana, zrozumiałam, dlaczego nasi rządzący tłumaczą się, że tak trudno zdobyć dowody. Tu działa się na psychikę, ci ludzie są tak omotani, że już nawet nie chcą zeznawać.

– Tylko że dowody trudno jest zdobyć na całym świecie, a jednak to się robi, ale to wymaga determinacji. A w Polsce jej nie ma.

Dlaczego?

– Bo w zakochanym w sobie katolickim kraju pojawia się problem, który kojarzy się z dwiema brudnymi rzeczami: z płatnym seksem oraz imigrantami. Czy może być coś gorszego niż prostytucja i groźniejszego niż cudzoziemcy? Żadna władza w Polsce nie była do nich dobrze nastawiona. Ta obecna ewidentnie nie jest. Poza tym ludzie naprawdę słabi nie interesują państwa, które buduje wieczną szczęśliwość klasy średniej. W kraju, w którym według szacunków jest 120 tys. ofiar handlu ludźmi i pracy przymusowej, Państwowa Inspekcja Pracy z dumą informuje, że nie zidentyfikowała żadnej takiej ofiary. W Norwegii czy Finlandii inspekcje pracy są liderami, „na pierwszej linii frontu".

Sposoby zniewalania są wyrafinowane. Handel ludźmi polega także na wykorzystywaniu ludzkiej naiwności.

Ofiary handlu ludźmi w Polsce mają słabą opiekę, są jakieś schroniska, ale to wszystko wygląda kiepsko.

– A jak ma wyglądać, skoro jest na to 1 mln zł? Dla porównania – w małej Belgii pięć czy sześć organizacji zajmuje się handlem ludźmi, w Wielkiej Brytanii – kilkanaście, w Niemczech – kilkanaście, a w Polsce w zasadzie dwie: Fundacja La Strada i katolickie Stowarzyszenie Pomoc z Katowic działające na rzecz kobiet. Te dwie organizacje prowadzą jedno Krajowe Centrum Interwencyjno-Konsultacyjne (KCIK). Tymczasem między Świnoujściem a Sanokiem jest 1000 km, więc jak może istnieć tylko jedno takie centrum? Lokalnie działają schroniska dla ofiar przemocy domowej, ofiar przestępstw. W nich czasami udaje się umieścić ofiary handlu ludźmi. Poza tym Polska jest miejscem docelowym tysięcy mężczyzn przyjeżdżających tu do pracy z Azji. Różnice kulturowe pomiędzy nimi a nami są gigantyczne. Wyobraźmy sobie, że policja w małym mieście identyfikuje sześciu mężczyzn muzułmanów. Co z nimi zrobić? Skierować do schroniska dla kobiet ofiar przemocy domowej, gdzie są dwa, trzy miejsca?

Amerykanie w raporcie piszą też o braku koncentracji na dzieciach.

– W Polsce nie ma problemu pracy przymusowej dzieci, tak jak np. we Włoszech, gdzie pracuje od 250 do 300 tys. dzieci. U nas jest problem dzieci cudzoziemskich bez opieki, ale nikt nie ma bladego pojęcia, ile takich dzieci jest. Władze mówią ostrożnie, że 150, ale to niemożliwe, żeby było ich tak mało. Wiem, jak te dzieci policzyć, zaproponowałem projekt, ale nic nie wskórałem. Państwo nie jest zainteresowane stworzeniem systemu opieki nad tymi dziećmi. Nawet jeśli trafią one do domu dziecka, ci, którzy sprowadzili je do Polski, robią wszystko, żeby uciekły. Przegrywamy z przestępcami rywalizację o dusze tych dzieci, mających 13-14 lat, ale także 17. Kiedyś w czasie badań spotkałem chłopca z Wietnamu, który po dwóch latach eksploatacji uciekł z Rosji, został zatrzymany na granicy przez polskie służby. Z ośrodka Straży Granicznej trafił do domu dziecka, wyszedł na boisko i zniknął. Bolało mnie serce. Nawet jeśli dziecko jest szmuglowane do Polski, w papierach wszystko wygląda dobrze. Mało wiemy, jak te dzieci do nas trafiają.

eprasa.pl 4a35c65921

Amerykanie wytykają również, że ani prokuratorzy, ani sędziowie nie potrafią pracować z dorosłymi i dziećmi w traumie.

– Są tacy, którzy świetnie potrafią, ale nie wszyscy. Przykład: policjantka rozmawia z ofiarą eksploatacji seksualnej, która coś opowiada, czasem płacze i nagle mówi, że handlarz był taki sympatyczny, myślała, że może się z nią ożeni. Policjantka mówi sobie: szkoda mojego czasu, bo ta kobieta jest niewiarygodna. Ale może nie wie, że jednym z następstw traumy jest syndrom sztokholmski, czyli rozpaczliwa próba uratowania części tożsamości poprzez stworzenie pozytywnego wizerunku oprawcy. Ofiara tworzy go, żeby nie cierpieć non stop. Albo prokurator, który nie zna zespołu stresu pourazowego (PTSD), może nie rozumieć, dlaczego ofiara raz płacze, raz jest wesoła, wraca ciągle do jakiegoś zdarzenia. A on traci cierpliwość, bo musi napisać protokół. Nie nauczył się, że jednym z elementów PTSD jest labilność emocjonalna, płaczliwość, brak koncentracji na faktach. Zapomina, że ma przed sobą nie kutego na cztery nogi przestępcę, tylko nieznającą języka cudzoziemkę w sytuacji głębokiej traumy.

Nie mamy też bazy danych na temat handlu ludźmi, mimo że Ośrodek Badań Handlu Ludźmi Uniwersytetu Warszawskiego proponował jej utworzenie w roku 2020.

– Proponowaliśmy to wiele lat wcześniej, w roku 2020 był ostatni raz. Tak jest, w Polsce nie ma i nigdy nie było profesjonalnej bazy danych, dlatego informacje poszczególnych służb nie są wiarygodne ani porównywalne. W statystykach policyjnych w którymś roku nagle pojawia się 450 ofiar, w innych latach było ok. 100. Dziennikarze pytają, co się wydarzyło, a to była duża grupa Polaków wykorzystywanych we Włoszech. Zostali indywidualnie zarejestrowani i statystyki skoczyły.

Brak zunifikowanej statystyki krajowej jest wstydliwy również dlatego, że w międzynarodowych raportach Polska prezentuje dane gromadzone nie przez państwo, tylko przez KCIK. A ta statystyka też nie jest w pełni transparentna i też nie wiadomo, według jakich kryteriów ofiary są liczone. Ta kwestia jest przedmiotem krytyki i komentarzy zagranicznych: duże państwo w centrum Europy nie ma wiarygodnych danych. Niedawno władze Uniwersytetu Warszawskiego nawiązały kontakt z MSWiA, zawarliśmy porozumienie w sprawie zbudowania bazy. Napisałem koncepcję, stworzyliśmy konsorcjum eksperckie, złożyliśmy dobry wniosek o granty norweskie. I co? I przegraliśmy z mało znaczącymi projektami policji.

Nasz kraj przeznacza na walkę z handlem ludźmi równowartość 250 tys. euro.

Autorzy raportu wytknęli poza tym, że w pandemii źle działały zdalne przesłuchania ofiar handlu ludźmi.

– One są umocowane prawnie, żeby unikać bezpośredniego kontaktu ofiary ze sprawcą, a część ofiar jest przesłuchiwana już na terenie swojego kraju. Amerykanie twierdzą, że w pandemii było to zjawisko masowe, a służby śledcze nie dokładały starań, żeby przesłuchanie zostało przeprowadzone poprawnie. To jest problem, bo obrońcy przestępców mogą łatwo kwestionować jakość tych przesłuchań. Tu nie ma równości, bo przestępcy mają najlepszych prawników, są świetnie zorganizowani, a ofiara jest sama i często nie zna języka. Pod byle pretekstem zeznania można zakwestionować. W efekcie sprawcom udaje się uniknąć zarzutów o handel, a zostają te o sfałszowanie dokumentu czy nielegalne przekroczenie granicy. Siłą rzeczy orzeczone kary są bardzo niskie lub symboliczne. To także wytknęli nam Amerykanie.

Przestępcy mają najlepszych prawników, są świetnie zorganizowani, a ofiara jest sama i często nie zna języka.

W raporcie rząd amerykański podkreśla, że Polska kolejny rok nie spełnia minimalnych standardów eliminowania handlu ludźmi. Jesteśmy wśród krajów tzw. drugiej kategorii. Co to za kategorie?

– W 2000 r. Amerykanie uchwalili ustawę kompleksowo regulującą zwalczanie handlu ludźmi i te standardy. A ponieważ są aktywni na arenie międzynarodowej, zainicjowali doroczny, globalny raport na ten temat. Stworzyli trzy kategorie państw. Pierwsza to kraje, które w zadowalającym stopniu spełniają określone w ustawie standardy. Druga to państwa, które podejmują jakieś działania, lecz nie do końca sobie radzą albo np. na ich terenie rośnie liczba ofiar. W tej kategorii jest też podkategoria – lista krajów będących pod obserwacją, niezadowalająco wypełniających kryteria i przesuwających się ku kategorii trzeciej, czyli krajów, które nie radzą sobie z problemem lub go ignorują. Kraje tej kategorii nie mogą liczyć na przywileje ze strony USA w stosunkach handlowych, dyplomatycznych, politycznych i społecznych.

Oczywiście ten ranking jest czysto polityczny, ma zagorzałych przeciwników i zwolenników. Natomiast jest faktem, że Polska znajduje się w wyższej podklasie kategorii drugiej. Amerykanie grożą nam palcem, że jeśli chodzi o eliminowanie handlu ludźmi, to nie jesteśmy wiarygodni. Konsekwentnie wytykają nam brak nakładów – ten nieszczęsny 1 mln zł. Nie akceptują tego, że jest coraz mniej wyroków skazujących, a kary są coraz łagodniejsze. Dodatkowo został zlikwidowany międzyresortowy zespół ds. walki z handlem ludźmi. Istnienie tego ciała, powoływanego przez premiera, było spełnieniem obowiązku nałożonego przez dyrektywę UE z 2011 r. W 2019 r. zespół został formalnie zlikwidowany, a jego status obniżony do rangi zespołu doradczego ministra spraw wewnętrznych i administracji. Amerykanie natychmiast nam to wytknęli. Natomiast w UE nikt nawet nie zauważył, że Polska złamała dyrektywę.

Czy coś nam grozi?

– „Groziłoby”, gdybyśmy znaleźli się w trzeciej kategorii, ale do tego droga daleka. Pewnie w drugiej kategorii będziemy trwali przez lata. Natomiast sam fakt, że kraj został zdegradowany, powinien być ostrzeżeniem. To trochę wstyd.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Reasumpcja po staropolsku

Kto nigdy nie reasumpcjonował, niechaj pierwszy rzuci kamieniem w marszałkinię Witek, w sensie oczywiście biblijnym… nie, nie, stop, bo tam naprawdę z bardziej błahego powodu potrafili ukamienować. Chodzi o to, że można krytykować, niekoniecznie rzucając kamieniem czy pchając posła Sośnierza (poseł pchnięty, czyli zlinczowany, czekamy na wjazd policji do pchacza, byle mu nie siadali we czterech na klatce piersiowej, bo będzie jak w Lubinie).

Intensywność polityczna ostatnich dni: wygnanie Gowina, wygranie strajku w Parocu w Trzemesznie, przepchnięcie lex TVN kolanem, a bardziej wypełnianiem srebrnikami kieszeni kukizowców, wbrew wszystkim i wszystkiemu oprócz sojuszniczych sił na Węgrzech, w Turcji i w innych autorytaryzmach prawicowych na świecie (jak to z tą Rosją – nie wiem, gubię się, nieufny jestem), daje pole do popisu (w znaczeniu tradycyjnym, a nie partyjnym POPiS-u) publicystycznego. Można rozważać wpływ zdrowia psychicznego przywódcy na realną politykę, można analizować natężenie konfliktu z USA wobec próby zmaltretowania czy przejęcia bądź co bądź amerykańskiego (właścicielsko) biznesu, jakim jest obecnie TVN (Discovery). Czy kiedy PiS zabierze medialne zaplecze opozycji liberalnej, to jankesi przerzucą trochę czołgów do Rumunii, czy przestaną sprzedawać albo podniosą ceny części zamiennych do F-16, tak że myśliwce ani nie odlecą, ani nie wylądują, czy jeszcze coś? Nie wiem, nie znam się, poczekam z komentarzem.

Najbardziej mnie porusza językowy wymiar tej katastrofy parlamentarnej, który obserwuję od dawna – tworzenie, wdrożenie i używanie języka sztucznego, napuszonego, pełnego patosu, który ukrywa rzeczywisty wymiar działań. Tworzą takie „języki" zastępcze środowiska i branże zawodowe, grupy interesów, hobbyści, lobbyści. Mają swój język myśliwi, teoretycznie po to, żeby precyzyjnie oddać swoją miłość do zwierząt i przyrody, czyli wszechmocne panowanie nad światem nieludzkim – zabijanie zwierząt, ich męczarnie, cierpienie, ból nagle znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie ma w języku myśliwych krwi – jest farba, nie ma śmierci, nie ma dorzynania rannych zwierząt. Podobnie z policją i jej językowymi wygibasami, kiedy trzeba opisać rodzaj i natężenie przemocy fizycznej, której policjanci użyli wobec kogoś zatrzymywanego. Język ujawnia i skrywa, jest giętki, naginany, molestowany. Język jest też jakoś bezbronny wobec nas – gwałcących go. Udzielałem ostatnio krótkiej wypowiedzi o miejscu i prawie do istnienia wulgaryzmów w mediach, tekstach dziennikarskich. Broniłem ich prawa do istnienia w przekazie, ponieważ wulgaryzmy są ważną i nieusuwalną częścią ludzkiej komunikacji i ekspresji. Wulgaryzmy istnieją realnie, wybrzmiewają, są jak przyprawy w potrawie, konieczne, bo nadają smak, ale trzeba wiedzieć, ile ich dodać. Żeby nie przepieprzyć. I są mniej groźne dla naszego dobrostanu społecznego od owych „farb" czy parlamentarnych „reasumpcji".

Przyjrzyjmy się uważniej i z bliska temu, co znaczy owo pięknie, trudno, starodawnie, niemal religijnie brzmiące słowo. Jak pozorem prawnego majestatu pudruje fakt nagiej przemocy politycznej, bo naszych było za mało do podniesienia ręki i naciśnięcia przycisku. Z reasumpcją na ustach głosujemy raz jeszcze, jeszcze raz. Do skutku. Nie pierwszy raz za tej władzy. Słowo reasumpcja buduje fałszywe alibi dla prawdziwego nadużycia. Bo wciąż trudno tak w oczy powiedzieć: ważne są tylko te głosowania, które wygrywa strona rządząca. Jeśli przegrywa, będziemy głosować do skutku.

Bo cóż znaczy owa reasumpcja? Jest to słownikowo zapożyczenie z łaciny opisujące pewien prawny trik, polegający na sprawnym, szybkim skorygowaniu błędu podczas procesu stanowienia prawa na różnych poziomach. Ma to swój sens i rację bytu. Problem w tym, że głosowanie przegrane z powodu braku odpowiedniej liczby głosów poselskich nie jest takim błędem, który pozwala uruchomić procedurę ponownych głosowań. Błąd polityczny (brak większości, „niepoliczenie się") nie jest błędem regulaminowym, czymś, co dzięki owej „reasumpcji" pozwala przegłosowywać do skutku. Ale oczywiście nie dla PiS i nie dla Kaczyńskiego.

Ważne są tylko te głosowania, które wygrywa strona rządząca. Jeśli przegrywa, będziemy głosować do skutku.

Taką próbę reasumpcji pokazywał już film „Sami swoi", gdzie jadącemu do sądu bohaterowi matka wręcza granat ze słowami: „Sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie". Jest więc pisowska „reasumpcja" takim granatem i co możemy zrobić? No prawie nic. Możemy przywołać słowa realnie opisujące to, co się stało: oszustwo, nadużycie, przestępstwo legislacyjne, naruszenie obowiązującego prawa w formie regulaminu Sejmu. To zatem czysta polityczna bandyterka, a nie żadna „reasumpcja". I przyjdzie pani marszałkini za to odpowiedzieć. Bez reasumpcji.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Robert Borkowski

Szturm na Hel

Tegoroczne lato bije rekordy frekwencji. Jak za dawnych lat wróciły kolejki po pieczywo, do smażalni i barów

Półwysep Helski, długi na 35 km, w najwęższym miejscu mający zaledwie 150 m, zamieszkany jest na stałe przez 8,5 tys. osób, lecz w sezonie letnim przebywa tu każdego dnia 100 tys. gości. Tegoroczne lato bije rekordy frekwencji. Jak za dawnych lat – wróciły kolejki po pieczywo, do smażalni i barów, zwłaszcza tych tańszych. Ceny wzrosły, ale opowieści o paragonach grozy są grubo przesadzone.

Epidemii jakby nie było, coraz mniej osób zakłada maseczki, nawet w sklepach. Przy wejściach na plaże ani w toi toiach nie ma już dystrybutorów z płynem do odkażania. W ubiegłym roku pośród plażowych śmieci dominowały maseczki, w tym roku za to morze wyrzuca sporo plastikowych lampionów, bo puszczanie ich było w lipcu modne.

Każda z pięciu miejscowości półwyspu ma swoją specyfikę. Chałupy są mekką surferów gnieżdżących się na zatłoczonych kempingach. Płytkie i ciepłe wody Zatoki Puckiej, zwanej przez Kaszubów małym morzem, to raj dla miłośników sportów wodnych. Do Helu przyjeżdżają turyści złaknieni widoku fok w fokarium i atrakcji militarnych, a Kuźnicę wybierają ceniący ciszę i spokój. Jurata utrzymuje snobistyczny charakter kurortu ludzi bogatych. W Jastarni dominuje natomiast prosta rozrywka, pełno tu sklepików, straganów i barów. Już drugi sezon działa dyskoteka na plaży. Jest tajemnicą poliszynela, że konsumuje się tam nie tylko napoje wyskokowe, ale nikogo to nie oburza, wyjąwszy część mieszkańców, przyzwyczajonych do innych wczasowiczów niż rozrywkowa młodzież w wieku 16-20 lat. Maszyniści porannych pociągów mają teraz opóźnienia, bo zatrzymują się, by budzić leżących pokotem na torach, których sen złapał przed dotarciem na pola namiotowe. Napojów rozweselających sprzedaje się wszędzie sporo i nie jest niczym nadzwyczajnym widok rodzin, które biesiadują na ławkach aż do zapełnienia śmietników butelkami. Wygląda na to, że reżim policyjno-prawny w tej części kraju zanikł.

Pan Janek, który co rano wywozi worki ze śmieciami, mówi, że w tym roku śmieci więcej i że ciężkie, bo dużo butelek w workach. Odpady są problemem i generują znaczne koszty, wszystkie śmieci wywozi się bowiem poza półwysep. Również na gminy nałożono obowiązek usuwania padłych fok, po zgłoszeniu takich przypadków naukowcom ze Stacji Morskiej na Helu. Ale wyspecjalizowanych i certyfikowanych firm jest niewiele, dlatego nie należy do rzadkości widok foczej padliny spoczywającej na brzegu przez tydzień lub dwa. Pretensje kierowane są do ratowników.

Turystyka to najważniejszy element gospodarki województwa pomorskiego, a region ten plasuje się na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o liczbę turystów wakacyjnych. Ci docierają na półwysep najczęściej samochodem. Natężenie ruchu jest bardzo duże. W pilotażowym programie badań uzyskano wynik ok. 700 samochodów przejeżdżających przez półwysep w ciągu godziny, czyli 7 tys. pojazdów przez 10 godzin. Wydawałoby się, że kolej jest mniej inwazyjna dla środowiska, ale

FOT. MATEUSZ OCHOCKI/KFP/REPORTER

eprasa.pl 4a35c65921

nie zawsze. Ostatnio PKP postanowiły uszczęśliwić mieszkańców planem budowy drugiego toru kolejowego, choć jeden w zupełności wystarczał, zwłaszcza że po dwóch miesiącach wakacji większość połączeń kolejowych zostaje zawieszona.

Słońce, piasek i gastronomia to podstawa wypoczynku. Wszędzie spotyka się plażowiczów z psami, miłośnicy czworonogów upodobali sobie ten rejon, gdyż nie ma tu żadnych ograniczeń co do ich wyprowadzania. W ostatnich latach Półwysep Helski przyciąga jednak więcej turystów aktywnych, uprawiających kitesurfing, windsurfing, wiosłowanie na desce i nurkowanie. Samo pływanie nie cieszy się zainteresowaniem. Może to sprawia, że utonięć jest mimo wszystko niewiele. – Plażowicze lekceważą ostrzeżenia i nie uczą się nawet na własnych błędach – mówi Jarosław Zwierzyna dowodzący grupą ratowników. – W lipcu wyciągnęliśmy z wody na plaży niestrzeżonej trzy nastolatki, które wpadły w panikę, utraciwszy grunt pod nogami, i zaczęły tonąć. Okazało się, że kilka lat temu ratowaliśmy je w identycznej sytuacji! Bałtyk jest niewielkim i płytkim morzem, ale ukształtowanie dna w strefie przybrzeżnej powoduje powstawanie groźnych prądów wstecznych i dennych. Mała liczba ofiar (w tym sezonie nie było utonięć) na Półwyspie Helskim wynika z bardzo dobrej organizacji służby ratowniczej w gminie Jastarnia. Łączność i użycie szybkich łodzi motorowych, skuterów wodnych i quadów umożliwiają przeprowadzanie skutecznych akcji nie tylko na dziesięciu plażach strzeżonych od strony pełnego morza w miasteczkach, ale także ratowanie na długich odcinkach plaż pomiędzy miejscowościami od Chałup aż po Hel. W dodatku ratownicy pełnią tu dyżur 24 godziny na dobę i po godzinach pracy kąpielisk na plaży zawsze przebywa ratownik dyżurujący pod telefonem alarmowym.

Niesłabnącym zainteresowaniem cieszy się turystyka militarna. W rejonie Jastarni znajdują się polskie bunkry wykorzystane w obronie w 1939 r., natomiast w pobliżu Helu niemieckie umocnienia z wieżą obserwacyjną – skansen ten przyjmuje rocznie 100 tys. zwiedzających. Pod koniec sezonu letniego miłośnicy militariów spotykają się na D-Day Hel, widowisku plenerowym lądowania w Normandii, skupiającym kolekcjonerów zabytkowych pojazdów wojskowych i grupy rekonstrukcyjne. Na turystykę o charakterze edukacyjnym składają się również ścieżki ekologiczne i Muzeum Chata Rybacka w Jastarni.

Popularne, chociaż nie masowe, stały się wycieczki na rowerach lub z kijkami. W ślad za wzrostem liczby biegaczy oraz kijkarzy zaczęto organizować maratony i półmaratony plażowe pomiędzy Jastarnią a Władysławowem. Dla miłośników wyczynu od 2002 r. organizowany jest Marsz Śledzia, którego trasa przecina Zatokę Pucką po płyciznach. Do Rewy w pobliżu Trójmiasta uczestnicy maszerują w wodzie po szyję i tylko niewielkie odcinki muszą pokonywać wpław.

Na Helu jest podobnie jak w Zakopanem – ciasno od stu lat.

W ostatnich dwóch dekadach wraz ze wzrostem zamożności społeczeństwa postępuje rozwój jachtingu motorowego, pojawiają się nowe wynalazki, np. elektryczne deski surfingowe. W każdej miejscowości działają wypożyczalnie skuterów wodnych oraz łodzi żaglowych, kajaków i desek. Wody Zatoki Puckiej są atrakcyjne dla płetwonurków, znajduje się w nich bowiem ponad 20 wraków dostępnych do podwodnej eksploracji. Turyści, którzy chcą poznać półwysep z lotu ptaka, korzystają z sezonowego lotniska polowego w Jastarni, oferującego loty widokowe na trasie pomiędzy Jastarnią a Kuźnicą. Loty w kierunku wschodnim są wykluczone z racji umiejscowienia w Juracie prezydenckiej rezydencji.

Uprawianie wędkarstwa też jest elementem wypoczynku i rekreacji na półwyspie. A rejsy wędkarskie kutrami po zatoce stały się dla miejscowych rybaków alternatywnym źródłem dochodów wobec ograniczeń w rybołówstwie. W wyniku przełowienia Bałtyku populacja poszukiwanych ryb, w tym dorsza, drastycznie się zmniejszyła, a do sieci trafiały coraz mniejsze osobniki. Populacji dorsza grozi wyginięcie, Unia Europejska wprowadziła więc zakaz połowów, skoro nie wystarczyły wcześniejsze regulacje ograniczające kwoty połowowe i wyznaczające okresy ochronne. Budzi to wśród miejscowych niechęć do Brukseli, co wykorzystała w tym roku Agrounia, organizując w lipcu uciążliwe blokady drogi z Władysławowa na Hel, w ramach solidarności rolników z rybakami.

Partykularne interesy różnych branż gospodarki, turystyki i przemysłu, dążących do rabunkowej eksploatacji zasobów w pasie przybrzeżnym, są największym zagrożeniem dla ekosystemów. Ścierają się interesy rybaków, branży odnawialnych źródeł energii zainteresowanej rozwojem farm wiatrowych, środowisk ekologów lansujących utopijne projekty rozwoju populacji fok, branży naftowej oraz deweloperów, co przy słabości organizacyjnej polskiego państwa skutkuje chaosem inwestycyjnym. Przykładem ingerencji w środowisko było nielegalne powiększenie powierzchni półwyspu o 7 ha przez właścicieli kempingów, którzy nawożąc piasek, przesunęli linię brzegową na długości 4 km w głąb zatoki. Na prace nie zareagował żaden urząd.

Z kolei w niektórych projektach środowisk radykalnych ekologów proponowano nasadzanie szuwarów trzcinowych w strefie brzegowej Zatoki Puckiej, co zamknęłoby ten akwen dla wodniaków. Kolejnym pomysłem na przywrócenie stanu rzekomo naturalnego miało być zaprzestanie sprzątania plaż z materii organicznej (wodorosty, plankton, padlina) oraz wycięcie sosny czarnej, kosodrzewiny i krzewów dzikiej róży jako gatunków obcych. Tego rodzaju fanatyczne i utopijne pomysły zagrażające turystyce i rybołówstwu zostały oprotestowane przez wszystkie zainteresowane środowiska, wspierane przez władze lokalne i skupiające się w Stowarzyszeniu Ruch Obrony Półwyspu i Obszaru Zatoki Puckiej.

Na Helu jest podobnie jak w Zakopanem – ciasno i gwarno od stu lat. Jednak mimo narzekań na tłok i drożyznę wakacje tam cieszą się niesłabnącą popularnością.

Robert Borkowski jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego i ratownikiem WOPR, od wielu lat działa jako ratownik społeczny w Kuźnicy na Helu

eprasa.pl 4a35c65921

Wirus na platformie

Media społecznościowe nie poradziły sobie z dezinformacją

Jakub Dymek

Cofnijmy się w czasie. Jest luty albo wczesny marzec 2020 r. Świadomość zagrożenia nowym koronawirusem dopiero zaczyna docierać do społeczeństw Zachodu. Światowa Organizacja Zdrowia jeszcze nie ogłasza – stanie się to 11 marca – pandemii. Jednak już wtedy korporacje cyfrowe – Facebook, Twitter czy Google – pochwaliły się, że pomagają walczyć z medyczną dezinformacją, a więc i z koronawirusem, po czym wypięły pierś do orderów. Okazję do tego stworzyła im sama WHO, która potrzebowała dużego medialnego wydarzenia do podreperowania swojego wizerunku. I tak poszła w świat wieść, że urzędnicy, lekarze i Dolina Krzemowa ramię w ramię będą walczyć zarówno o nasze zdrowie, jak i o higienę informacji. Sam szef WHO podał rękę firmom technologicznym – amerykańskim, europejskim, chińskim – i pochwalił ich wysiłki. Wiele mediów bezkrytycznie podeszło do tej obietnicy i przekazało ją dalej: „Brawo, Dolina Krzemowa, brawo, WHO!".

Ten niezwykle ambitny, bezczelny wręcz plan wykorzystania globalnego kryzysu zdrowotnego do podreperowania wizerunku platform społecznościowych i korporacji cyfrowych udał się co najwyżej w połowie. To fakt, cyfrowi giganci mieli przez chwilę dobrą prasę i odsunęli w czasie nieuchronną krytykę. Jednak nikt, kto uważnie śledził problem dezinformacji, nie dał się nabrać – ani wtedy, ani dziś. Antynaukowe przesądy i teorie spiskowe miały się równie dobrze na początku pandemii, jak i teraz. Widzimy to choćby w niechęci do szczepień, która paradoksalnie tylko rośnie mimo większej dostępności i skuteczności szczepionek.

A te same media i platformy społecznościowe, które już u progu pandemii deklarowały, że zwalczają dezinformację, nadal są urodzajnym polem dla wszelkich koronabzdur. Dlaczego?

Technokraci i szarlatani

„Oni zabijają ludzi", warknął prezydent USA Joe Biden, zapytany w połowie lipca o rolę Facebooka i innych mediów społecznościowych w sianiu antyszczepionkowej propagandy i teorii spiskowych. Później wycofał się ze swoich słów i doprecyzował, że chodziło mu tak naprawdę o tych, którzy sieją za pomocą platform najbardziej zabójcze teorie, a nie o platformy jako takie. Ale wychodzi prawie na to samo. Gdyby media społecznościowe nie dały tym ludziom narzędzia do szerzenia medycznej szarlatanerii i zarabiania na nieprawdziwych kuracjach, głoszone przez nich brednie nigdy nie cieszyłyby się takim zasięgiem.

Media społecznościowe dały ludziom narzędzia do zarabiania na nieprawdziwych kuracjach i medycznej szarlatanerii.

Biały Dom w swojej (nie pierwszej zresztą) wymianie ciosów z Doliną Krzemową powołał się na głośny od niedawna raport CCDH. Center for Countering Digital Hate to organizacja, która zgodnie z nazwą zajmuje się informowaniem o nienawiści i dezinformacji online i przeciwdziałaniem tym zjawiskom. Opracowanie, na które powołała się administracja Bidena, mówi zaś, że tylko dwunastka wpływowych antyszczepionkowych celebrytów, ekspolityków czy internetowych osobowości, słowem influencerów, odpowiada za aż 65% antyszczepionkowych treści i dociera do milionów anglojęzycznych użytkowników na platformach społecznościowych. Ten ruch generuje oczywiście przychody – zyskują zarówno influencerzy, jak i platformy. Ci pierwsi zarabiają na produktach, które reklamują, dzięki wpłatom fanów, sprzedając książki i filmy. Facebook też na tym korzysta, choć to nieco bardziej skomplikowane. Raport CCDH (i nie tylko on) domaga się wyrzucenia owej „dezinformacyjnej dwunastki", z czym platformy zwlekają.

Facebook już kilkakrotnie od 2018 r. obiecywał zakazać publikacji reklam zawierających antyszczepionkowe treści lub dezinformację

Czy chcesz się zaszczepić bezpłatną szczepionką przeciwko COVID-19

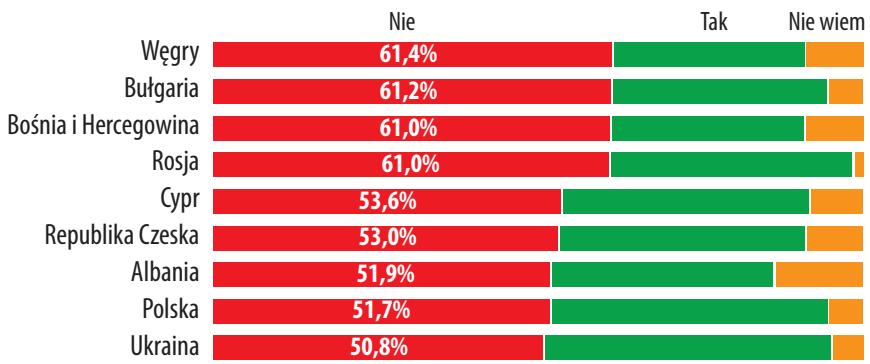

Źródło: Gallup

eprasa.pl 4a35c65921

Już w 2018 r. w Londynie odbył się protest na rzecz likwidowania fałszywych kont i usuwania nieprawdziwych informacji z Facebooka.

medyczną. Także po to, by uciąć oskarżenia wobec firmy o branie pieniędzy wprost od oszustów i zarabianie na ludzkim nieszczęściu, chorobie i niewiedzy. Jednak ludzie zdeterminowani, by walczyć ze szczepionkami (i na tej walce zarabiać), wciąż znajdują sposoby obchodzenia zakazów i ograniczeń. A znajdują je również dlatego, że platformy w rodzaju Facebooka czy YouTube'a dążą właśnie do maksymalnego ułatwienia jak największej grupie osób tworzenia i zamieszczania treści, no i zarabiania na nich. Jeden i drugi cel wchodzą w oczywisty konflikt – ale to nie pierwszy i nie ostatni paradoks w tej historii.

Choć najlepsze dane i opracowania pochodzą z USA, to Polska jest być może nawet bardziej zagrożona chaosem informacyjnym. Kolejne badania prowadzone przez renomowane ośrodki – publikowane w magazynie „Nature" czy przez pracownię Gallupa – pokazują, że od przynajmniej 2019 r. Polska niezmiennie jest w ścisłej czołówce najbardziej antyszczepionkowych społeczeństw w krajach rozwiniętych. Czasami wypadamy lepiej lub tylko nieco gorzej od Czechów, Francuzów, Węgrów czy Rosjan – ale odsetek ludzi niechętnych szczepionkom jest u nas szokująco wysoki i przekracza 50%.

Facebook twierdzi, że do końca 2020 r. usunął 12 mln fałszywych wpisów, YouTube zaś 900 tys. materiałów wideo.

Zapraszamy na tajną kolację

Gdy prezydent Biden zaatakował Facebooka, rzecznik firmy odpowiedział, że „nie będzie zawracał sobie głowy tezami, które nie mają oparcia w faktach". I dodał: „Dzięki nam 2 mld ludzi sięgnęło po potwierdzone informacje na temat COVID-19 i szczepionek. Fakty pokazują, że Facebook pomaga ratować ludzkie życie. Kropka". Rzeczywiście, z metodyką i szczegółowymi informacjami w raporcie CCDH można się spierać. Jego autorzy szacują wpływy „dezinformacyjnej dwunastki" na 36 mln dol., a wartość rynku antyszczepionkowej reklamy na platformach społecznościowych na ponad miliard dolarów. Nie mamy jednak jasności, skąd wzięły się te liczby.

Wiemy jednak z innego badania, ale i z licznych doniesień prasy, że nawet informacje dawno zdementowane i oznaczone przez fact-checkerów jako fałszywki mogą wisieć na Facebooku czy Twitterze w najlepsze. Według badania przeprowadzonego jeszcze w 2020 r. przez Reuters Institute 59% treści oznaczonych przez fact-checkerów jako fałszywe wciąż było dostępnych, bez dodatkowych ostrzeżeń, na Twitterze (odsetek dla YouTube'a i Facebooka wyniósł 27% i 24%). Dlaczego to ważne? Bo mówimy nie o ogóle informacji czy losowej próbce wybranej przez badaczy, ale o wpisach poddanych weryfikacji, o których wiedziały same platformy. Jeśli z usuwaniem tych treści, o których już wiemy, jest problem, to jak wierzyć, że platformy poradzą sobie z ukrytą, zawoalowaną czy zakodowaną dezinformacją?

Głośnym przykładem jawnej fałszywki, która nie chce zniknąć, był w zeszłym roku film paradokumentalny „Plandemia", który, choć usuwany, wracał – za każdym razem trafiając do kolejnych milionów widzów. A sposoby, by uniknąć cenzury czy monitoringu ze strony administratorów, bywają zmyślne. Dziennikarze odkryli np. 40-tysięczną grupę pandemicznych sceptyków, którzy, by uniknąć wykrycia, zamiast pandemia pisali kolacja, a szczepionki nazywali pizzą. Organizacja Media Matters for America poinformowała zaś ostatnio, że udało jej się zidentyfikować w USA 284 czynne grupy antyszczepionkowe, gromadzące ponad pół miliona ludzi. Autorzy tego opracowania skarżyli się, że przez ponad tydzień Facebookowi udało się usunąć zaledwie 15% zgłoszonych przez nich stron antyszczepionkowych. A CCN donosiła, że do niedawna można było bez żadnych konsekwencji posługiwać się na Facebooku hasłem #SzczepionkiZabijaja.

Firmy odpowiadają na tę krytykę liczbami – Facebook twierdzi, że do

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 4a35c65921

końca 2020 r. usunął 12 mln fałszywych wpisów, YouTube zaś 900 tys. materiałów wideo.

Deplatformizacja pomoże?

Duża część krytyki platform społecznościowych zaczyna się i kończy na postulacie karania, cenzurowania i blokowania – czyli „deplatformizacji" – największych informacyjnych szkodników. Jednak nawet gdyby wyrzucić najbardziej wpływowych antyszczepionkowców albo zredukować ich wpływy finansowe do zera, co wcale nie byłoby takie łatwe, nie rozwiązuje to problemu.

Pokusa cenzury jest zrozumiała i nierzadko uzasadniona – są przecież na platformach treści tak absurdalne, mylące lub oszczercze, że wprost niebezpieczne. Ale usuwanie i blokowanie niewygodnych treści nie jest wcale niewinnym narzędziem. Dając platformom społecznościowym prawo decydowania o kształcie debaty publicznej i rolę ostatecznego arbitra prawdy, dajemy im tylko więcej władzy i możliwość dalszego ograniczania wolności słowa. Nie raz i nie dwa zdarzało się, że w sito przeznaczone do filtrowania dezinformacji trafiały rzetelne teksty, wpisy w ogóle niezwiązane z pandemią czy przypadkowe konta i filmy.

Wiemy już z doświadczenia, że nawet dość powszechna zgoda co do szkodliwości jakichś treści (np. mitów o szczepionkach) nie prowadzi do natychmiastowych rezultatów. Granica między dezinformacją a zwątpieniem i krytyką rządów w czasie pandemii bywa zaś płynna. Wcale nie jest jasne, jak zdefiniować i określić tę kategorię. Z opowieściami o reptilianach, Billu Gatesie i wszczepianiu chipów i tak jest łatwo – można szybko je obalić i wyśmiać jako bajki. Ale czy każda krytyka rządów i oficjalnych polityk – USA, Polski, Chin czy WHO – też jest podejrzana?

Geneza problemu leży nie w liczbie kłamliwych wpisów i skuteczności ich usuwania, ale w modelu biznesowym platform cyfrowych.

Geneza problemu leży nie w liczbie kłamliwych wpisów i skuteczności ich usuwania, ale w samym modelu biznesowym platform cyfrowych. Media społecznościowe zarabiają dzięki temu, ile czasu i zaangażowania – mierzonego kliknięciami, lajkami, wyświetleniami i udostępnieniami – są w stanie od swoich użytkowników uzyskać. Im więcej czasu i zaangażowania, tym więcej reklam udaje się wyświetlić. Dlatego algorytmy podsuwają użytkownikom nie to, co prawdziwe, ale to, co budzi największe emocje i skłania do spędzenia przed ekranem większej ilości czasu. Jeśli na kogoś działają wpisy albo filmy koronasceptyków, algorytm będzie dostarczał ich więcej i wkręcał użytkownika głębiej w spiralę radykalizmu. To po wielokroć opisane i omówione zjawisko, a nie żadne odkrycie. Jeśli treści antyszczepionkowe generują zainteresowanie, to z punktu widzenia amoralnych algorytmów są to treści „dobre" – bez znaczenia, jakie konsekwencje mają w realnym świecie.

Influencerzy dezinformacji mają te same powody, by publikować szokujące czy rzekomo odkrywcze doniesienia na temat koronawirusa i szczepionek. Skoro to generuje zasięgi, to dla nich dobrze. Biorąc pod uwagę to, że platformy cyfrowe premiują emocje i zaangażowanie, nie można też się dziwić, że osobiste, rzekomo odważne i niepokorne wpisy antyszczepionkowców osiągają nieproporcjonalnie lepsze wyniki niż beznamiętne komunikaty prasowe Światowej Organizacji Zdrowia bądź trzeźwe apele medyków. Na tle jednolitego i poważnego języka medycyny odwołujące się do emocji i nierzadko osobistych przeżyć odbiorców wpisy i filmiki influencerów stanowią atrakcyjną odmianę. To wszystko także wynika z logiki algorytmów.

Cenzura jest tu co najwyżej naklejeniem plastra, a nie leczeniem poważnej choroby. Chory bowiem jest mechanizm, który wynagradza żerowanie na ludzkich słabościach, niewiedzy i niepewności – za pomocą niezwykle wyrafinowanych narzędzi technologicznych pozwala dosłownie każdemu na nich zarabiać. Usuwanie dezinformacji nie sprawi, że infrastruktura do ich tworzenia i rozpowszechniania zniknie. By rozwiązać problem wielkiej kariery dezinformacji, propagandy i fałszywek w mediach społecznościowych, należałoby zmienić cały ich model biznesowy. Uderzyć w portfel – tam, gdzie zaboli.

Ale kto i jak mógłby to zrobić, to już zupełnie inna opowieść.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Zostań Partnerem Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

Rozpoczynamy projekt rozbudowy i modernizacji placówki, w której skrzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci od 2018 roku otrzymują bezpłatną pomoc.

Pomóż dzieciom – dołącz do Partnerów Zielonego Centrum Pomocy Dzieciom!

Kontakt: magda.sadlowska@fdds.pl

Więcej na stronie: fdds.pl

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

tremend

eprasa.pl 4a35c65921

Mateusz Mazzini
Korespondencja
z Salwadoru i Hondurasu

Ciało kobiety, własność mężczyzny

Pandilleros dowiedzieli się, jak Julia ma na imię, gdzie mieszka. Zaczęli dawać do zrozumienia, że „została wybrana"

San Pedro Sula w Hondurasie – tzw. Północny Trójkąt Ameryki Środkowej jest uznawany za najniebezpieczniejszy na świecie region właśnie dla kobiet.

Najczęściej zaczyna się na ulicy. W drodze do szkoły, na szkolnym boisku albo gdy pomagają rodzicom na przydrożnych targach czy straganach. Mają 10, może 12 lat, dojrzewają. Zmieniają się rysy ich twarzy i cała sylwetka. W normalnych okolicznościach dla matki czy ojca byłby to moment do rozmowy z nimi, przekazania kilku rad, być może ostrzeżeń, ale co najwyżej przed złośliwostkami ze strony rówieśników. W Ameryce Centralnej dla rodziców wchodzenie córek w nastoletniość to w większości przypadków powód do strachu, którego mogą się nie wyzbyć nawet do końca życia. Swojego albo ich.

To niemal standardowe tło wielu historii o przemocy seksualnej wobec kobiet w Hondurasie, Gwatemali czy Salwadorze – „Północnym Trójkącie" Ameryki Środkowej, rejonie uznawanym za najniebezpieczniejszy na świecie właśnie dla kobiet, na równi z terenami opanowanymi przez radykalnych islamistów. Tu nie mają one prawie żadnych praw, ani gwarantowanych przez państwo, ani wpisanych w kulturę i tradycję czy podyktowanych realiami społecznymi. Poronienie jest tu klasyfikowane jako morderstwo, antykoncepcja i edukacja seksualna jednoznacznie uznawane za nieczyste, nie tylko przez kościelnych hierarchów. Polityka, biznes i inne płaszczyzny życia publicznego są dla nich niedostępne, udział w rynku pracy często zaczyna się i kończy w gospodarce nieformalnej, czyli po prostu sprzedają jedzenie na ulicy. Najczęściej jednak sprowadzane są do roli partnerek seksualnych, potem matek. O zdanie w tym rozdziale ról nikt ich nie pyta.

Nie pytał też Julii*, dziś 14-letniej. Cztery miesiące temu wyszła z domu zrobić zakupy. Do sklepu nie miała daleko, kilka przecznic. W dodatku szła z ojcem, Alejandrem, oboje myśleli, że to wystarczy, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. A przynajmniej żeby nie zwrócić na siebie uwagi żadnego *pandillero*, członka któregoś z wszechobecnych tu gangów. Za każdym razem, gdy się udawało, traktowali to jak wygraną na loterii. Doskonale wiedzieli o tym, że mieszkają na terenie kontrolowanym przez Barrio 18, jeden z dwóch największych syndykatów kryminalnych „Północnego Trójkąta". Młodzi chłopcy z wytatuowanymi symbolami gangu stoją tu praktycznie na każdym rogu. I kiedy nadchodzi moment, egzekwują haracz. Drążą ranę, która wykrwawia tutejsze społeczeństwa.

Dziś Alejandro wspomina, że tamto wyjście do sklepu trwało pewnie 20 minut, nie więcej. Los nie był jednak łaskawy, bo po drodze wpadli na *pandilleros*. – Nie jesteś w stanie pomylić ich z nikim, i to wcale nie przez tatuaże. Wyróżniają się głównie ciuchami. Luźne, krótkie spodnie, jak do gry w koszykówkę. Złote wisiorki, bandany na głowach. Ci wyglądali dokładnie w ten sposób. Wracaliśmy z zakupami, kiedy zaczęli gwizdać na Julię. Krzyczeli, żeby do nich podeszła, że im się podoba. Doskonale wiedziałem, co to znaczy – wpadła w oko któremuś z nich. Czułem się, jakby nasza rodzina usłyszała wyrok.

Alejandro dalej mówić już nie może. Przerywa, wstaje z krzesła, chowa twarz w dłoniach. Zaczyna cicho szlochać, potem ma problemy ze złapaniem powietrza, wyrównaniem oddechu. Choć siedzimy na podwórku przed jego domem, w obstawie pracowników humanitarnych z Komisji Europejskiej i Norweskiej Rady ds. Uchodźców (NRC), Alejandro nie jest w stanie powstrzymać ataku paniki. Wydarzenia, o których mówi, są odległe jedynie geograficznie, bo NRC relokowała go z rodziną do innego

eprasa.pl 4a35c65921

miasta, z dala od San Pedro Sula, gdzie mieszkał wcześniej. To miasto obrazuje sprzeczności Hondurasu. Z jednej strony – uznawane za najbogatsze w kraju, oferuje więcej szans na rynku pracy niż położona w interiorze stolica, Tegucigalpa. Z drugiej – bliskość atlantyckiego wybrzeża, od którego dzieli je zaledwie 50 km, oznacza bezpośrednie sąsiedztwo z najważniejszym szlakiem przemytu kokainy w Ameryce Centralnej. W San Pedro Sula ulicami rządzi przemoc, w każdej właściwie formie. I robi to w sposób absolutny, bo jeszcze dwa lata temu miasto nosiło niechlubny tytuł „morderczej stolicy świata" – to tutaj rocznie pozbawiano życia najwięcej osób na 10 tys. mieszkańców.

Choć Alejandro żyje dzisiaj gdzie indziej, o Barrio 18 nie umie zapomnieć. Wyjście do sklepu i gwizdy z drugiej strony ulicy były ledwie początkiem. *Pandilleros* dowiedzieli się, jak jego córka ma na imię, gdzie mieszka. Zaczęli pisać do Julii na Facebooku. Dawać do zrozumienia, że „została wybrana", co w języku gangów oznacza koniec jej suwerennego życia. Kiedy *pandillero* upodoba sobie dziewczynę na partnerkę, ona traci jakąkolwiek kontrolę nad swoją przyszłością. Staje się własnością nawet nie tyle samego mężczyzny, ile gangu. Od teraz to gang decyduje, co jej wolno. Czy ma kontynuować naukę, czy zająć się rodzeniem dzieci. Gdzie ma mieszkać i czy może pracować, a jeśli tak, komu będzie oddawać pieniądze. Swój los poprawić może tylko wraz z awansem partnera w strukturze gangu. Jeśli ten stanie się *sicario*, wojownikiem – czyli po prostu zabójcą na zlecenie – będą zapewne żyli w dostatku, ale i w ciągłym strachu. Walki z innymi gangami, starcia z policją, coraz częściej z wojskiem, bo prezydenci Nayib Bukele w Salwadorze i Juan Orlando Hernández w Hondurasie wysyłają regularną armię na ulice – to codzienność każdego *sicario*. Mogą zginąć w strzelaninie, pójść siedzieć na kilka lub kilkanaście lat za nielegalne posiadanie broni czy działalność w grupie terrorystycznej. Albo po prostu przedawkować.

Alejandro za wszelką cenę chciał uniknąć takiego losu dla Julii. Zabrał jej i jej młodszej o dwa lata siostrze telefony, kazał usunąć konta w mediach społecznościowych. Wypisał ze szkoły, zabronił opuszczać mieszkanie. I natychmiast umówił się na spotkanie w NRC. Norwegowie znaleźli mu bezpieczne schronienie z dala od miasta, ale życia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki całej rodzinie nie odmienią. Zwłaszcza że groźby ze strony Barrio 18 wcale nie były pierwszym momentem, w którym Julia bała się o przyszłość tylko z powodu swojej płci.

Trzy lata wcześniej spodobała się komuś innemu. Choć trudno w to uwierzyć, tamto zauroczenie było jeszcze gorsze, bo podrywać zaczął ją partner matki. Alejandro i jego żona rozstali się, gdy dziewczynki były małe, matkę odwiedzały sporadycznie. Nowy mężczyzna był *pandillero*, i to starej daty – broń w domu zawsze na widoku, tatuaże z insygniami gangu na rękach. Alejandro wiedział, że to niebezpieczny typ, nie tylko ze względu na kryminalną przeszłość. Ojciec partnera byłej żony Alejandra odsiadywał wyrok 15 lat za molestowanie seksualne nieletniej, a o nim samym też mówiono, że rąk przy sobie raczej nie trzyma.

Przy Julii nie opanował się co najmniej kilka razy. Molestował ją, matka twierdzi, że o niczym nie wiedziała. Kiedy Alejandro się dowiedział, natychmiast założył sprawę w sądzie o przyznanie pełnej opieki rodzicielskiej. Na wyrok czekał dwa i pół roku, od lipca 2020 r. matka i jej partner mają zakaz zbliżania się do córek. Przez cały ten czas dramat trwał jednak nieprzerwanie. Partner groził, że zabije Alejandra, nasyłał na niego innych członków pandilli. Policja nie pomagała, bo akurat na tym obszarze od dawna przegrywała z gangami – mundurowi uznali więc, że dla jednej nastolatki nie będą naruszać lokalnej równowagi sił. Ojciec Julii wiedział, że musi radzić sobie sam.

Ulicami San Pedro Sula rządzi przemoc. Jeszcze dwa lata temu miasto nosiło niechlubny tytuł „morderczej stolicy świata".

Pandemia, choć zamknęła prawie całą gospodarkę i odcięła go od źródła dochodu, córce akurat pomogła. Była czasem wyciszenia, ograniczenia kontaktów ze światem zewnętrznym. Zamknięcie szkoły i przejście na nauczanie zdalne też oboje przyjęli z ulgą, bo oznaczało, że nastolatka nie musiała wychodzić z domu, żeby się uczyć. W nowym lokum mieszkają od dwóch miesięcy – Alejandro nie chce nazywać go domem i trudno mu się dziwić. Może i jest bezpieczne, ale trudno w nim snuć marzenia o dobrej, spokojnej przyszłości. Jego mieszkanie to pojedyncza izba w parterowym budynku, w którym mieszkają obok siebie trzy rodziny. Pomieszczenie ma 7-8 m kw., jedno okno, mały aneks na toaletę. Pod ścianą z gołych pustaków łóżko, obok malutki stolik. Na ścianie frotowy ręcznik z „Ostatnią Wieczerzą". Przed budynkiem spore podwórko, nieliczne kępki trawy giną na szarych połaciach uklepanej ziemi. Parę kurczaków dziobie ją nerwowo, raz po raz wznosząc kłęby kurzu. Obok nich w słońcu wygrzewa się szczeniak, jeden z kilku niedawno urodzonych. Julia bierze go na ręce, pokazuje nam wszystkim, jaki jest śliczny. Zaraz potem odkłada go, wbiega do izby, bo woła ją siostra. Uchyla plandekę pełniącą funkcję drzwi i jeszcze raz pokazuje wnętrze domu. Biedę tak ogromną i bolesną, że przy jej opisywaniu naprawdę trzeba uważać, by nie popaść w płytkie stereotypy.

Alejandro nie ukrywa, że w Hondurasie żyć nie chce. Marzy

Za 23 mld zł, które Kaczyński chce wydać na amerykańskie czołgi, można kupić długotrwały pokój. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE".

eprasa.pl 4a35c65921

Młodzi chłopcy z wytatuowanymi symbolami gangu stoją tu na każdym rogu. Stąd prosta droga do więzienia.

o emigracji do Stanów Zjednoczonych. Nawet nie tyle dla siebie, ile dla córek i ich przyszłości.

W sąsiednim Salwadorze takie samo marzenie ma Claudia. Krótko ścięta, czterdziestokilkuletnia kobieta siada do rozmowy opanowana, ale szybko ją przerywa, bo emocje wracają. Jej również pomaga wyjść na prostą NRC i sponsor Norwegów, Komisja Europejska. Ona także ma za sobą rodzinną traumę z molestowaniem w tle. I tak jak Alejandro obwinia się, że symptomów zła nie zauważyła wcześniej.

Dzisiaj żyje z synem i córką w małym mieszkaniu na obrzeżach San Salvadoru. Cieszy się, że jest z nimi, bo we wspólnym życiorysie mieli dużą przerwę. Cztery lata, które Claudia spędziła w żeńskim więzieniu. Za co? Nie mówi, rzuca tylko, że robiła *cosas malas*, złe rzeczy, co w tutejszej rzeczywistości oznacza jakąś formę pracy dla gangów. Wśród kobiet to najczęściej sutenerstwo lub udział w przemycie narkotyków. Kiedy siedziała, dziećmi zajmował się jej partner. Po wyjściu szybko się zorientowała, że dzieci są wobec niej inne, wycofane. Zwłaszcza córka, która chwilę tuż przed 15. urodzinami zaczęła się samookaleczać. Claudia miesiącami próbowała do niej trafić, nie udało się. Prawdę odkryli obcy ludzie.

– Któregoś dnia dzieciaki bawiły się przed domem, syn grał w piłkę. Nagle usłyszałam, jak pod dom podjeżdża samochód. Wysiadło z niego kilku mężczyzn, powiedzieli mu, żeby zawołał mojego partnera. Nie było go w domu, wyszłam więc ja. A oni, z kijami w rękach, powiedzieli, że przyszli wymierzyć sprawiedliwość. Byłam przerażona, nie wiedziałam, o co chodzi, myślałam, że to syn wpadł w kłopoty.

Mężczyźni nie przyjechali po chłopca, tylko po jej partnera. Wiedzieli o nim coś, czego nie wiedziała Claudia i czego nie chcieli też powiedzieć policji, również dlatego, że w sprawiedliwość w wydaniu formalnym po prostu nie wierzyli. Wiedzieli, że to przez niego dziewczynka się tnie, przez niego cierpi. Gdy matka odsiadywała wyrok, on wykorzystywał seksualnie nastolatkę.

– Powiedział jej, że nie może nikomu nic mówić. Wygadała się tylko bratu, do dziś żadne z nas nie wie, jak ta informacja wydostała się z rodziny. Może ktoś ich usłyszał, może dzieciaki nie mówią mi całej prawdy. Nie wiem, ale dziękuję Bogu, że ktoś się o tym dowiedział – Claudia ledwo łapie oddech. Łzy płyną jej po policzkach. Siedząca obok wolontariuszka NRC podaje jej szklankę z wodą, upewnia się, czy kobieta chce dalej rozmawiać. Claudia jednak podkreśla, że świat musi się dowiedzieć, co przeszła jej córka – i tysiące nastolatek w tej części świata.

– Okazało się, że robił to od lat. Byłam przekonana, że dzieci są z nim bezpieczne, a on krzywdził moją córkę. Nie mogłam uwierzyć, chciałam go bronić. Kiedy ci mężczyźni przyjechali pod nasz dom, chciałam go bronić. Potem, kiedy córka mi o wszystkim powiedziała, byłam gotowa sama zabić go maczetą.

Do samosądu nie doszło, Claudia poszła ze sprawą na policję. Od partnera odeszła, NRC pomogła w relokacji, przeciwko mężczyźnie toczy się postępowanie karne. Wyroku jednak wciąż nie ma, więc rodzina żyje w strachu, że były partner Claudii ich znajdzie i zacznie się mścić.

•

Historie takie jak Claudii i Alejandra w „Północnym Trójkącie" dzieją się są codziennie. To region przodujący w statystykach femicidios, morderstw na kobietach, najczęściej z przemocą seksualną w tle. Bardzo często ofiarami tych i innych przestępstw są nieletni. Wyniki badania Violence Against Children z 2017 r. pokazują, że tylko w Salwadorze przemocy seksualnej doświadczyło aż 13,5% małoletnich dziewczyn. W 18,7% przypadków sprawcą był mąż lub partner matki, w 23,9% inny członek rodziny. W pozostałych krajach statystyki są praktycznie identyczne. Dla dziewczyn nastoletniość równa się tu przekroczeniu progu ciągłego strachu.

W Salwadorze przemocy seksualnej doświadczyło aż 13,5% małoletnich dziewczyn.

Nie oznacza to jednak, że kobiety złożyły broń. Gdy wracamy z domu Alejandra, nasz samochód staje na światłach w San Pedro Sula. Z okna widzę hasło namalowane sprejem na jednej z licznych tutaj myjni samochodowych: „Rewolucja będzie feministyczna albo nie będzie jej wcale". Zapisuję to hasło w notesie, bo może właśnie tak brzmią pierwsze słowa nowej przyszłości Ameryki Centralnej.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

*Imiona bohaterów zostały zmienione ze względu na ich bezpieczeństwo.

FOT. REUTERS/FORUM, JOSE CABEZAS

eprasa.pl 4a35c65921

TVN albo kryminał!

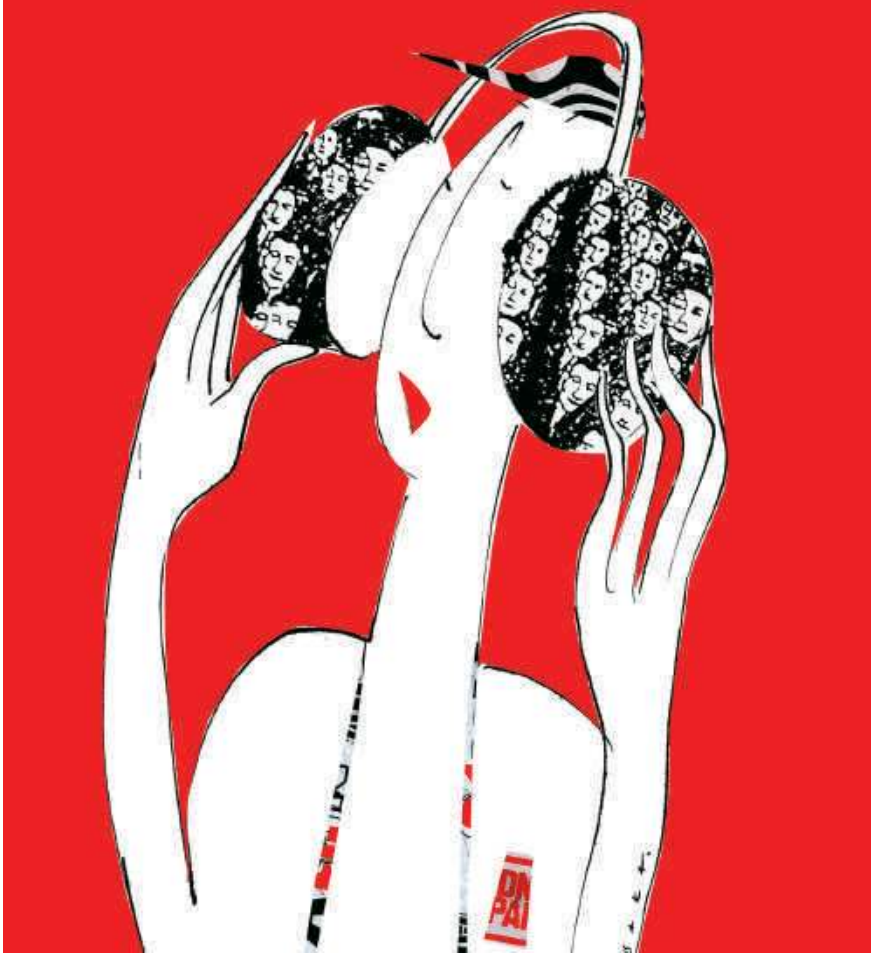

Żyjemy w państwie, w którym demokracja ledwie zipie

Janusz Rolicki

Media, politycy opozycyjni, a nawet pisowscy, wraz z ambasadą USA i Departamentem Stanu wciąż się zastanawiają, na co i po co Kaczyńskiemu zamieszanie koncesyjne i tak gorąca awantura o stację telewizyjną TVN.

Odpowiedź jest prosta. Nie da się pogodzić pisowskiego niekonstytucyjnego zagarniania władzy z istnieniem opozycyjnych mediów. Już samo ich istnienie powoduje tak wielką dychotomię pomiędzy pragnieniami wodza a realiami społecznymi, że balon marzeń o władzy absolutnej musi pęknąć z hukiem. Gdyby PiS było zwyczajną partią, można by powiedzieć, że zafundowane nam przez nie badziewie, czyniące z Polski pośmiewisko Europy, to efekt kompleksów Kaczyńskiego i jego dworu, wynikających z nieznajomości świata i opacznego postrzegania rządzących nim reguł. Sprawa jest jednak szersza. Wodzowi PiS od początku kariery politycznej – a jest ona dla niego wszystkim, bo przecież nie ma ani rodziny, ani grona przyjaciół – marzy się kompensacyjne, pełnotłuste wzięcie Polski i Polaków pod but. I to nie na jedną czy dwie kadencje, ale na stałe. Tymczasem po ostatniej zadyszce obozu władzy, wywołanej protestami kobiet, nieumiejętnością zaradzenia pandemii, wilczą nie do ukrycia żarłocznością kadr partyjnych, co pokazują opozycyjna prasa, radio i telewizja, zdobycie pełnej kontroli nad krajem oddaliło się tak bardzo, że w pisowskich szeregach zagościło zwątpienie w geniusz wodza. A pamiętajmy, celem kontrrewolucji Kaczyńskiego jest nie zwykła władza nawet autorytarna, lecz pełna, czyli totalitarna. Kaczyński chce nami rządzić, aby nas wychować. Dlatego niezbędni mu są w nadbudowie pomagierzy w rodzaju Czarnka i Glińskiego. W jego Polsce mamy się stać prawdziwie pisowsko głębokimi patriotami, religijnymi katolikami, gorącymi heteroseksualistami. Mamy siedzieć na węglu, którego notabene już nie ma, i rozmnażać się na potęgę. Mówić precz rozwodom, laicyzacji, feminizacji, tęczy i wszelkim obcym miazmatom. Te przymiarki zauważył ostatnio Jacek Żakowski w „Gazecie Wyborczej", pisząc wprost o wprowadzaniu przez PiS pierwocin totalitaryzmu w Polsce. A różni się on, proszę państwa, od autorytaryzmu tym, że rządzących nie zadowala dogłębna kontrola nad strukturami państwa i samorządem – oni chcą pełnego nadzoru nad naszymi zachowaniami, poglądami, wyznawaną religią, życiem intymnym itd. Jest to różnica zasadnicza. Znam osobiście tego typu dolegliwość z czasów Bieruta i nikomu nie polecam. Pamiętajmy, stalinizm był nie tylko terrorem politycznym, lecz także świeckim purytanizmem. Za przerwanie ciąży kobieta szła do więzienia!

Dotychczasowe tzw. reformy PiS, dotyczące w pierwszej kolejności systemu prawnego, przyjmowaliśmy z mniejszymi czy większymi oporami, ale zasadniczego zagrożenia dla ich wprowadzenia w życie obóz władzy nie dostrzegał. Kaczyński mógł nawet sądzić, że jego miękka, jak uważał, rewolucja się powiedzie. Na nepotyzm i kolesiostwo, a także wieże i kradzieże akolitów, budzące niezadowolenie społeczne, znajdował lekarstwo w postaci rozdawnictwa socjalnego, tromtadrackich haseł patriotycznych i społecznych oraz modłów pod batutą o. Rydzyka. Ale ostatnio krajobraz polityczny wbrew oczekiwaniom zaczął się chmurzyć z powodu coraz większej nieustępliwości niezależnych mediów, w tym TVN.

Trzeba przyznać, że znaczenie prasy i telewizji Kaczyński zawsze

eprasa.pl 4a35c65921

doceniał i żwawo przy nich majstrował. To on, aby Kurskiego posadzić bezboleśnie na Woronicza, wymyślił niekonstytucyjną Radę Mediów Narodowych. Po czasie okazało się jednak, że telewizja publiczna, pisowskie media – zwane, o ironio, niepokornymi – i wzięty za twarz Polsat to za mało, aby utrzymać w garści rząd dusz.

Kaczyński chce nami rządzić, aby nas wychować.

W odwróceniu niekorzystnego trendu nie pomógł PiS nawet Obajtek, co wszystko, zdaniem Kaczyńskiego, może. Obajtek, przypomnijmy to, wbrew prawomocnemu wyrokowi Naczelnego Sądu Administracyjnego zagarnął prasę regionalną – 120 tytułów. I co? I pstro! Sytuacji, z punktu widzenia PiS, nie uratował także nieporadny Polski Ład – wymyślony jako sposób na pokrętne pseudowzbogacanie nas wszystkich razem i każdego z osobna.

Nic dziwnego, że w końcu po wielkich przewagach sondażowych PiS pozostało wspomnienie. Potwierdziło się, że budowa zamordyzmu państwowego przy w miarę opozycyjnych telewizji, radiu i prasie nie może w kraju takim jak Polska się udać.

Okazało się, że wolne media z napuszonych dyktatorów wszędzie robią groteskowe figury i są z natury rzeczy nie do pogodzenia z zamordyzmem. Stąd żałosne i kłamliwe jęki Jarosława Kaczyńskiego, wypłakującego się publicznie, że 80% mediów jest przeciw rządowi. Moiściewy, co my jeszcze usłyszymy! W tym miejscu możemy co najwyżej prezesa pocieszyć, że nawet ubiegłowieczne totalitaryzmy, gdyby miały przeciw sobie w jednym kraju wielkości Polski TVN, RFM, „Wyborczą" i kilka tygodników, skręciłyby sobie kark mimo całej formalnej krzepy.

A trzeba pamiętać, że obóz dzisiejszej władzy nie może sobie pozwolić na przegraną wyborczą. Dla „cienkoszyich wodzów" jak z Mandelsztama, otaczających tym razem Kaczyńskiego, z których „jeden łka, drugi czka, trzeci skrzeczy", klęska PiS musi oznaczać kryminał. Sześciolecie tej partii jest tak pełne nadużyć prawa, łamania konstytucji i zasad demokratycznych, że cała rzecz nie może się zakończyć zwyczajowym ecie-pecie...

Pamiętajmy, zwracam się do prezentystów tak zważających, aby nie dotknąć władzy, że od początku kariery Kaczyński marzy i śni o totalitarnym silnym państwie, które ma zbawić Polskę i zapewnić jej rządom skuteczność. W swojej konstytucji z 2004 r. pisanej dla brata, a odłożonej do lamusa z wiadomych powodów, zapowiadał mocne dla obozu rządowego, czyli dla niego samego, podwaliny władzy nad państwem. Miały tam być uprawnienia prezydenta do dwukrotnego w kadencji rozwiązywania parlamentu, zwalniania premiera i ministrów. Wszystkim wątpiącym w trafność powyższych obserwacji radzę zajrzeć do statutu partii rządzącej. Bez żadnej wątpliwości nie ma w Polsce bardziej zamordystycznego regulaminu partyjnego dającego wodzowi pełnię władzy nad strukturami partyjnymi. Można powiedzieć, że w przypadku prezesa nauka, czyli doświadczenia wyniesione z Porozumienia Centrum, nie poszła w las. Pozostaje jedynie wyrazić zdumienie, jakim sposobem podobny regulamin, sprzeczny z demokratycznymi normami, mógł zostać zatwierdzony przez sąd III RP. W PiS prezes zatwierdza

Znaczenie prasy i telewizji prezes zawsze doceniał i żwawo przy nich majstrował.

kandydatów na posłów i senatorów, a także szefów struktur powiatowych. Praktycznie jest nieodwołalny, czyli może wszystko! Może więc mówić: PiS to ja!

Wróćmy do pisowskiej praktyki rządzenia Polską i przypomnijmy, że to Kaczyński rękami Ziobry dla swojej wygody i *idée fixe* – samowładztwa – ośmieszył i rozwalił system sprawiedliwości w Polsce, zrujnował nasz wizerunek międzynarodowy państwa liczącego się w świecie i wzorcowo radzącego sobie z transformacją. Aby ułatwić sobie kierowanie państwem, jak nikt przed nim zaczął z konstytucją wyprawiać, co mu się żywnie podobało. „Mordami zdradzieckimi" obrażał Sejm. Szczuł nas na uchodźców, Niemców, zohydzał Unię Europejską. Z drugiej strony zdumiewająco obawia się on ludzi. Dlatego zawsze i wszędzie, nawet w Sejmie, porusza się z zawstydzającym w gruncie rzeczy wianuszkiem ochroniarzy, zabezpieczających go na zapas przed gniewem ludu.

Podobnie jak Bierut dba też o bezpieczeństwo swoich rządów, tyle że w miejsce KBW, którym w PRL nie zarządzał minister obrony, stworzył rękami Macierewicza, za z górą 2 mld zł, Wojska Obrony Terytorialnej. One także wedle zasady *divide et impera* podlegają nie sztabowi generalnemu, ale bezpośrednio posłusznemu ministrowi. Te właśnie wojska wedle ujawnionej korespondencji miały być gotowe do pacyfikacji ulic w czasie Strajku Kobiet. To za czasów prezesa PiS CBA za miliony dolarów zakupiło aktualnie najefektywniejszy w świecie system Pegasus do inwigilowania, kogo tylko zapragnie. W dniach szalejącego covidu, gdy ludzie marli w szpitalach jak muchy z powodu braku respiratorów, zamówiono dla policji 150 samochodów, szybkich, mniejszych niż mikrobusy, mogących przewozić do dowolnej miejscowości przeszło tysiąc policjantów naraz. Niedawno mogliśmy je oglądać do upojenia na ulicy Mickiewicza w Warszawie. Policja została też wyposażona w osobiste miotacze gazu, broń gładkolufową, metalowe pałki, tarcze, najnowocześniejsze motopompy do rozpędzania demonstrantów. Gdyby w 1970 r. tak wyposażona była milicja, zapewne nie byłoby strzelanin na Wybrzeżu. Dodajmy, że ostatnio demonstrantów z ulic Warszawy policja zabiera wedle swojego uznania i wywozi do pozawarszawskich komisariatów na przesłuchania. Nie dziwota, że policjanci czują się coraz bardziej bezkarni i pozwalają sobie na pozbawianie życia zatrzymanych, jak ostatnio w Lubinie. Niepokorni sędziowie i prokuratorzy są szykanowani, zwalniani i pozbawiani prawa do wykonywania zawodu. Jeszcze sobie w pełni tego nie uświadamiamy ale doprawdy już żyjemy w państwie, w którym demokracja ledwie zipie. Dlatego Kaczyński stanął na głowie, aby dostać TVN w swoje łapy. Wie, że wolne media to jego klęska i kryminał. I niech tak będzie! ■

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl 4a35c65921

Sprawiedliwość na pasku polityki[1]

Idee, które służyły do niedawna walce o wolność, przekształciły się w narzędzie walki o władzę

Andrzej Walicki

Mało kto pragnie powrotu Polski Ludowej, większość jednak nie chce potępienia jej w czambuł.

Polska często postrzegana jest jako kraj, w którym przejście do demokracji dokonane zostało w sposób bardzo łagodny, kontrastujący z surowością praw lustracyjnych i kampanii dekomunizacyjnych w Republice Czeskiej i w byłych wschodnich Niemczech. Wielu Polaków, zwłaszcza tych, którzy uważają się za prawicę, ostro krytykuje tę „łagodność" – widzi w niej bowiem godne potępienia niezdecydowanie, wynikające z zapominania o złu przeszłości i przeszkadzające Polsce w odzyskaniu jej prawdziwej tożsamości. Obserwatorom zewnętrznym te same fakty mogą ukazywać się w innym, bardziej pozytywnym świetle: jako „gotowość do wznoszenia się ponad nienawiść, przezwyciężania podziałów i przebaczania grzechów w imię braterstwa i pokoju". Philip Earl Steele (autor przytoczonych wyżej słów) dopatrzył się w tym wyrazu przesadnej aż wielkoduszności, właściwej ponoć polskiemu charakterowi narodowemu[2].

Bliższe przyjrzenie się tym sprawom wskazuje jednak, że żadne z tych uogólnień nie jest trafne. Nie jest prawdą, że w Polsce zlekceważono sprawę prawnego rozliczenia się z komunistyczną przeszłością. Przeciwnie: sprawa ta budziła od początku wielkie emocje i wywarła niestety decydujący wpływ na podziały polityczne i intelektualne. Niepowodzenia dotychczasowych prób radykalnego „rozliczenia przeszłości" nie można wytłumaczyć ani sowietyzacją, ani wielkodusznością. Wątpliwe wydaje się wyjaśnianie tego zjawiska jakimiś specyficznymi cechami polskiej tradycji prawnej – niezależnie od tego, jak ją oceniamy. Właściwą drogą do zrozumienia problemu sprawiedliwości okresu przejściowego (*transitional justice*) w postkomunistycznej Polsce jest bowiem umiejscowienie go w kontekście walki politycznej – walki, w której każda strona odwołuje się do własnych doświadczeń z reżimem PRL-owskim.

Sprawą kluczową jest należyte uświadomienie sobie faktu, że doświadczenia te były różne i utrwaliły się w różnych formach pamięci społecznej. Dla przeciętnego, względnie apolitycznego Polaka Polska Ludowa była dużo lepszym miejscem do życia niż dla tych jej obywateli, którzy tęsknili np. za wolnością prasy lub wolnością jako polityczną partycypacją – nie mówiąc już o tych, którzy angażowali się w działalność opozycyjną. Dla większości ludności „realny socjalizm" lat 70. był ustrojem, w którym można było czuć się bezpiecznie. Krytykowano go powszechnie, ale nie jako tyranię polityczną, lecz jako coraz bardziej nieefektywny i skorumpowany system stosunków klientelistycznych, łączący partyjnych z bezpartyjnymi w różnego rodzaju „wspólnotach brudnych interesów"[3]. Umasowiona, trzymilionowa partia rządząca nie była postrzegana jako obce ciało: była to partia obłaskawiona, odideologizowana, podobna psychologicznie do reszty społeczeństwa. Ustrój taki nie wzbudzał szacunku, ale nie mobilizował nienawiści. Gardzono nim, ale przyzwyczajono się do niego i w jakimś istotnym sensie uważano go za własny.

Prof. Andrzej Walicki w antykwariacie w Paryżu w latach 90.

Zorganizowana opozycja polityczna zastąpiła tę postawę manichejskim podziałem na „my" i „wy". Było to zrozumiałe: mobilizacja do walki z systemem wymagała ideowej polaryzacji oraz poczucia absolutnej słuszności własnej sprawy. Napotykany opór wzbudzał oburzenie, wzmagał ducha krucjaty moralno-ideologicznej i demonizację obrazu przeciwnika. Wprowadzenie stanu wojennego uskrajniło te postawy, opozycja bowiem skupiła wszystkie siły na walce o totalną dyskredytację i delegitymizację systemu. Niezamierzonym skutkiem tego były intensyfikacja nienawiści oraz zanikanie myślenia w kategoriach racji podzielonych. W tej sytuacji zaskakujący sukces rozmów Okrągłego Stołu oraz pokojowe przekazanie władzy przez gen. Jaruzelskiego nie mogły stać się podstawą narodowego pojednania. W obozie

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4a35c65921

zwycięzców dominowało przekonanie, że walka z komunizmem dała im moralne prawo do sprawowania władzy. Prawo to uznać powinni również byli komuniści; dopóki tego nie uczynią, krucjata „antykomunistyczna" będzie wciąż aktualna. W ten sposób (parafrazując słowa Adama Michnika) idee, które służyły do niedawna walce o wolność, przekształciły się w narzędzie walki o władzę[4].

odpowiedzialności za dawne zło. Ludzie są coraz bardziej świadomi, że pogoń za winnymi mogłaby dotknąć niemal każdą rodzinę w Polsce. Mało kto pragnie powrotu Polski Ludowej, większość jednak nie chce potępienia jej w czambuł; oczekuje takiej oceny rzeczywistości PRL-owskiej, która umożliwiałaby zrozumienie, że również w jej ramach można było działać uczciwie, patriotycznie i niebezsensownie. Badania opinii

Stosunek nowej elity politycznej do byłych „komunistów" był z reguły bardzo daleki od wielkoduszności.

W tym świetle postawy wobec beneficjentów starego reżimu i całego dziedzictwa PRL okazują się wytłumaczalne bez uciekania się do takich pojęć jak amnezja lub wielkoduszność. Jak zobaczymy, stosunek nowej elity politycznej do byłych „komunistów" był z reguły bardzo daleki od wielkoduszności. Atmosfera polityczna postkomunistycznej Polski daleka jest od szlachetnego braku nienawiści. A nienawiść, która ją przenika, odzwierciedla nie tylko dawne złe wspomnienia; w coraz większym stopniu jest funkcją ambicji i frustracji nowej klasy politycznej.

Większość społeczeństwa natomiast nie jest zainteresowana polityczną polaryzacją. Antykomunistyczne krucjaty polityków nie są popularne. Pamięć społeczna stawia opór personalizacji publicznej potwierdzają niezmiennie, że większość ta ceni stabilizację polityczną i akceptuje ideę narodowego pojednania. Dość ma czarno-białych ocen przeszłości, nie utożsamia państwowości PRL-owskiej z radziecką okupacją. Skłonna jest nawet usprawiedliwiać decyzję Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego. Z punktu widzenia zelotów „antykomunizmu", odwołujących się do narodowych imponderabiliów i absolutnych wartości moralnych, jest to dowodem haniebnego braku pamięci, tolerancji wobec zła, „sowietyzacji" umysłowości Polaków. Można jednakże spojrzeć na te postawy z innej perspektywy i ocenić je inaczej: jako manifestację zdrowego rozsądku społecznego, wyraz instynktownej mądrości zbiorowej, która tyle razy pomagała Polakom przetrwać jako naród. Pamięć narodowa jest niezbędna, warto jednak uwzględnić również myśl Ernesta Renana z klasycznego eseju „Czym jest naród?": że istnienie narodów wymaga nie tylko pamięci, ale również umiejętności zapominania.

Fragment z książki Andrzeja Walickiego *PRL i skok do neoliberalizmu*, tom II, wydanej przez Fundację Oratio Recta

[1] Studium zostało napisane w związku z międzynarodowym sympozjum „Political Justice and Transition to Democracy", które odbyło się na Uniwersytecie Notre Dame w Indianie 28.04.1995 r., pod auspicjami Helen Kellogg Institute of International Studies. W sympozjum tym wzięli udział politologowie i prawnicy z państw Ameryki Łacińskiej, Afryki Południowej, Grecji oraz krajów postkomunistycznych Europy Środkowej. Materiały konferencji (wraz z niniejszym studium) opublikowane zostały w książce *Transitional Justice and the Rule of Law in New Democracies*, red. A.J. McAdams, University of Notre Dame Press, Notre Dame-London 1997. W tłumaczeniu polskim wprowadzone zostały pewne skróty oraz drobne zmiany redakcyjne.

[2] Ph.E. Steele, *Wielkoduszność – skaza na wielkości?*, „Życie Warszawy" 1995-1996, 30.12-1.01.

[3] Doskonałą analizę polskiego „realnego socjalizmu" jako systemu klientelistycznego zawiera książka Jacka Tarkowskiego *Patroni i klienci. Socjologia świata polityki* (ISP PAN, Warszawa 1994). Wyrażenie „wspólnota brudnych interesów" (*dirty togetherness*) pochodzi od Adama Podgóreckiego. Patrz A. Podgórecki, M. Łoś, *Multi-Dimensional Sociology*, Routledge and Kegan Paul, London 1979.

[4] A. Michnik, *Polskie kredowe koło*, [w:] *Książka dla Jacka. W sześćdziesiątą rocznicę urodzin Jacka Kuronia*, Fundacja Nowej, Warszawa 1995, s. 122.

I TOM 75 zł
Jaruzelski
Solidarność
Zdrada elit

II TOM 76 zł
Antykomunizm
zamiast wolności
Porachunki inteligenckie

TESTAMENT POLITYCZNY ANDRZEJA WALICKIEGO
ROZPRAWY NAUKOWE, ESEJE
I PUBLICYSTYKA POLITYCZNA, ALE TAKŻE
NIEZNANE DOTĄD ZAPISKI OSOBISTE

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 4a35c65921

Sądy polowe w III powstaniu śląskim

Przywódcy powstania podkreślali poszanowanie praw jednostki, zakazując nadużycia władzy w stosunku do ludności polskiej i niemieckiej

Józef Musioł

Zarówno w fazie postępowania przygotowawczego, jak i w postępowaniu przed sądem polowe sądy w III powstaniu śląskim przestrzegały tych wszystkich gwarancji, które znajdowały odbicie w przyjętych przez władze powstania normach procesowych niemieckiego prawa karnego tudzież w normach prawnych wydanych przez Naczelną Władzę na Górnym Śląsku.

W pierwszej fazie powstania – gdy działalność sądów polowych wynikała z postanowień „Manifestu" Wojciecha Korfantego z 3 maja 1921 r., a więc przed 21 maja 1921 r., kiedy nie wydano jeszcze ujednoliconego zespołu norm obowiązujących w postępowaniu przed sądami polowymi – zasadniczą rolę odegrały wykształcone przez tradycję gwarancje procesowe. Przestrzeganiu tych gwarancji sprzyjał klimat III powstania: klimat nienaruszania podstawowych praw jednostki. Przywódcy powstania niemal przy każdej okazji podkreślali poszanowanie praw jednostki, zakazując wszelkiej anarchii, nadużycia władzy, i to w stosunku do ludności zarówno narodowości polskiej, jak i narodowości niemieckiej.

Ten klimat poszanowania praw jednostki i uszanowania pewnych ponadczasowych wartości w III powstaniu śląskim jest ewenementem w dziejach ruchów zbrojnych i wywarł on poważny wpływ na działalność sądów polowych, szczególnie w zakresie przestrzegania zasad procesowych i w zakresie jurysdykcyjnym.

Do sądów polowych powołano osoby legitymujące się wykształceniem prawniczym, nierzadko z bogatym doświadczeniem zawodowym (szczególnie po 21 maja 1921 r.) i wybitnymi kwalifikacjami zawodowymi i moralnymi. Tej grupie prawników w dużej mierze zawdzięczano, że prawo w III powstaniu śląskim znaczyło prawo.

Już w „Manifeście" Wojciecha Korfantego z 3 maja 1921 r. wyrażone zostały pewne zasady, których nakazano przestrzegać, a mianowicie obowiązek podawania Korfantemu nazwisk osób aresztowanych, i to w ciągu 24 godzin, obowiązek spisywania protokołów rozpraw i treści wyroku wraz z uzasadnieniem („z podaniem faktów udowodnionych"). Wprowadzono również zasadę swobody sądu w zakresie dopuszczania potrzebnych dowodów.

Kolejne normy prawne wydane przez Naczelną Władzę na Górnym Śląsku dotyczące sądownictwa polowego podkreśliły następujące zasady:

– natychmiastowego doprowadzania aresztowanych z pisemnym doniesieniem do audytora,

– przesłuchania aresztowanych w ciągu 24 godzin przez audytora,

– zawiadomienia Wydziału VI Prawnego Naczelnej Komendy o przyczynie aresztowania.

Termin 24 godzin na przesłuchanie aresztowanego przez audytora jest niezwykle krótki. (…) Wprowadzono obowiązek jawności rozpraw rozpatrywanych przez sądy polowe. Kolejną gwarancją prawa do obrony było prawo oskarżonego do przybrania obrońcy. Jeżeli zaś oskarżonemu zarzucano czyn zagrożony karą śmierci lub pozbawienia wolności na ponad pięć lat, wprowadzono obowiązek wyznaczenia mu obrońcy przez przewodniczącego, jeżeli nie miał obrońcy z wyboru.

Akta spraw prowadzonych przez sądy polowe III powstania dowodzą, że w celu wykrycia prawdy – na wniosek zarówno oskarżonego lub jego obrońcy, jak i z urzędu – sądy dopuszczały wszystkie dowody, jeżeli tylko z postępowania wynikało, że nie są w pełni zebrane. (…)

•

Oceny wyroków sądów polowych należy dokonać w kontekście całokształtu sytuacji panującej na Górnym Śląsku w okresie III powstania. Nie sposób pominąć również elementów natury technicznej, jeśli chodzi o warunki, w jakich sądy polowe zmuszone były działać. Nie bez znaczenia jest sprawa obsady sędziowskiej, szczególnie w pierwszym okresie powstania, a konkretnie do 21 maja 1921 r., kiedy to brak było jednolitych dla wszystkich sądów polowych norm regulujących ich działalność.

Jakiekolwiek by jednak stosować kryteria ocen – uznać trzeba, że wyroki sądów polowych III powstania były poprzedzane dokładnie przeprowadzonym postępowaniem przygotowawczym i dokładnie przeprowadzoną rozprawą. Tak prowadzone postępowanie przygotowawcze tudzież postępowanie dowodowe przed sądem rzutowało w zasadniczy sposób na treść wyroków sądów polowych, które były niezawisłe.

Mimo że sądy polowe winny być ściśle związane z dowództwem, „być jego karzącym ramieniem, działającym bezzwłocznie i bezapelacyjnie", to sądy polowe III powstania w wydawanych wyrokach przejawiały pełne respektowanie takich zasad jak:

a) interpretowanie niedających się usunąć wątpliwości na korzyść oskarżonego,

eprasa.pl 4a35c65921

Oddział żandarmerii polowej wojsk powstańczych, Katowice 1921 r.

b) proporcjonalne i humanitarne stosowanie kar,

c) ograniczenie, a właściwie eliminowanie kary śmierci.

Orzecznictwo sądów polowych III powstania dowodzi, że zasada interpretacji wątpliwości na korzyść oskarżonego była w pełni respektowana. Potwierdzają to zachowane do dzisiaj wyroki sądów polowych w sprawach, w których oskarżonymi byli żołnierze wojsk powstańczych i osoby cywilne. Zasadę tę w pełni honorowano, bez względu na narodowość osoby postawionej w stan oskarżenia.

Sąd Polowy przy Dowództwie Grupy „Północ" wydał 20 czerwca 1921 r. wyrok pod sygnaturą K 412/21 w sprawie Józefa E. oskarżonego o zbrodnię przeciw obyczajności z §§ 176 i 177 KKN. Oskarżony w tej sprawie, mimo istnienia wielu poszlak przeciwko niemu, wobec rodzących się wątpliwości, których postępowanie dowodowe nie wyeliminowało, został większością głosów uwolniony od oskarżenia o zbrodnię przeciw obyczajności.

Podobny wyrok 11 czerwca 1921 r. wydał ten sam sąd polowy w sprawie Adama K. oskarżonego o plądrowanie i rabunek (sygnatura K 9/21). Wyrok ten zatwierdził dowódca Grupy „Wschód".

Przestępstwa popełniane w okresie trwania powstania przynosiły poważne szkody sprawie, o którą walczyli Ślązacy. Dotyczy to przestępstw dokonanych zarówno przez żołnierzy wojsk powstańczych, jak i inne osoby. Powstaniec dopuszczający się przestępstwa szkodził bezpośrednio siłom powstańczym, ponieważ podejrzany o dokonanie czynu karalnego był na ogół eliminowany z wojsk powstańczych. Niezależnie zaś od powyższego, dopuszczając się czynu karalnego, wyrządzał konkretną szkodę (podburzanie żołnierzy do niesubordynacji, pijaństwo, plądrowanie).

Również przestępstwa dokonane przez osoby cywilne przynosiły wielką szkodę, dezorganizowały życie na tzw. zapleczu frontu. Chodzi tu o różnego rodzaju przestępstwa pospolite, czasem na pozór drobne, jak kradzieże, nielegalny handel, nielegalne przekroczenie granicy, przemyt, przestępstwo przeciwko zdrowiu i życiu, a niekiedy takie jak sabotaż czy szpiegostwo. Wszystkie te negatywne zjawiska utrudniały władzom powstańczym właściwe zarządzanie ogromnym obszarem o skomplikowanych układach gospodarczych i politycznych. Nadto wszelkie naruszanie porządku i bezpieczeństwa publicznego wykorzystywane było przez wrogą propagandę niemiecką, kształtującą w jakimś sensie opinię publiczną na arenie międzynarodowej. Mimo to orzecznictwo sądów polowych było na wskroś humanitarne. Poza wąską, najbardziej niebezpieczną kategorią przestępstw, jak: zabójstwo, gwałt, rozbój, plądrowanie, za które sądy orzekały stosunkowo surowe kary pozbawienia wolności, wyroki były jak na owe czasy łagodne i humanitarne. I tak na przykład Wilhelm D. skazany został za rabunek na 10 lat ciężkiego więzienia i jako karę dodatkową na wydalenie z wojsk powstańczych. Podobnie surową karę orzekł sąd polowy wobec Augustyna G. *vel* G. za zbrodnię plądrowania, zbrodnię przeciw obyczajności i usiłowanie zgwałcenia. Sąd wymierzył mu karę ośmiu lat ciężkiego więzienia i wydalenie z wojsk powstańczych.

W celu wykrycia prawdy sądy dopuszczały wszystkie dowody.

Przy przestępstwach drobnych sądy polowe orzekały kary zbliżone do dolnej granicy ich zagrożenia. Bardzo często w wyrokach orzekano kary kilkumiesięcznego lub tygodniowego pozbawienia wolności lub grzywny. Przykładowo można tu wskazać wyrok sądu polowego skazującego kpr. Leopolda B. za niesubordynację i używanie słów wulgarnych na dwa miesiące więzienia. Na karę trzech miesięcy więzienia skazany został Emil C. za kradzież obuwia. Wyrokiem Sądu Polowego przy Naczelnej Komendzie z 11 czerwca 1921 r. skazanych zostało pięciu powstańców za oddalenie się ze swego oddziału na karę po trzy tygodnie aresztu. Aleksander M. wyrokiem tegoż sądu z 9 czerwca 1921 r., sygnatura S 212/21, za nielegalne przekroczenie granicy skazany został na grzywnę w kwocie 500 marek niemieckich. (…)

•

Działalność sądów polowych w III powstaniu śląskim zawierała wiele aspektów wykraczających poza sferę czysto jurysdykcyjną. Na zróżnicowanym narodowościowo obszarze Górnego Śląska – gdzie Niemiec kojarzył się z prześladowcą i wyzyskiwaczem – niezwykle istotnym problemem było m.in. zapewnienie cywilnej ludności niemieckiej bezpieczeństwa ze strony polskiej ludności, gnębionej i napadanej przez niemieckie bojówki, która w III powstaniu chwyciła za broń i orężem postanowiła przywrócić Polsce Śląsk.

Powołanie zatem sądów polowych, uzbrojonych w szerokie kompetencje, samo przez się było elementem

FOT. NAC

eprasa.pl 4a35c65921

A jednak wojna... Rok 1939 na Kresach Wschodnich i Zachodnich

Warszawa, Bytom, Katowice 2020

Publikacja pod redakcją naukową Macieja Fica, Joanny Lusek i Jolanty Załęczny, wydana wspólnie przez Muzeum Niepodległości w Warszawie, Uniwersytet Śląski w Katowicach oraz Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, zawiera 18 tekstów poświęconych implikacjom historycznym Września 1939 r. oraz literackiemu obrazowi jednego z najtragiczniejszych okresów w polskiej historii. Autorami referatów są wybitni przedstawiciele świata mediów i muzealnicy. Publikacja, podobnie jak inne wydawnictwa tej placówki, jest dostępna na stronie internetowej MN: księgarnia.muzeum-niepodleglosci.pl w zakładce publikacje.

Józef Smoliński

Lwowska Fala na wojennym szlaku (1939-1946)

Warszawa 2021

Książka Józefa Smolińskiego pod redakcją naukową Janusza Gmitruka i Tadeusza Skoczka to bogato ilustrowana opowieść o wojennych losach artystów tworzących audycję radiową „Wesoła Lwowska Fala". Ich sceniczna i wojskowa droga wiodła wówczas przez Rumunię, Francję, Wielką Brytanię i kraje Europy Zachodniej. Wspólne wydawnictwo Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i Muzeum Niepodległości w Warszawie zaciekawi nie tylko miłośników historii, ale wszystkich zainteresowanych tematyką kresową.

Zamordowane wsie Pacyfikacje w Bezirk Bialystok 1941-1944

Pod red. Doroty Wysockiej

Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego Białystok 2020

Zbiór dziennikarskich tekstów o tym, co się działo przez trzy lata niemieckiej okupacji w jednostce administracyjnej obejmującej zasadniczo województwo białostockie z lat II RP. Zbrodnie wówczas dokonane wyparto ze wspomnień, a fakty na ich temat rzadko uszczegóławiano.

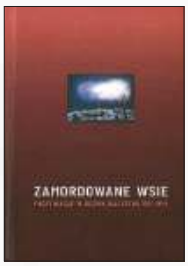

powstrzymującym przed samowolą i anarchią.

Na tyłach frontu toczyło się normalne życie. Władze powstańcze organizowały, w miarę możności, polską administrację i wydawały niezbędne zarządzenia regulujące liczne problemy gospodarcze. Nakazom i zakazom wprowadzonym przez władze powstańcze nadano sankcje, które realizowane były przez sądy. W ten sposób sądy polowe współuczestniczyły w organizowaniu życia gospodarczo-politycznego na obszarze Górnego Śląska. Wiadomo bowiem, że z chwilą wybuchu III powstania na obszarze objętym walkami przestał funkcjonować dotychczasowy aparat wymiaru sprawiedliwości.

Po raz pierwszy od wieków językiem urzędowym w sądach polowych był język polski. Szczególne jednak znaczenie miały sądy polowe w odniesieniu do wojsk powstańczych. Były one czynnikiem hamującym przestępne wystąpienia – typowe dla niemal każdego powstańczego ruchu zbrojnego. Każdy powstaniec wiedział, że naruszenie nakazanego przez władze powstańcze porządku, dyscypliny w poważniejszych sprawach skutkuje pociągnięciem go do odpowiedzialności przed sądem polowym. Wszelkie nadużycie władzy było karane, i to przez sąd powstańczy.

Skazujące wyroki sądów polowych podawane były do wiadomości powstańców w rozkazach i w ten sposób dochodziło również do swoistej popularyzacji prawa.

Sądy polowe były elementem kształtującym poczucie sprawiedliwości. Ich orzeczenia dowodzą, że stały na straży praw jednostki, nie dopuszczając do tego, aby w ferworze walki dochodziło do pogwałcenia podstawowych wartości ludzkich.

Wyroki sądów polowych uwzględniały zarówno prewencję ogólną, jak i prewencję szczególną. Często stosowały tzw. sygnalizację pozwalającą na eliminowanie zła w jednostkach wojskowych.

I tak na przykład Sąd Polowy przy Naczelnej Komendzie pismem z 23 czerwca 1921 r., skierowanym do Wydziału VI przy Naczelnej Komendzie WP w Szopienicach, wniósł o natychmiastowe wydalenie rtm. Ł.M. z terenu zajętego przez wojska powstańcze. Przyczyną takiego wniosku było stwierdzenie sądu polowego, iż Ł.M. swoim zachowaniem, i to również w czasie przesłuchania w sądzie polowym, dowiódł, że nie nadaje się do utrzymania porządku w szeregach powstańczych.

Często też szefowie sądów polowych przygotowywali projekty rozkazów dowódcom, na przykład w sprawie rekwizycji.

Autorytet, jaki zdobyły sobie sądy polowe w III powstaniu, był wynikiem obiektywizmu i poszanowania poczucia sprawiedliwości. Sądy polowe stały bowiem na straży porządku i bezpieczeństwa obywateli bez względu na ich narodowość.

Ilustracją tego stanowiska może być sprawa opisana przez dr. Władysława Bortha, szefa Sądu Polowego Grupy „Wschód". W Lipinach Śląskich dzieci szkolne wraz z rodzicami „zaaresztowały" jednego z nauczycieli, zmusiły go do udania się z nimi do ekspozytury sądu polowego i tam oskarżyły go o działalność germanizacyjną w szkole. Osoby, które doprowadziły nauczyciela do sądu, domagały się ukarania go za wspomnianą działalność. Brak podstaw prawnych do aresztowania – jako że działalność niemiecka w okresie plebiscytu i agitowanie za Niemcami w tamtym okresie nie stanowiły wykroczenia przeciwko władzy powstańczej – spowodował, że szef Sądu Polowego Grupy „Wschód" zwolnił zatrzymanego nauczyciela i wystawił mu list żelazny. List ten zapewniał mu bezpieczeństwo ze strony ludności polskiej i władz powstańczych. Nauczyciel ten udał się do Królewskiej Huty (Chorzowa).

Sprawa o podobnym charakterze toczyła się przed Sądem Polowym przy Dowództwie Grupy „Północ", oznaczona sygnaturą K 55/21. 20 czerwca 1921 r. został aresztowany przez żandarmerię leśniczy, Niemiec, Oswald S., za to, że w restauracji Pietscha w Lublińcu mówił, że „naród górnośląski nie jest przeważnie polski". 22 czerwca 1921 r. Oswald S. został zwolniony przez szefa Sądu Polowego Grupy „Północ", stwierdzono bowiem, że aresztowany wypowiedział tylko swój pogląd. (...)

Fragmenty książki Józefa Musioła *Temida w III powstaniu śląskim*, Muzeum Śląskie, Katowice 2021

eprasa.pl 4a35c65921

Kretynizm parlamentarny

Na ograniczenie się do parlamentaryzmu mogą sobie pozwolić partie władzy, dla lewicy jest ono zabójcze

Piotr Ciszewski

Konflikt wewnętrzny w Nowej Lewicy dowodzi, jak bardzo pogubiła się ta formacja – i że brakuje pomysłu na dotarcie do elektoratu. Lewica skupiła się na rozgrywkach parlamentarnych, które z ideami oraz świeżymi pomysłami mają niewiele wspólnego. Centralnymi postaciami stali się parlamentarzyści uważający się za partyjnych liderów, mimo że wielu z nich nie może się pochwalić osiągnięciami.

Nie odrobiono lekcji z historii. Elektorat lewicowy, mieszkający w małych i średnich miastach oraz biedniejszych dzielnicach dużych ośrodków, w przeszłości dawał zwycięstwa wyborcze Sojuszowi Lewicy Demokratycznej. To również dzięki niemu w roku 2000 Aleksander Kwaśniewski został prezydentem już w pierwszej turze wyborów. Dziś mieszkańcy tzw. Polski B na Nową Lewicę raczej nie zagłosują. Wielu rozczarowanych do urn nie idzie lub z braku alternatywy popiera PiS.

Bez postulatów socjalnych pozyskanie kluczowych grup wyborców nie jest możliwe. PiS sprawnie rozpoznało wiele problemów, a następnie udawało, że je rozwiązuje. Efekty działań były i są słabe, jednak same postulaty i programy podbudowują propagandowy mit „prospołecznych rządów". Nie udała się realizacja sztandarowego programu Mieszkanie+. Klęską zakończyły się programy mające wyeliminować skrajną biedę. Lewica nie umie jednak przekuć tego w skuteczne kampanie informacyjne oraz postulaty. Przyzwyczaiła się do zasiadania w parlamencie i zaprzestała budowania struktur terenowych.

Partie lewicowe powinny uznać za priorytet dotarcie do środowisk lokalnych, znalezienie zaplecza w związkach zawodowych. W ramach SLD w Sejmie działał podczas VI kadencji zespół związkowy OPZZ. Zaprzepaszczono to doświadczenie, popierając antypracownicze postulaty. Niestety, obecnie za pojedynczymi przypadkami, np. wspierania strajku pracowników Paroc Polska, nie idzie masowe działanie lewicowych parlamentarzystów. Lewica pozbyła się związkowców z czołowych miejsc list wyborczych na rzecz zawodowych polityków oraz przedsiębiorców. Było to widoczne zwłaszcza wśród kandydatów zaproponowanych przez Wiosnę Roberta Biedronia.

> Nowa Lewica albo przesunie się w lewo, albo przestanie istnieć.

Słuszne postulaty, np. projekt ustawy reprywatyzacyjnej chroniącej lokatorów przed oddaniem w ręce prywatnych kamieniczników, mogłyby się stać ważnymi elementami lewicowej kampanii. Podobnie propozycje wzmocnienia uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy. Parlamentarzyści Klubu Parlamentarnego Lewicy w większości jednak nie rozumieją problemów społeczeństwa. Poseł Maciej Gdula, podczas gdy wiele osób traciło z powodu pandemii pracę, narzekał na zbyt niskie zarobki parlamentarzystów. Europoseł Wiosny Łukasz Kohut twierdził, że „społeczeństwo to zbiór indywidualnych osób, które same potrafią o sobie decydować", sugerując, że deregulacja gospodarki to najlepsza propozycja.

> Lewicowi parlamentarzyści w większości nie rozumieją problemów społeczeństwa.

Problemem formacji Czarzastego i Biedronia jest również brak odwagi. Zbytni radykalizm spowodowałby atak liberalnych mediów, a tego lewicowi politycy nie chcą. Gdyby zaproponowali postulaty zwiększenia demokracji ekonomicznej czy nowoczesnej teorii monetarnej, zakładającej dążenie do pełnego zatrudnienia, zostaliby okrzyknięci „niebezpiecznymi populistami". Tych, którzy chcieli rozpoczęcia dyskusji w ramach partii, władze zniechęcały różnymi sposobami. W SLD blokowano propozycję utworzenia socjalistycznej platformy programowej, zgłoszoną przez Jacka Uczkiewicza, byłego wiceministra finansów i wiceprezesa Najwyższej Izby Kontroli.

W efekcie PiS ponownie obeszło parlamentarną lewicę z lewej strony, m.in. zapowiadając w ramach Polskiego Ładu rozwiązania podatkowe uderzające w spekulantów na rynku mieszkaniowym. To istotna zmiana, która może się przyczynić do likwidacji patologicznej praktyki nabywania wielu lokali jako „inwestycji na przyszłość". Ze strony lewicy brakuje dalej idących rozwiązań uniemożliwiających spekulacje mieszkaniowe.

Jeśli ma powstać lewicowa alternatywa, puste spory personalne oraz wodzowskie działania są dokładnie tym, czego w obecnej sytuacji robić nie należy. Polityka nie zaczyna się ani nie kończy w parlamencie. Na ograniczenie się do parlamentaryzmu mogą sobie pozwolić partie władzy, dla lewicy jest ono zabójcze. Obecny antypisowski elektorat szybko od lewicy się odwróci, mając do wyboru bardziej efektownego Szymona Hołownię lub inną sezonową inicjatywę. Kluczem jest zastanowienie się, jak do poparcia Nowej Lewicy skłonić część tych, którzy oddali głos na PiS.

Nowa Lewica albo przesunie się w lewo, albo przestanie istnieć.

p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Osobnik raczej analogowy

Życzyłbym sobie, żeby ludzie odważyli się wyjść z tej patriarchalnej szafy, z tej polskiej nory, i powiedzieli głośno, kim są naprawdę

Rozmawia Mateusz Demski

ARKADIUSZ JAKUBIK
– aktor, założyciel i lider zespołu Dr Misio, możemy właśnie go oglądać w filmie „Czarna owca"

Posłużę się tytułem nowego filmu Alka Pietrzaka i zapytam, czy czuł się pan kiedykolwiek czarną owcą?

– Niejednokrotnie. Takie pierwsze doświadczenie bycia czarną owcą pamiętam oczywiście ze szkoły podstawowej, kiedy zagrałem w filmie „Okrągły tydzień". Cała szkoła w moich rodzinnych Strzelcach Opolskich poszła na premierę do kina Pionier. Jak koleżanki i koledzy zobaczyli mnie na ekranie nagusieńkiego, jak mnie Pan Bóg stworzył, no to faktycznie stałem się czarną owcą, z której wszyscy się naśmiewali. A potem, jak już byłem starszy, to określenie zaczęło mi się kojarzyć bardziej z rodzajem niskiej samooceny i towarzyszyło mi z powodu różnych moich niedoskonałości. Proszę sobie wyobrazić, że gdy zdawałem do szkoły teatralnej, to byłem jąkałą i sepleniłem. I wtedy byłem czarną owcą dykcji wydziału aktorskiego. Mógłbym takich przykładów podać jeszcze wiele, bo jakoś cały czas przekładam to określenie na swoje doświadczenia. Kojarzy mi się ono też z istotnym dzisiaj tematem wykluczenia.

Jak sobie z tym byciem czarną owcą radzić?

– Nie ma na to jednej sprawdzonej receptury. Najtrudniejszą rzeczą, jaką mamy do zrobienia, jest pogodzenie się z samym sobą, zaakceptowanie tego, jak jesteśmy skonstruowani – ze wszystkim zaletami, ale i wadami tej konstrukcji. To chyba jedyna droga, żeby przestać być tą czarną owcą.

Pana metoda pracy polega na tym, żeby to, co znajdzie się w scenariuszu, przefiltrować przez samego siebie. Widzi pan punkty styczne między sobą a bohaterem? To Arek, lat ponad 50, ojciec młodego youtubera, człowiek bez pracy, w dole i kryzysie wieku średniego.

– Mam nadzieję, że kryzys wieku średniego mam już za sobą, a kilkuletni brak pracy też kiedyś przerabiałem. W tym momencie na pewno łączy nas to, że też jestem ojcem. Bliska jest mi ta różnica pokoleniowa pokazana w filmie. Sam generalnie, jako Arek Jakubik, jestem osobnikiem raczej analogowym. Nie do końca rozumiem, nie do końca akceptuję i nie do końca jestem zainteresowany światem internetu i mediów społecznościowych. Zdarza mi się wrzucić jakieś zdjęcie na Facebooka, Instagrama nie mam. I proszę sobie teraz wyobrazić, że mój syn oświadczył mi pewnego dnia, że chce zdawać na informatykę, co zresztą mu się udało. I potem nasze rozmowy o jego studiowaniu, o tych całych całkach i różniczkach, to były mniej więcej rozmowy mojego bohatera z filmowym synem youtuberem, gdzie stary kompletnie nie rozumie, czym on się zajmuje.

eprasa.pl 4a35c65921

A gdyby tak pana synowie chcieli zostać youtuberami? Albo aktorami?

– Wbrew pozorom jestem raczej twardo stąpającym po ziemi facetem. Dla mnie od zawsze najważniejszym zadaniem każdego faceta było zabezpieczenie godziwego życia swojej rodzinie i wykształcenie dzieci. Wszystkie artystyczne czy inne ambicje zawsze odkładam sobie na drugi plan. Gdyby więc synowie nagle oznajmili, że chcą być youtuberami czy aktorami, pewnie powiedziałbym im, że nie są to najlepsze pomysły na przyszłość. Pamiętam jak synkowie, w trzeciej, może czwartej klasie podstawówki, zaczęli się rozglądać za kółkami zainteresowań. Powiedziałem im wtedy: „Panowie, będę was woził na wszystko. Na piłkę, na łucznictwo, nawet na balet zawiozę. Ale jeśli któryś mi powie, że chce chodzić na kółko teatralne, to przywiążę do kaloryfera i z domu nie wypuszczę!”.

Niech pan to rozwinie.

– Za dużo jest niewiadomych w zawodzie aktora. Trzeba mieć to szczęście i spotkać w odpowiedniej czasoprzestrzeni kogoś, kto wyciągnie do nas pomocną dłoń i nam zaufa. A jeśli takiego spotkania zabraknie, może być problem. Talent, pracowitość, konsekwencja i upór to jedno. Ale to szczęście, fart są nieodzowne w tym zawodzie. Zamykając jednak wątek synów, puenta jest taka, że starszy najpierw zdał na scenariopisarstwo do Łodzi, a potem na reżyserię i jest teraz na trzecim roku. Młodszy, który zdał na informatykę, po pół roku przyszedł do mnie i powiedział, że jednak chce zdawać do szkoły teatralnej. I jest na drugim roku aktorstwa. Widzi pan, tak to jest z tymi ojcowskimi oczekiwaniami.

Głównym tematem „Czarnej owcy” jest dojrzewanie do odpowiedzialności – do roli ojca, głowy rodziny albo po prostu do życia. Jak to dojrzewanie u pana przebiegało?

– Faktycznie byłem kiedyś w dosyć podobnej sytuacji jak filmowy syn Arka, Tomek. Miałem jakieś 25 lat, kiedy wylądowałem w Warszawie i przez kilka lat nie mogłem znaleźć pracy. Byłem wtedy utrzymankiem żony, również aktorki. Agnieszka bardzo dużo wtedy pracowała, jeździła ze spektaklem „Piaf” po całym kraju, natomiast ja siedziałem w domu i nieustannie szukałem pracy. Chodziłem od jednego teatru do drugiego, odwiedzałem agencje aktorskie, produkcje filmowe czy telewizyjne, studia nagraniowe. Wszyscy zapewniali, że zadzwonią, oczywiście nikt nie dzwonił. Jednak jako że jestem upartym osłem spod znaku Koziorożca, to w końcu tę pracę sobie wychodziłem. Ten moment uzyskania psychicznego komfortu, tego, że mogłem w końcu dokładać się do domowego budżetu i przestać martwić o rachunki, był dla mnie przełomowy. Nagle z młodego gościa zamieniłem się w faceta. I zrozumiałem, że rodzinna relacja jest rzeczą najistotniejszą w życiu. Jest bazą. A jeśli ta baza działa jak należy, to wtedy możemy sobie pozwolić na różne wariactwa związane z pasjami, ambicjami.

Najtrudniejszą rzeczą, jaką mamy do zrobienia, jest pogodzenie się z samym sobą.

„Czarna owca” opowiada też o tym, czym jest rodzina i jak wiele stereotypów narosło wokół tego pojęcia. Alek Pietrzak podejmuje w tym filmie polemikę z pojęciem tzw. modelowej rodziny. To duży problem w Polsce – istnieje pewien nienaruszalny model, co oznacza, że nie każdy w tym kraju może sobie pozwolić na założenie rodziny.

– Generalnie od 30 lat funkcjonuję i świetnie się czuję w tradycyjnym modelu rodziny. Natomiast nie mam żadnego problemu z tym, by rodziny mogły zakładać pary nieheteroseksualne. To, że dzisiaj w naszym kraju niektórzy mają z tym problem, i to, że ta władza w swojej ideologicznej wojnie wybrała sobie na kozła ofiarnego osoby LGBT, jest skandalem. To wstyd. Nie zaglądajmy ludziom do łóżek. Dajmy im po prostu się kochać.

A panu się wydaje, że w tym kraju można żyć w zgodzie ze sobą?

– No nie da się, nie da się, panie Mateuszu… Cóż mogę powiedzieć? Haniebny cytat z klasyka: „LGBT to ideologia, a nie ludzie”. To chyba najlepiej charakteryzuje poglądy i to, co chce nam włożyć do głowy ta władza. Nigdy nie będzie na to mojej zgody. Z drugiej strony czasy jednak się zmieniają. Wydaje mi się, że mimo działań obecnej władzy, szczucia społeczeństwa przeciwko mniejszościom, coś w tym kraju się zmienia. Ludzie są odważniejsi, zwłaszcza młodsi, nie boją się głośno mówić o swojej tożsamości seksualnej, coming outów jest coraz więcej. *À propos* nowego pokolenia, to mam informacje z pierwszej ręki, bo jestem w dobrych relacjach z synami. Dużo rozmawiamy o tym, jak funkcjonuje ich generacja. I to jest zupełnie inny świat. Inne mają pryncypia. Ja patriarchalny model rodziny pamiętam od zawsze. Dawniej wszystkie osoby, które miały inne preferencje seksualne, żyły w podziemiu. Dzisiaj kibicujemy polskim wioślarkom i widzimy, jak jedna z nich ląduje na Okęciu i idzie za rękę ze swoją dziewczyną. Życzyłbym sobie, żeby wszyscy ludzie odważyli się wyjść z tej patriarchalnej szafy, z tej polskiej nory, i powiedzieli głośno albo wykrzyczeli, bo krzyczeć czasem też trzeba, kim są naprawdę.

Niedawno brał pan udział w spotkaniu na scenie ASP w ramach festiwalu Pol’and’Rock. O czym pan tam rozmawiał z młodymi ludźmi?

– To było niesamowite spotkanie, było chyba ponad tysiąc osób, energia jak na koncercie zespołu Dr Misio. Dotyczyło najróżniejszych aspektów – tego, co się dzieje w kraju, tego, co ja robię. Było kilka wzruszających chwil, ale też kilka naprawdę trudnych rozmów z publicznością. Chyba jedno z takich najtrudniejszych pytań dotyczyło filmu „Kler”. Poproszony zostałem o próbę podsumowania znaczenia tego tytułu w przestrzeni publicznej i odpowiedź, czy film zrobił nam więcej dobrego, czy złego. Zrozumiałem, że osoba, która zadaje to pytanie, ma raczej negatywny stosunek do filmu, że był dla niej przerysowany, groteskowy i nie zgadzała się z jego przesłaniem. Pomyślałem, że muszę rozpocząć tę dyskusję z pełnym szacunkiem do osoby, która ma prawo ze mną się nie zgadzać. Nie mogę i nie chcę odmawiać komuś prawa, że ten film się nie podoba.

To coś rzadkiego w dzisiejszej Polsce. Spróbować spojrzeć na drugą stronę z szacunkiem dla jej racji.

– Powtarzam cały czas, że mój zespół jest doskonałym przykładem

eprasa.pl 4a35c65921

takiej patchworkowej rodziny, gdzie mamy różne poglądy. Jeden z muzyków jest ojcem księdza, drugi praktykującym katolikiem, a jeszcze kolejny buddystą. I mimo wszystkich dzielących nas różnic od kilkunastu lat potrafimy grać ze sobą, przyjaźnić się i dobrze się czuć w swoim towarzystwie. Pewnie wynika to z tego, że wszyscy jesteśmy zgodni co do jednego – każdy z nas powinien mieć prawo do funkcjonowania w takim świecie, jakim chce, żeby był. Nikt z nas nie chce, żeby ktoś nam mówił, jak mamy żyć. To znaczy, że ja też nie mogę i nie chcę zabraniać tej drugiej, prawicowej stronie żyć w systemie wartości, w które ona wierzy. I tego samego oczekuję od nich.

Łatwo panu przychodzi takie zrozumienie?

– Ależ skąd. Cały czas się tego uczę. Takim punktem przełomowym w mojej głowie był moment, kiedy kilka lat temu przygotowywaliśmy się do nagrania teledysku do utworu „Pismo". Połowa zespołu odmówiła wzięcia udziału w klipie, który jest oczywiście krytyką instytucji polskiego Kościoła. Ja po prostu – mając lewicowe poglądy – dostałem wtedy szału. Zagotowała mi się głowa, zaczęło we mnie coś krzyczeć, że przecież wszystko w tej piosence i teledysku jest zgodne z prawdą. Przez chwilę chciałem nawet rozwiązywać zespół. Na szczęście mam parę wiosen na karku i już wiem, że z takimi gorącymi tematami zawsze muszę się przespać, nabrać do nich dystansu. Jak już to zrobiłem, dotarło do mnie, że wina leży po mojej stronie. Bo dlaczego moim przyjaciołom z zespołu odmawiam prawa do innych poglądów niż moje? Awantura została zażegnana, w klipie zagrał ktoś inny, a Dr Misio do dzisiaj na każdym koncercie gra tę piosenkę.

Pojawiła się zapowiedź filmu „Wesele 2", które ma być „opowieścią o manipulowaniu emocjami i ostrzeżeniem przed mową nienawiści". Zapowiada się ważny film, ale mnie po „Klerze" wciąż zastanawia, czy takie filmy w ogóle są w stanie generować jakąś zmianę.

– Miałem ogromne nadzieje związane z „Klerem". Byłem przekonany, że będzie kroplą, która zacznie drążyć skałę i z biegiem czasu rozwali ten hierarchiczny monolit Kościoła. Potem, kiedy pojawił się film „Tylko nie mów nikomu" braci Sekielskich, miałem już absolutną pewność, że to rodzaj kuli śnieżnej, której nic nie będzie w stanie zatrzymać. Za chwilę miną trzy lata od premiery „Kleru", a mnie ogarnia tylko smutek, bo nie zmieniło się nic. Nie powstała żadna niezależna komisja, która systemowo zajęłaby się wyjaśnianiem przypadków pedofilii w polskim Kościele, która miałaby dostęp do diecezjalnych archiwów, gdzie można by znaleźć akta bandytów, którzy krzywdzili dzieci. Póki ta władza nami rządzi, nic takiego się nie wydarzy. A ja cały czas czekam na takie rewolucje i na tak głębokie oczyszczenie, jakie miało miejsce w Irlandii, Stanach czy Australii, gdzie ludzie potrafili zmierzyć się z tym tematem.

Czarna owca

Nie zaglądajmy ludziom do łóżek. Dajmy im po prostu się kochać.

A czeka pan na coś po drugim „Weselu" Smarzowskiego?

– Najnowszy film Wojtka będzie kolejnym ciosem w splot słoneczny każdego Polaka. Rozmowę o szczegółach odłożyłbym do premiery, powiem tylko, że Smarzowski jako najbardziej niepokorny twórca w tym kraju znowu wziął na warsztat temat, który boli tu wszystkich. Na pewno będzie to powód do zadawania pytań, momentami trudnych i dramatycznych, ale my te pytania na temat naszego polskiego DNA musimy sobie zadawać. Czeka nas jesienią poważna rozmowa, kim tak naprawdę dzisiaj jesteśmy. Ale żeby trochę rozładować tę minorową tonację, powiem panu, że moją przygodę z tym filmem zawsze będę sobie kojarzył z muzyką disco polo.

Słyszałem, że z notariusza, którym był pan w pierwszym „Weselu", awansował pan na wodzireja.

– Zostałem poproszony przez Wojtka do zagrania roli wodzireja i wokalisty zespołu disco polo. Dla żartu nazwaliśmy tę naszą kapelę Wołyniacy, ponieważ obok mnie grają w niej Adrian Zaremba i Vasili Vasylyk, a więc zalotnicy Michaliny Łabacz w filmie „Wołyń". To taki nasz filmowy żarcik. Natomiast jeśli chodzi o samą ścieżkę dźwiękową, to razem z Olafem Deriglasoffem na potrzeby filmu nagraliśmy kilka coverów i autorskich kawałków disco polo. I powiem panu, że była to ogromna przyjemność zagrać na takim weselu – zabawa była niebywała!

Prywatnie zdarzyło się panu kiedyś chałturzyć na weselu?

– Jeszcze nie, ale w trudnych czasach tej cholernej zarazy, kiedy przyszłość koncertów stoi pod znakiem zapytania, oczywiście nie wykluczam takiej ewentualności. Dywersyfikacja, proszę pana, dywersyfikacja! Mieszkam na wsi pod Warszawą, gdzie 250 m od mojej działki stoi dom weselny Maria. Tak sobie myślę, że kiedy odwołają nam już wszystkie koncerty Dr. Misio, kiedy zamkną plany filmowe, zadzwonię po kolegę Deriglasoffa, bierzemy pendrive'a z piosenkami z filmu i zaczynamy grać po weselach. Moja żona już zgłosiła akces i z chęcią wystąpi z nami w chórkach, ma nawet specjalną cekinową sukienkę na taką okazję. Będziemy się nazywać Imperium. Gdy więc nie będzie już żadnej pracy, a przecież wesela będą zawsze, to taką ewentualność trzymam w szufladzie na czarną godzinę. Przynajmniej będziemy mieli wtedy na rachunki.

Mateusz Demski

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/TVN (2)

eprasa.pl 4a35c65921

Oko w oko Tomasz Jastrun

Młot narodowy

I po olimpiadzie. Trochę mi szkoda, bo uciekałem w nią od trosk codziennych. Złote i brązowe medale olimpijskie w rzucie młotem w żeńskiej i w męskiej konkurencji dla Polaków. Mówi się teraz, że rzut młotem to polska konkurencja narodowa. Z całym szacunkiem dla sportowców nie brzmi to dobrze. Już nawet rzut oszczepem jako polska specjalność narodowa brzmiałoby lepiej.

•

Wiele hałasu, że polski rząd udziela azylu politycznego i niezwykle czule opiekuje się białoruską sprinterką Kryscią Cimanouską, która uciekła z Tokio, by nie wpaść w ręce białoruskiej bezpieki. PiS zaciera ręce, że świat to zauważył. Demokratyczna Polska zagrała na nosie Łukaszence. Ale to przecież umiarkowana dyktatura zrobiła wielką przykrość dyktaturze, która stała się złowroga. A generalnie to zmierzamy w stronę Białorusi. Z dwojga złego jednak wolę prezesa od Łukaszenki. Prezes przeczytał wiele książek, mamy nawet liczne wspólne lektury, to kulturalny satrapa, a Łukaszenka żulik.

•

We wsi kaszubskiej S. – po raz pierwszy byliśmy tu siedem lat temu – te same liczne gniazda bocianie, ale też ludzi coraz więcej, do plaży kilka kilometrów, nie jeżdżą już powozy konne, tylko pojazdy elektryczne. A szkoda, bo te konne tramwaje przenosiły w XIX w. Gospodarz, pan Bogdan, Kaszuba, gromadzi w altanie gości o rozmaitych zawodach, z różnych stron kraju, ale łączy ich jedno – wszyscy są zagorzałymi antypisowcami. Przy stole w altanie umawiamy się jednak, że unikamy rozmów o polityce, bo to jest w najwyższym stopniu przygnębiające. Gospodarz o skomplikowanym obliczu, każda zmarszczka wiele mówi, młodszy ode mnie o kilka lat, miał kiedyś gospodarstwo, teraz żyje z wczasowiczów, a też czasami zaciąga się na statki handlowe, czyści, maluje, zwiedza świat. A ten świat go zdumiewa i uczy. Ma otwartą głowę, zmysł anegdoty, poczucie humoru, genialnie opowiada. I jakimś cudem nigdy się nie powtarza. Jakby przeżył nie jedno życie, ale kilka, pełnych niezwykłych zdarzeń.

Co jakiś czas słychać za oknem stukot końskich kopyt, to jeźdźcy z pobliskiej stadniny. I pomyśleć, że kiedyś był to dźwięk równie dominujący jak teraz szum samochodowego silnika.

Potwierdza się, co słyszeliśmy – nad morzem jedzenie w restauracjach i w jadłodajniach jest o wiele droższe niż rok temu, nierzadko o 30%. Zresztą w całej Polsce ceny rosną. A ja za pisanie zarabiam w jednym miejscu tyle samo, ile kiedyś, a w drugim obcięto mi wynagrodzenie. Na pisanie jest o wiele łatwiej umrzeć, niż z niego żyć. Ale to nic nowego.

•

Wiadomość od mojej przyjaciółki, pisarki Krysi Kofty: Włodek Zawadzki nie żyje. Znałem go od kilkudziesięciu lat, na głowie miał zawsze burzę kędzierzawych włosów, a w głowie dużą wiedzę, był profesorem fizyki z ambicjami literackimi. Na pewno był jednak lepszym fizykiem niż pisarzem. Przychodził do stolika w Czytelniku. To pierwsza osoba, która odpadła ostatecznie od naszego stolika. Był o dziesięć lat ode mnie starszy. Dziesięć lat to było kiedyś wiele, teraz ten czas jest coraz krótszy. Gdy przypominam sobie, co robiłem dziesięć lat temu, to było jeśli nie wczoraj, to mniej więcej przedwczoraj.

•

To, że najmniej ludzi szczepi się na terenach, które głosują na PiS, jest znamienne. Jestem pewien, że gdyby zbadano stopień świadomości w sprawie zmian klimatu, okazałoby się, że na pisowskich terenach najwięcej jest wątpiących w globalne ocieplenie. A media rządowe o wiele mniej informują o zmianach klimatycznych niż stacje niezależne. PiS to polska klątwa narodowa, ale na małym terenie, a zmiany klimatyczne dotyczą całego globu i grożą zagładą naszej cywilizacji. Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) przedstawił dramatyczny raport na temat globalnego ocieplenia. Dokument powstał na podstawie przeglądu 14 tys. prac naukowych i jest najbardziej kompleksowym zbiorem ustaleń na temat tego, jak zmiany klimatu wpłyną na ludzi i świat w najbliższych dziesięcioleciach. Prof. Zbigniew Kundzewicz mówi o niedowiarkach, których bez liku: „Nie mam wątpliwości, że mamy do czynienia z walką dobra ze złem, walką ciemności ze światłością, walką wiedzy z głupotą”. Nasi prawicowi politycy też tu zdają się stać po stronie głupoty.

PiS to polska klątwa narodowa, ale na małym terenie, a zmiany klimatyczne dotyczą całego globu.

•

Jest środa przed południem, wczoraj wyrzucenie Gowina z rządu, ważne dni, drogi idą w dwie przeciwne strony – albo PiS umocni swoją władzę, albo zacznie się rozpadać. Każdy głos jest ważny, każde sumienie. Nie wiem, czy będzie głosowanie w sprawie TVN, jaki będzie jego wynik. (W pobliskiej małej wsi Kopalino też kilkanaście osób skanduje w obronie TVN, podobnie nieco dalej w Dębkach, w niedalekim Wejherowie na rynku demonstrowało sto osób). To moment przełomowy, jeśli zarżną tę telewizję, żadne gardło w Polsce nie będzie już bezpieczne.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

FESTIWAL

27. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE
Smoliński-Chyła-Sarnecki

Spotkanie trójki niezwykłych artystów, osobowości muzycznych, których celem jest ucieczka od stereotypów dotyczących harmonijki, skrzypiec i gitary poprzez nietypowe zestawienie i zastosowanie tych instrumentów. Grupa o niepowtarzalnym instrumentarium i brzmieniu, w którym zacierają się granice gatunków i stylistyk. Każdy muzyk tworzy własne, intrygujące brzmienie. Kacper Smoliński – harmonijka, Tomasz Chyła – skrzypce, Rafał Sarnecki – gitara, a oprócz nich sekcja rytmiczna: Andrzej Święs na basie i Sławek Koryzno na perkusji – oto skład na sobotni koncert. Premierowa propozycja na polskiej scenie jazzowej. *(ap)*

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 21 SIERPNIA, GODZ. 19

CHOPIN I JEGO EUROPA

Festiwal Chopin i jego Europa stał się wydarzeniem, które nadrabia zaniedbania w promocji rodzimej sztuki muzycznej ciągnące się od niemal 200 lat. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zdołał zainteresować najwybitniejszych artystów z Europy polskimi kompozytorami i dziełami, które nawet w kraju nie były często wykonywane. I oto Fabio Biondi wykona ze swoim zespołem Europa Galante operę Stanisława Moniuszki „Verbum nobile". Collegium Vocale 1704 Václava Luksa zaśpiewa utwory sakralne Marcina Mielczewskiego i Bartłomieja Pękiela, Julianna Awdiejewa zagra prócz Chopina suitę Władysława Szpilmana i sonatę Mieczysława Weinberga, a Philippe Herreweghe poprowadzi Orchestre des Champs-Élysées w koncertach Chopina. Stolica zaprasza w sierpniu do Opery Narodowej, Filharmonii i Zamku Królewskiego. *(bt)*

WARSZAWA, DO 31 SIERPNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Christine Dwyer Hickey
Wąski pas lądu
tłum. Magdalena Iwińska
Prószyński i S-ka, Warszawa 2021

„Poranek na Cape Cod" z napiętą postacią kobiety w wykuszowym oknie irlandzka pisarka interpretuje jako pojednanie po małżeńskiej kłótni Hopperów. Ten obraz zamyka jej powieść, jednak relacja między dwojgiem starzejących się artystów – uznanym i niedocenianą, jak uważa sama Jo Hopper – kojarzy się z nieprzywołaną tu „Czteropasmową drogą". On siedzi zamyślony, ona pokrzykuje przez okno. Pani Hy (tak nazywa ją Michael, osierocony w wojnie mały Niemiec, którego przywiezieniem do Ameryki i oddaniem do adopcji chełpi się sąsiadka Hopperów) wypełnia słowami ciążącą jej ciszę, zagaduje poczucie usunięcia w cień. I tak boleśnie nie pasuje do otaczających ją ludzi. Jej wycofany, ale przecież sławny mąż lepiej sobie z nimi radzi. Podobną zazdrość o skupianie na sobie całej uwagi czuje Richie, którego towarzyszem miał być tego lata Michael… Znakomite portrety emocjonalne i postacie, które rysują się ostro na tle Hopperowskiego nieba.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

ANNETTE
reż. Leos Carax, prod. Belgia/Francja/Japonia/Meksyk/Niemcy/Szwajcaria/USA, w kinach od 20 sierpnia

Jest tu kilka scen, które przejdą do historii musicalu. Jak ta, w której sopranistka grana przez Marion Cotillard przeżywa horror porodu, o czym śpiewa przed kamerą, wydając dziecię na świat. Albo gdy komik o ciele Adama Drivera łączy śpiew z seksem oralnym. Francuz Leos Carax, przedstawiciel tzw. nowej ekstremy, która skupia twórców filmów antymieszczańskich, pełnych okrucieństwa, przemocy i zła dotykającego ekranowych bohaterów zupełnie bez powodu, spróbował połączyć ogień z wodą. Zachował okrutną, barokową estetykę wcześniejszych filmów i pożenił ją z gatunkiem musicalu, który kojarzy się z lekkością i przyjemnością. Już to odważne połączenie fanom kinowych ciekawostek powinno wystarczyć, by zainwestowali w bilet. Na dokładkę dostaną popisowe kreacje Drivera i Cotillard, którzy śpiewali swoje partie nie w studiu, lecz na żywo, na planie. Nominacje do Oscara oboje mają już w kieszeni. Jednak ci, którym intrygujący koncept i dobra gra nie wystarczą, raczej nie mają tutaj czego szukać.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4a35c65921

Pragnij przemiany

Jedni mówią niszowy, drudzy – kultowy, inni – odważny. Świdnicki Bach Festival to zjawisko nie tylko muzyczne

Beata Dżon-Ozimek

Bachowski festiwal pokazuje wolność od schematów – łatwych rozwiązań, oczywistych nazwisk wykonawców, bezpiecznych wyborów tematów i muzyki. „Pragnij przemiany", brzmi motto 22. edycji. W istocie, jesteśmy świadkami przemian, chcemy ich, wprowadza je programem dyrektor artystyczny, *maestro* Jan Tomasz Adamus, szef Capelli Cracoviensis. Wydarzeniem stała się opera-monodram „Comfort Starving" młodego angielskiego kompozytora Iaina Bella, zarazem jego osobisty *coming out*. Wyreżyserował ją Krystian Lada, nominowany dwukrotnie do Paszportu „Polityki". Sceną stała się hala Świdnickiej Fabryki Urządzeń Przemysłowych (ŚFUP) – to zresztą ulubione miejsca realizacji minioper Lady – a scenografią feerie iskier wydobywanych przez mistrzów spawaczy, pracowników fabryki. Na takim tle doskonały czeski tenor Petr Nekoranec opowiadał o męskiej anoreksji, odrzucaniu swojego ciała, niebezpiecznych głodówkach, braku akceptacji. Wcześniej w imponującym Kościele Pokoju wystąpił zachwycający głosem Wenezuelczyk Samuel Mariño. Śpiewa sopranem. Wyjątkowy. Publiczność oszalała.

W latach 70. minionego wieku ŚFUP była jedną z 27 największych firm w Polsce. Dyrektor ds. produkcyjnych Zbigniew Jabłoński zapalił się do pomysłu prezesa i pani prezydent Świdnicy, by do spektaklu wykorzystać fabryczną halę. – Udział w realizacji wydarzenia kulturalnego uważam za świetną reklamę naszej firmy, która produkuje m.in. urządzenia dla przemysłu cukrowniczego i nietypowe konstrukcje stalowe.

Obok pianisty i śpiewaka aktorami na scenie, na specjalnych podestach, byli dwaj najlepsi spawacze. – Z nimi nie miałem obaw. Proszę sobie wyobrazić, że w trakcie pokazu jedno czy drugie urządzenie się zacina, musieliśmy się zabezpieczyć na różne okoliczności – przyznaje dyrektor. Spawacze obawiali się, czy bezpieczniki wytrzymają, bo to duże urządzenia, przemysłowe, a nie „garażowe". – Nie braliśmy wcześniej udziału w czymś takim, był stres, by coś nie zawiodło – uśmiecha się pan Artur. Kolega, Jacek, dodaje spokojnie:

Tenor Petr Nekoranec w monodramie operowym „Comfort Starving" w hali Świdnickiej Fabryki Urządzeń Przemysłowych.

– Reżyser dawał znak, kiedy „nastroić struny" i zaczynać grać. Widać było zaciekawienie publiczności.

Po raz pierwszy festiwal bachowski gościł w gminie Walim i Górach Sowich. Zwykle opuszcza Świdnicę na pojedyncze koncerty, np. w Strzegomiu, czy pikniki muzyczne w terenie, ale w Walimiu, Olszyńcu, Michałkowie, Niedźwiedzicy, na zamku Grodno i w Glinnie muzycy Capelli Cracoviensis i skrzypek Jorge Jiménez gościli po raz pierwszy. Pomysł na koncerty w Górach Sowich powstał wiosną podczas rozmowy terapeutki, pedagożki i radnej Walimia Angeliki Jaśkiewicz z Bożeną Kuźmą, wicedyrektorką Świdnickiego Ośrodka Kultury. Włączył się wójt Walimia Adam Hausman. *Maestro* Adamus od razu kupił pomysł, nie bał się braku publiczności w mieścinach, gdzie muzyka klasyczna pojawia się po raz pierwszy na żywo, i to przy ołtarzach. Nie wiadomo było, czy księża wpuszczą muzykę pod ołtarz. A jednak otworzyli kościółki i zarówno wierni, jak i niewierzący podążali niczym muzyczni pielgrzymi w te nieznane miejsca.

Na ostatnim koncercie w Górach Sowich, w Glinnie, Jan Tomasz Adamus został poproszony przez mieszkańców, by wracał do nich z muzyką. Wręczono mu niezwykły prezent zobowiązanie: kopię XIX-wiecznych nut kilkunastu symfonii Josepha Haydna, odnalezionych pośród pamiątek po pierwszym powojennym organiście z Walimia, Filipie Rozbickim.

Tegoroczny bachowski festiwal w Świdnicy jest wyrazem odwagi organizatorów, akceptacji różnorodności świata, otwierania się na alianse przemysłu i kultury, także otwierania się kolejnych kościołów katolickich na muzykę, sztukę, na profanum. Niech sobie festiwal będzie „niszowy", bo dzięki temu nie potrzebuje nikomu schlebiać.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. DANIEL GĘBALA

eprasa.pl 4a35c65921

Bronisław Tumiłowicz

Arcymistrz Duda

Polski szachista zdobył Puchar Świata, pokonując kilku arcymistrzów, w tym absolutnego mistrza świata Magnusa Carlsena

Gdy Polacy zdobywali medale na igrzyskach w Tokio, polski szachista zdobył Puchar Świata, pokonując kilku arcymistrzów, w tym absolutnego mistrza świata Magnusa Carlsena z Norwegii. To właśnie Carlsen zamierzał zdobyć ten puchar, by podkreślić swoją szachową dominację, ale Jan-Krzysztof Duda mu to uniemożliwił. Warto dodać, że nie był to pierwszy zwycięski pojedynek Dudy z mistrzem świata. Czy kiedyś Janek, który ma teraz 23 lata, a zaczynał grać jako pięciolatek, pomyślał, że dostanie się na sam szczyt? Otwarcie mówi, że taki jest jego cel.

Monika Soćko, pierwsza Polka, która otrzymała w 2008 r. najwyższy w szachach tytuł arcymistrza międzynarodowego (GM), też wróciła z Soczi, gdzie uczestniczyła w turnieju kobiecym. Rangę tej imprezy określa następująco: – Stawka jest bardzo wysoka, gra praktycznie cała czołówka z MŚ. A pierwsza dwójka (czyli oczywiście Janek) ma już miejsce w turnieju pretendentów, którego zwycięzca zagra mecz z mistrzem świata. Ja kiedyś grałam z Jankiem i przegrałam.

Strona internetowa Jana-Krzysztofa Dudy zawiera informacje o wcześniejszych turniejach, z komentarzami młodego arcymistrza. Pod jego nazwiskiem widnieje skrótowa charakterystyka: „1. szachista w Polsce i TOP 20 na świecie". Wiemy już, z kim mamy do czynienia. Nasz szachista na razie marzy o tym, by znaleźć się w pierwszej światowej dziesiątce.

Szachy, czyli znak od losu

Zaczynał bardzo wcześnie, być może szachy były jego genetycznym przeznaczeniem – przyszły tata Janka przegrał w szachy z mamą. Potomek urodził się 26 kwietnia 1998 r. Ojciec zmarł, gdy chłopiec miał dwa lata, więc całą edukacją szachową zajęła się mama. Jego biografia naznaczona jest pasmem dokonań sportowych. Mistrzostwa Polski w szachach przedszkolaków zorganizowano, jak na złość, w maksymalnej odległości od domu w Wieliczce, bo w Suwałkach. Ale dzięki pomocy ówczesnego trenera z samochodem – tak, przedszkolak miał już takiego – został liderem. Podobnych młodocianych sukcesów i mistrzostw było bez liku. Najpierw na krajowym polu, a potem na zagranicznym.

Wszystko znaczone wysiłkiem w okresie dzieciństwa i dorastania. Puchar Polski juniorów do 8 lat, międzynarodowy mistrz Niemiec do 8 lat, brązowy medal mistrzostw Polski juniorów do 10 lat, mistrz świata do 10 lat, mistrz Polski w kategorii do 12 lat, wicemistrz świata do 12 lat, wicemistrz Europy do 14 lat, mistrz Polski w kategorii do 18 lat, złoty medal drużynowych mistrzostw Europy juniorów do 18 lat itd. Już jako 15-latek startował w rozgrywkach Pucharu Świata w Norwegii i wtedy zajął VII miejsce. Wraz z wiekiem

FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

eprasa.pl 4a35c65921

zwiększała się liczba dyscyplin szachowych, w których zaznaczał swoją przewagę, zarówno w szachach klasycznych, jak i szybkich oraz błyskawicznych. Już wtedy mógł naliczyć kilkadziesiąt różnych medali. Arcymistrzem został tuż po 15. urodzinach. A teraz, gdy ma 23 lata, ten sam Puchar Świata pokazał, że on jest zwycięzcą. Ostatni mecz wygrał z Rosjaninem Siergiejem Karjakinem, który miał już na koncie to trofeum, natomiast dwa dni wcześniej po raz kolejny pokonał aktualnego mistrza świata Magnusa Carlsena, odbierając idolowi wszystkich szachistów szansę na zdobycie upragnionego lauru.

Być jak Magnus

Ktoś w ramach gratulacji powiedział Janowi-Krzysztofowi, że teraz Carlsen powiesi sobie nad łóżkiem jego portret. A do tej pory nasz arcymistrz traktował Norwega jako wykładnię szachowego sukcesu. Jego pochwałę: „Zawsze idzie po zwycięstwo, nigdy nie gra na remis" zamieszczał dotąd na winietkach informujących o swoich kolejnych startach w międzynarodowych turniejach.

Czy Duda rzeczywiście jest takim twardzielem, jak sądzi Carlsen? To prawda, że dwa lata temu przerwał pasmo zwycięstw Norwega, który nie przegrał 125 pojedynków z rzędu. To musiało trochę zaboleć. Jednak polskiemu zawodnikowi woda sodowa nie uderzyła do głowy. 24 listopada 2020 r. zwierzał się na Facebooku z gorszej formy: „Dzisiaj ostatni dzień eliminacji Skilling Open. Niestety, swoją wczorajszą grą praktycznie pozbawiłem się jakichkolwiek szans awansu. Cóż, przyjdzie pora na wyciąganie wniosków". Z kolei na łamach „Norway Chess" ukazała się jego wypowiedź: „Nie gram aż tak dobrze, ale miewam swoje dobre chwile".

Najważniejszy rywal czegoś takiego nie mógłby o sobie powiedzieć. Zresztą ciągle jest jedynym graczem, który w tym samym roku zdobył mistrzostwo świata w szachach klasycznych, szybkich i błyskawicznych. Już stał się legendą, porównywany bywa do Garriego Kasparowa. Carlsen stara się studzić emocje i mówi: „Kasparow dominował w szachach przez 20 lat. Ja jestem na szczycie dopiero od 10".

Nasz szachista na razie marzy o tym, by znaleźć się w pierwszej światowej dziesiątce.

Trzydziestoletni Magnus Carlsen, mistrz świata, a jak mówią niektórzy, być może jeden z najlepszych graczy w szachowej historii, to już dziś poważna marka biznesowa. Ten arcymistrz jako jeden z niewielu, jeszcze będąc nastolatkiem, wymyślił sobie firmę i miał pomysł, jak przekuć kolejne rozgrywki na szachownicy w dobry interes. Obecnie jego Play Magnus Group ma setki pracowników rozlokowanych w biurach w różnych miastach, a wycena firmy, od momentu wejścia na giełdę w Oslo, zwiększyła się o połowę i wynosi 140 mln euro. W trwającej od roku pandemii część rozgrywek szachowych przeniosła się do internetu. Carlsen coraz chętniej sam je organizuje, współorganizuje czy inspiruje. Seria Champion Chess Tour ma pulę nagród 1,5 mln dol. Czy jednak doskonale rozwijający się interes nie stał się dla Carlsena ważniejszy niż osobiste brylowanie na turniejach? Niektórzy dostrzegają u niego osłabienie sportowej dyspozycji. Może utrata szansy na zdobycie Pucharu Świata przyniesie otrzeźwienie. Tymczasem Jan-Krzysztof Duda po zwycięstwie otrzymał od razu zaproszenie na rok 2022.

Sport zawodowy

Prócz zaproszenia nasz arcymistrz odebrał czek na 150 tys. dol. Nagrody rzeczowe i pieniężne są przynętą na szachistów. Jeśli ktoś bierze udział w turniejach i wygrywa, w sporcie zawodowym zwykle coś za to dostaje. Zaczęło się od nagrody w postaci roweru, który Jan-Krzysztof wygrał jako pięciolatek, potem były większe i mniejsze niespodzianki, np. mapa, elastyczny ołówek, a teraz niezła kasa. Na mistrzostwach świata w szachach szybkich i błyskawicznych otrzymał 68 tys. dol. Za turniej w Norwegii, w którym zajął „tylko" piąte miejsce, 15 tys. dol. Ale trzeba pamiętać, że utrzymywanie się w dobrej formie i uczestnictwo w licznych spotkaniach szachowych jest kosztowne. Jankowi od samego początku prawie wszystko organizuje mama, ale jest też menedżer Adam Dzwonkowski, który pomaga w budowaniu kariery.

O formę fizyczną, która jest bardzo ważna w szachach, bo mecze ciągną się czasem po sześć godzin i trzeba wciąż mieć napiętą uwagę, siedząc przy stoliku, dbają wykwalifikowani trenerzy, którzy mieli styczność nawet z przygotowaniami naszej reprezentacji w pływaniu i biegach. Janek przynajmniej raz w tygodniu ćwiczy na siłowni. Własną ekipę trzeba utrzymać, bo mama wszystkiego nie załatwi. Ona rezerwuje loty i miejsca w hotelach, stara się również wszędzie jeździć z synem. Dla porównania Magnus Carlsen, choć przekroczył 30 lat, wszędzie podróżuje z ojcem.

Jan-Krzysztof Duda obserwuje rywala i obmyśla kolejne strategie. Imię Magnus brzmi dobrze, ale Jan-Krzysztof też ma moc. Dla niewtajemniczonych to literacki pseudonim Ludwiga van Beethovena, który wymyślił francuski pisarz Romain Rolland. W marzeniach rodziców polskiego szachisty ich syn miał zostać kimś wielkim. Początkowo myśleli o karierze muzyka i stąd ten ukryty Beethoven. Wyszły jednak szachy, w które także „się gra".

b,tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Turniej Pucharu Świata to eliminacje do mistrzostw świata w szachach. Rozgrywki organizowane są co dwa lata od 2005 r. Zawodnicy rozgrywają siedem rund systemem pucharowym. Ostatni turniej odbył się w Soczi. Wzięło w nim udział 206 najlepszych szachistów świata, wśród nich Polacy. Kacper Piorun odpadł w jednej ósmej finału, Radosław Wojtaszek w jednej szesnastej (przegrał z Carlsenem), a Michał Krasenkow w jednej trzydziestej drugiej. W Soczi grała też Monika Soćko. Odpadła w drugiej rundzie. Najlepsza z Polek Jolanta Zawadzka doszła do trzeciej.

eprasa.pl 4a35c65921

JAK TO ROBIĄ POLACY?

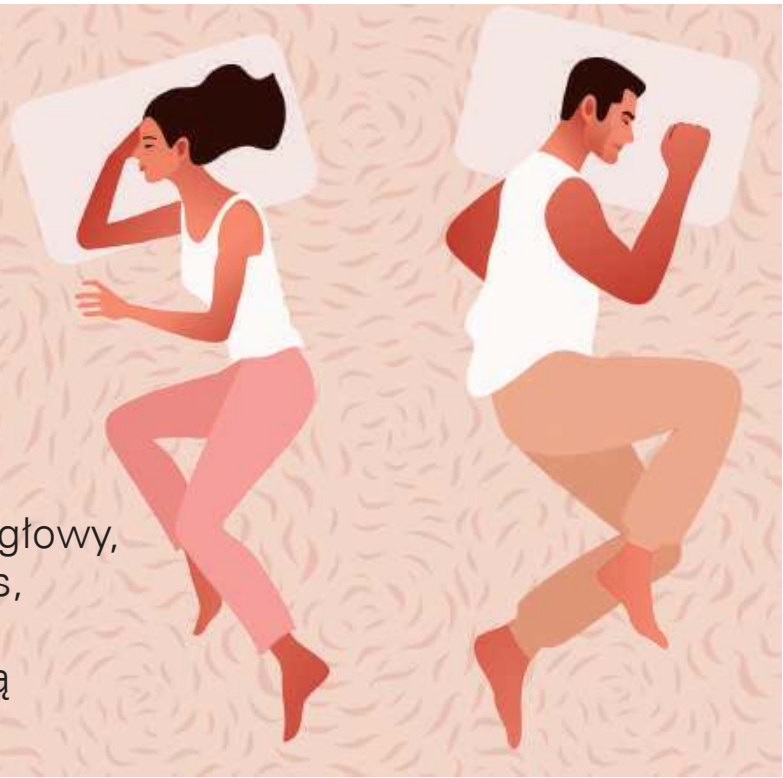

Jeżeli ktoś cierpi na bóle głowy, polecam mu właśnie seks, bo wtedy wydziela się serotonina i bóle ustępują

Rozmawia Paula Leśniewska

Panie profesorze, czy Polacy wstydzą się rozmawiać o seksie?

– Dobrze pamiętam, jak jeszcze 10-15 lat temu przychodzili do mnie zaczerwienieni, wstydliwi pacjenci, szczególnie panowie. I ledwo z siebie wyduszali, po długim wysiłku: „Panie profesorze, nie staje mi". W ogóle nie używali słowa erekcja, wzwód. Panie z kolei nie używały słowa orgazm. Teraz z większością pacjentów rozmawia się na poziomie. Kobiety nie mówią już: „Panie profesorze, mnie się już nie chce", tylko ładnie: „Mam osłabione libido". I oczywiście teraz pacjentów jest więcej niż kiedyś – internet, prasa i reklamy robią swoje. Chociaż trzeba przyznać, że niektórzy nadal mają zahamowania co do wizyty u seksuologa.

Kto więc przychodzi do pana gabinetu?

– Istniała kiedyś taka legenda, że do seksuologa przychodzą tylko ci panowie, którzy mają zaburzenia erekcji i młode partnerki. Owszem, ale są też inni. Najwięcej jest osób transseksualnych. Mamy ich w Polsce kilka tysięcy. Czasem to młode osoby, które przychodzą do mnie z rodzicami. Oni mówią zazwyczaj, że „nie chcą o tym słyszeć", i pytają, co mają robić. Trzeba im tłumaczyć, przekonywać. Niektóre osoby chcące dokonać korekty płci przychodzą same, po burzliwych kłótniach w domu. Oprócz osób transseksualnych do mojego gabinetu zaglądają nastolatki, młode kobiety, które pytają o antykoncepcję, i pary, którym jest w seksie źle – nie spełniają się w sensie satysfakcji dwustronnej. Dużo jest kobiet z zaburzeniami orgazmu i niskim libido.

Co może być przyczyną zaburzeń libido?

– U kobiet toksyczne związki, gwałty, cukrzyca, zaburzenia układu immunologicznego, problemy z hormonami, stres. Aż 20% kobiet, czyli co piąta, nie ma orgazmów. Na początku zazwyczaj kobiety winią partnerów. Ale po wypróbowaniu kilku przychodzą do mnie i mówią, że żadne zmiany nie pomagają. Wtedy zaczynamy szukać przyczyny – w głowie, w organizmie. U mężczyzn niskie libido może się wiązać z chorobami, wiekiem i stresem. Wielu panów zbyt wysoko zawiesza sobie poprzeczkę. A u młodych powodem niskiego libido może być np. trening połączony z dopingiem.

To jak zachować sprawność seksualną?

– Prawda jest taka, że żadna dieta cud nie istnieje. Każdy z nas powinien odżywiać się zgodnie z rodzajem pracy, jaką wykonuje, wiekiem, stanem zdrowia. Przeciętny dorosły człowiek musi zjeść ok. 2,5 tys. kcal, żeby się dobrze czuć i żeby dobrze funkcjonować. Zdrowe żywienie to takie, które daje nam odpowiednią ilość kalorii, witamin, minerałów itd. Do tego trzeba doliczyć ruch i eliminację stresu. Nie jest to co prawda w 100% możliwe, ale warto próbować.

No dobrze, a dokładniej? Ma pan jakieś rady?

– Zacznijmy od tego, że żaden człowiek na świecie nie je idealnie, bo nikt dokładnie nie liczy, ile miligramów magnezu, wapnia, witaminy C itd. przyjmuje. Ja powiem tak: 1,5 litra wody mineralnej dziennie wystarcza, by pokryć zapotrzebowanie na minerały. Między ludźmi krążą legendy o kawie, że wypłukuje, że jest zła. Ale z badań wynika, że można spokojnie wypić cztery kawy dziennie i magnez się nie wypłucze. Jeżeli chodzi o potas – jeden banan

U mężczyzn niskie libido może być związane z chorobami, wiekiem i stresem. A u młodych – np. z treningiem połączonym z dopingiem.

eprasa.pl 4a35c65921

dziennie wystarczy. Natomiast coś, co można rozważyć, to przyjmowanie witaminy D_3 – 2 tys. jednostek. Słońce często nie wystarcza. Panom polecam cynk – jest dobry na potencję. Znajdziemy go we wszystkim, co zielone, w owocach morza i pestkach słonecznika.

A suplementy?

– Legendy. Zdrowej osobie nie są potrzebne żadne suplementy. Ale ponieważ reklamy robią swoje, a półki w aptekach uginają się pod kolorowymi kartonikami z obietnicami z kosmosu, ludzie kupują bez opamiętania. W Polsce wydajemy na suplementy ok. 5 mld zł rocznie!

Zgaduję, że do pana gabinetu często trafiają osoby, które biorą leki na erekcję, bo skusiły je obietnice producentów.

– Tak. Panowie kupują leki na poprawę erekcji na podstawie reklam w telewizji albo w prasie, ewentualnie z polecenia sąsiada. Biorą i nic. Wtedy dopiero przychodzą do mnie i płacz, bo pieniądze wydane, a nie działa. Wszelkie leki mają swoje wskazania, ale i przeciwwskazania! Dopiero porządny wywiad (choroby, stosowane leki, badania laboratoryjne itd.) daje odpowiedź, co jest przyczyną problemów. I wtedy następuje terapia, ale nie objawowa, tylko przyczynowa.

To co robić, kiedy ktoś ma problem z erekcją?

– Iść do lekarza. Udany seks to bardzo ważna sfera życia. Wszystkie przypadłości z tym związane wymagają wizyty u specjalisty. Często pacjenci z zaburzeniami erekcji najpierw trafiają do lekarza pierwszego kontaktu. Zdarza się, że taki lekarz przepisuje nieodpowiednie leki, bo nie zbiera szczegółowego wywiadu, np. nie pyta pacjenta, jakie inne leki bierze. A potem nieświadomy lekarz łączy np. viagrę z lekami nasercowymi i nieszczęście gotowe. Z kolei młoda lekarka wstydzi się zapytać o zaburzenia erekcji, a pacjent jej nie mówi, bo po co. I oboje robią błąd. Zaburzenia erekcji są częstym objawem wyprzedzającym m.in. miażdżycę i cukrzycę. Najczęściej dotyczą panów w wieku 50-60 lat, a takich jest w Polsce 2,5 mln.

A otyłość?

– Nie pomaga. Zgłaszają się do mnie pacjenci z tzw. brzuchem piwnym i zaburzeniami erekcji. Ale to nie od piwa! W otyłości komórki nadprodukują estrogeny, a te hamują wydzielanie przysadki, co z kolei powoduje obniżenie stężenia testosteronu. Kiedyś prowadziłem wykład o otyłości. Mówię: „Aktywny seks spala 400 kcal!". Na to wstaje jeden ze słuchaczy i pyta: „Panie profesorze, a co to jest aktywny seks?". I sala w śmiech. Rzeczywiście – co to jest aktywny seks? Pacjenci ciągle pytają o normy w seksie – ile razy w ciągu tygodnia, roku, ile orgazmów. Otóż nie ma takich norm. Wszystko jest indywidualne.

Prof. dr hab. n. med. Zygmunt Zdrojewicz

– specjalista chorób wewnętrznych, endokrynolog, seksuolog

Z jakimi kompleksami zmagają się Polacy?

– Często jest tak, że panowie mają kompleksy na tle długości członka. Przychodzą do mnie i mówią: „Za mały". U nas norma to penis długości 11-17 cm. I tym, co mają np. 12 cm, tłumaczę tak: unerwienie pochwy to jest pierwsze 10 cm. I jak członek ma 12 cm, to wystarcza. Chociaż większość kobiet mówi, że najważniejsza jest dla nich długość penisa partnera, a nie obwód, tak naprawdę właśnie ten drugi ma większe znaczenie dla przyjemności. Oprócz tego niektórzy pacjenci stresują się, że ich seks jest zbyt krótki. W Polsce robiono badania i wykazano, że średni seks trwa u nas ok. 14 minut. Ale te osoby, które mają pięć minut, niech się nie stresują, że inni mają 20, bo to jest z dojazdem i piciem kawy.

Czytałam, że coraz więcej ludzi cierpi na niepłodność. Czy to może mieć wpływ na seks?

– Seksualność i płodność nie mają ze sobą nic wspólnego. Ja jestem przeciwnikiem naprotechnologii. Prawda jest taka, że niepłodność nie jest wyłącznie sprawą kobiet. Ze względu na środowisko, w którym żyjemy, i nafaszerowaną hormonami żywność jakość plemników bardzo się pogorszyła. Kiedyś w mililitrze spermy znajdowało się ok. 40-60 mln plemników. Dzisiaj to już ok. 10-20 mln. Ale warto zaznaczyć, że do zapłodnienia potrzebny jest tylko jeden. Jeżeli facet zrobi badanie nasienia i wyjdzie, że ma np. 5% zdrowych plemników, to tyle wystarczy.

Jak poprawić swoje życie seksualne?

– To bardzo indywidualna sprawa. Często niestety partnerzy nie rozmawiają o swoich potrzebach, uprawiają seks zadaniowo albo „w nagrodę". To okropne. Niektórzy mężczyźni stosunek seksualny traktują jako jedyną formę seksu, nie uprawiają gry wstępnej, co krzywdzi kobietę. Genialny Freud napisał kiedyś, że kompleksy człowieka wynikają z dwóch powodów: złego życia seksualnego i fatalnego zawodowego. A najgorzej, gdy te dwa aspekty się łączą. Seks to niezwykle ważna sfera życia. Tak było, jest i będzie. Jeżeli ktoś cierpi na bóle głowy, polecam mu właśnie seks, bo wtedy wydziela się serotonina i bóle ustępują! Nie wolno, panowie, zapominać o kobietach. Orgazmy należą się im w każdym wieku!

A co, jeśli partner/ka ma upodobania, wobec których jesteśmy sceptyczni?

– Powiem tak: wszystko w seksie jest dozwolone, pod jednym warunkiem – akceptacji obu stron. Na pytanie, co powinien robić elegancki facet w łóżku, odpowiadam: nie chrapać i nie ciągnąć kołdry. Dla każdego seks to indywidualna sprawa. I o ile wszystko odbywa się za zgodą, jest bardzo dobrze.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4a35c65921

KRZYKACZ

Pierwszą parę łabędzi krzykliwych wykryto w Polsce w 1973 r. nad Biebrzą. To była sensacja. Na kolejne lęgi trzeba było czekać dekadę

Konrad Malec

Pamiętam pierwsze spotkanie z łabędziami krzykliwymi. Było to 20 lat temu, nad Pilicą, podczas mojego pierwszego liczenia ptaków zimujących na wodach województwa łódzkiego. Śnieg, brzegi lekko skute lodem, zbliżał się zachód słońca, ja kończyłem odcinek i najpierw usłyszałem trąbiący głos, a potem zza nadrzecznych drzew wyleciało pięć ptaków.

Pół wieku temu łabędzie krzykliwe do Polski przylatywały jedynie na zimę. Obecnie corocznie zimuje u nas 10-20 tys. krzykaczy, jak gwarowo nazywają je ornitolodzy. Tak jak popularne łabędzie nieme ich krzykliwi pobratymcy są biali. Rozmiary również mają zbliżone, choć niemy jest cięższy. Różnią się dziobem – dziób krzykacza sprawia wrażenie idealnie prostego, klinowatego i jest żółto-czarny. Z większej odległości łatwiej zauważyć odmieńca po wyprostowanej, a nie zgiętej w literę S szyi. Jednak najlepszą wizytówką jest trąbiący głos, przypominający klangor żurawia. Ptaki, poza wysiadywaniem jaj i wodzeniem młodych, komunikują dużo i często, a wydawany przez nie dźwięk słychać ze znacznej odległości. Wszystko za sprawą rozbudowanych oskrzeli i tchawicy, które są zapętlone i zagłębione w mostek.

Łabędzie krzykliwe łączą się na całe życie, rozwody są rzadkie.

Całość przypomina trąbkę i podobnie do niej rezonuje. Dodatkowy efekt dają połączone głosy pary ptaków. Zaczyna samiec kilkoma gdaknięciami, działającymi niczym uderzenie batutą w pulpit przez dyrygenta. Następnie trąbi, do czego przyłącza się samica, w nieco wyższej tonacji. Zestrojenie dźwięków w duecie sprawia wrażenie modulowanej pieśni, tymczasem każdy ptak z osobna wydaje proste głosy.

W dawnych czasach nie odróżniano łabędzi krzykliwych od niemych, a w każdym razie nie zachowała się na ten temat wzmianka w literaturze, toteż nie wiadomo, czy krzykacze zamieszkiwały Polskę, czy nie. Generalnie uważano, że krzykliwce są ptakami Północy, choć po części było to wynikiem polowań, ale ich ochrona doprowadziła do powolnej odbudowy liczebności. Najpierw Islandia zakazała polowań – już w 1885 r. Druga była Szwecja (1927), potem dołączyły inne kraje. W Polsce pierwszą parę wykryto w 1973 r., nad Biebrzą. To była sensacja. Na kolejne lęgi trzeba było czekać dekadę, miały one miejsce nad górną Odrą. W kolejnych latach wykrywano kolejne pary, ciągle były to jednak lęgi efemeryczne, choć coraz częstsze. Na przełomie wieków corocznie wykrywano jedno-dwa gniazda, a cała populacja liczyła ok. 30 par. W ramach Monitoringu Łabędzia Krzykliwego, będącego częścią Monitoringu Ptaków Polski, który funkcjonuje

FOT. PIOTR KAMIONKA/ANGORA/REPORTER

eprasa.pl 4a35c65921

w ramach Państwowego Monitoringu Środowiska, ornitolodzy corocznie starają się wykryć wszystkie pary gniazdujące w Polsce. Rok temu było ich 213. Oznacza to, że liczebność krzykaczy szybko przyrasta. Ale też, że jest to jeden z rzadszych krajowych gatunków.

W okolicy mam cztery pary krzykaczy, jedną z nich wykryłem jako nową trzy lata temu, zgłosiłem do monitoringu i od tamtej pory mam ją pod obserwacją. Najpewniej była to para młodych ptaków, w pierwszym roku gniazdowania, jednak udało im się trójkę młodych doprowadzić do lotności. Nie oznacza to końca wychowania, po prostu wówczas straciłem je z oczu. Młode pozostają przy rodzicach zwykle przez całą zimę, niekiedy nieco dłużej, a ptaki w rodzinie łączą silne więzi emocjonalne. Znane są przypadki, że jedno z dzieci zostaje z rodzicami przez kilka lat, uczestnicząc w wychowaniu młodszego rodzeństwa. Wracając zaś do mojej pary, tamtego lata ptaki nie były zbyt płochliwe i choć trzymały się najbardziej oddalonej ode mnie części stawu rybnego (w takich miejscach krzykacze najczęściej gniazdują w Polsce, choć są znane również z naturalnych akwenów), to bez problemu podziwiałem rodziców wodzących młode. To jedna ze wskazówek, że parę tworzyły młode, niedoświadczone ptaki. Krzykacze mają opinię bardzo ostrożnych rodziców, choć znane są wyjątki bardziej z ludźmi oswojone.

Łabędzie krzykliwe łączą się na całe życie, rozwody są rzadkie. Badania prowadzone przez Brytyjczyków mówią o 5% małżeństw zakończonych rozstaniem, czyli mniej więcej sześciokrotnie rzadziej niż wśród Polaków. Te same badania wykazały, że owdowiały ptak przeciętnie dwa lata żyje w samotności. Podejrzewa się, że w tym czasie przechodzi żałobę. Rozwodnicy zwykle już w kolejnym sezonie mieli nowego partnera. Długość stażu wpływa na udatność wychowania potomstwa. Statystycznie przez sześć lat małżeństwa liczba piskląt uzyskujących zdolność lotu u krzykaczy rośnie, po czym stabilizuje się, czyli wierność się opłaca. Zwykle pierwsze lęgi są nieudane, więc trójka młodych u nowej pary była dobrym wynikiem.

Niestety, ubiegły rok dla obserwowanych przeze mnie ptaków nie był tak dobry, straciły lęgi albo na etapie wysiadywania jaj, albo zaraz po wykluciu się młodych. Jaja czasem padają ofiarą lisów, błotniaków stawowych, kruków lub wron, ale zwykle dzieje się tak za sprawą ludzi, gdy spłoszona samica zostawia gniazdo. Wprawdzie tylko na chwilę, to jednak wystarcza sprytnym drapieżnikom. Jajom, a także młodym ptakom zagrażają coraz liczniejsze w Polsce, inwazyjne norki amerykańskie i swojskie wydry. Małe pisklęta bywają zjadane przez ryby drapieżne, przede wszystkim szczupaki, ale akurat na moim stanowisku tych ryb nie ma. Cokolwiek się stało, rodzice opuścili staw, a moja para była widywana na innych akwenach, o czym donieśli znajomi ornitolodzy. To ważne, bo mimo białej barwy ptaki potrafią skryć się w trzcinach i być niezauważalne dla człowieka, mógłbym więc je przeoczyć. I tak właśnie było w tym roku. W czasie wysiadywania jaj widziałem stróżującego samca, a przy pewnej sztuczce, której z uwagi na bezpieczeństwo ptaków nie zdradzę, odnajdywałem samicę i gniazdo.

W tym roku odwiedzałem moją parę kilkukrotnie w czasie wysiadywania, aż pewnego dnia jej nie spotkałem. Przyznam, że po ubiegłorocznej stracie bałem się o lęgi ptaków, z którymi się zżyłem. Miałem wrócić za kilka dni, zerknąć, czy wszystko w porządku, ale życie napisało inny scenariusz i ponownie przybyłem dopiero pod koniec lipca. Zasadniczo metodyka badań nakazuje minimum dwie wizyty, jedną w czasie wysiadywania lub wczesnego wodzenia piskląt, drugą bliżej końca sezonu lęgowego, ale większość obserwatorów wykonuje częstsze kontrole, spisując przy okazji rozmaite informacje o zachowaniu ptaków, ich interakcjach z innymi gatunkami i wszelkie inne, które mogą być istotne lub ciekawe dla poszerzania naszej wiedzy o gatunku.

Po przybyciu nad staw rozstawiłem się z lunetą w punkcie, z którego najlepiej widać zatoczkę, gdzie lubią przebywać obserwowane przeze mnie ptaki. Byłem krótko po świcie, a obiekty zainteresowania kazały długo na siebie czekać. Na szczęście na badanych przeze mnie stawach nie brakowało innych atrakcji, m.in. coraz rzadszych zauszników. Po niemal półtorej godzinie z trzcin wypłynął samiec. Przemieszczał się po stawie, po czym spojrzał na mnie, wszczął alarm i pomknął, biegnąc po wodzie i trzepocząc skrzydłami, w trzcinowisko. Może po ubiegłorocznej stracie para stała się nader ostrożna, a może ktoś je tu płoszy.

Zmieniłem lokalizację, byłem na wzniesieniu, więc nie groziło mi przeoczenie wypływających łabędzi. Teraz starałem się nie rozpraszać innymi ptakami, wyjątek zrobiłem jedynie dla trzmielojada, jednego z bardziej interesujących drapoli. Po trzech kwadransach samiec ponownie, ostrożnie wysunął się z trzcin. Mimo znacznej odległości ptak mnie dostrzegł i sytuacja się powtórzyła. Po raz kolejny dokonałem relokacji, obchodząc staw dookoła, licząc na łut szczęścia. Wiadomo, że szczęściu trzeba dopomagać – wspiąłem się na urządzenia piętrzące wodę, mając nadzieję, że zniszczone terenem kolana nie odmówią posłuszeństwa. Bez efektu. Zająłem miejsce pod osłoną drzew. Samiec wypłynął i czujnie przejrzał okolicę. Wtedy na ułamek sekundy dostrzegłem samicę i jedno z młodych. Rozmiarami niemal dorównywało rodzicom, czyli miało 70-75 dni. To by potwierdzało przypuszczenie, że podczas ostatniej wizyty, gdy nie dostrzegłem ptaków, wodziły świeżo wyklute pisklęta, zapewne ukryte w najgęstszym zakątku

Owdowiały ptak przeciętnie dwa lata żyje w samotności. Podejrzewa się, że w tym czasie przechodzi żałobę.

Ptaki komunikują dużo i często, a wydawany przez nie dźwięk słychać ze znacznej odległości.

eprasa.pl 4a35c65921

trzcinowiska. Jeszcze tylko chwila i samica z młodymi wypłynie na bardziej odkryty teren, a wtedy dokładnie je policzę. Nic z tego, samiec przepłynął trzy czwarte akwenu, zaalarmował rodzinę i, biegnąc po wodzie, wystartował. Wylądował na pobliskiej łące i zaczął skubać trawę.

Skubanie roślin na łąkach i polach jest jednym ze sposobów, w jaki krzykacze zdobywają pokarm. Zdarza im się też raczyć ziemniakami czy burakami, ale na razie nie jest to konfliktogenny ptak, z uwagi na niską liczebność, choć w niektórych krajach rolnicy nieco się na niego skarżą. Większość pokarmu ptaki zdobywają jednak z wody, skubią roślinność przybrzeżną i wynurzoną, zbierają żywność z powierzchni oraz spod powierzchni wody. Długa szyja umożliwia im wyłowienie roślin, a niekiedy mięsnej przekąski z głębokości niedostępnych dla innych ptaków nawodnych. Pokarm roślinny dominuje w diecie krzykacza, a mięczaki, skorupiaki czy owady są jedynie niewielkim dodatkiem, choć w pierwszych tygodniach życia stanowią większość pożywienia piskląt.

Do czterech razy sztuka, usiłuję kolejnej sztuczki. Wspinam się na wysoko ściętą wierzbę i usiłuję udawać koronę. Jestem wysoko, w dobrej lokalizacji, widzę najbardziej newralgiczne miejsca i samca pasącego się na łące. Mijają kolejne trzy kwadranse, samiec bierze rozbieg po polu i powoli unosi się w przestworza. Łabędzie są jednymi z najcięższych ptaków latających, ważą 6-11 kg, choć zdarzają się cięższe samce, niektóre mogą osiągnąć ponad 15 kg. Potrzebują pasa startowego minimum 100 m długości. Przypominają tym ciężkie samoloty i podobnie jak one startują zawsze pod wiatr.

Łabędzie są jednymi z najcięższych ptaków latających, ważą 6-11 kg.

Samiec ląduje na stawie, nieopodal trzcinowiska, gdzie kryje się reszta rodziny. Płynie, czujnie się rozglądając. Moje stanowisko jest przy końcu, liczę na to, że ptak nie przepłynie całego akwenu i spokojnie wróci po samicę z młodymi. Na to, że mój wojskowy strój naprawdę go zwiedzie, nie liczę, doskonałe ptasie oczy wypatrzą mnie bez trudu. Niestety, samiec dobrze wypełnia zadanie ochroniarza i dopływa na moją wysokość. Przygląda się dziwnej wierzbie, odwraca w kierunku trzcin, alarmuje i startuje. Ląduje na sąsiednim stawie i żeruje, jak gdyby nigdy nic. Zapewne usiłuje mnie zwieść, że nie ma tu żadnych łabędzi poza nim. Ostatnia nadzieja zawiodła, ale trudno mieć do samca pretensje, chroni własną rodzinę. Kapituluję, wiem już, że dziś nie mam szans z ostrożnymi ptakami, rzucam okiem na inne ptaszyska i wracam do domu.

Półtora tygodnia później jestem ponownie. Przed podjęciem decyzji, kiedy wyruszać w teren, konsultuję się z prognozą pogody. Zwykle wybieram dni bez deszczu, tym razem robię odwrotnie. Po łabędziach woda spływa jak po kaczkach, więc opady nie są dla nich problemem, a liczę, że zapewnią mi dodatkową osłonę. No i zmniejszą czujność ptaków – komu normalnemu chciałoby się na nie dybać w taką pogodę? Wybieram stanowisko za drzewami, starając się być niewidocznym. I licząc na osłonę przed deszczem, ale po niespełna 10 minutach suche mam tylko skarpetki, a i to niedługo. Czatuję dwie godziny, ptaków nie ma. Samiec nawet nie wychylił dzioba zza zielonej ściany trzcin. Może półmrok spowodowany gęstymi chmurami go zniechęca, a może… Może ptaki odleciały? To czas, gdy pisklęta osiągają lotność, mogły się przemieścić na inny zbiornik.

Mijają dwie godziny. Tyle zgodnie z metodyką wynosi minimalny czas obserwacji. Ruszam dookoła stawu, korzystając z wszelkich punktów obserwacyjnych. Nic. Do samochodu docieram, szczękając zębami. Kolejnego dnia świeci słońce, wybieramy się na rodzinną wycieczkę do skansenu w Nowogrodzie. W drodze powrotnej udaje mi się namówić uczestników, by zajrzeć do moich łabędzi. Niestety, ptaków nie dostrzegam. Mam nadzieję, że w kolejnym tygodniu wyskrobię chwilę i podjadę na stawy do moich ptaków, do końca monitoringu zostało niewiele czasu.

Łabędź krzykliwy figuruje na Czerwonej liście ptaków Polski, jako gatunek bliski zagrożenia. Wprawdzie jego mała liczebność kwalifikuje go do wyższych kategorii zagrożenia, ale liczba krzykaczy w Polsce rośnie, a do tego istnieje prawdopodobieństwo zasiedlania Polski przez ptaki od naszych sąsiadów. Wśród zagrożeń dla krzykaczy wymienia się ich płoszenie przez ludzi. Dlatego jeśli spotkają państwo rodziców z pisklętami, lepiej dać im spokój. A parę zgłosić do Stacji Ornitologicznej Muzeum i Instytutu Zoologii PAN.

Konrad Malec

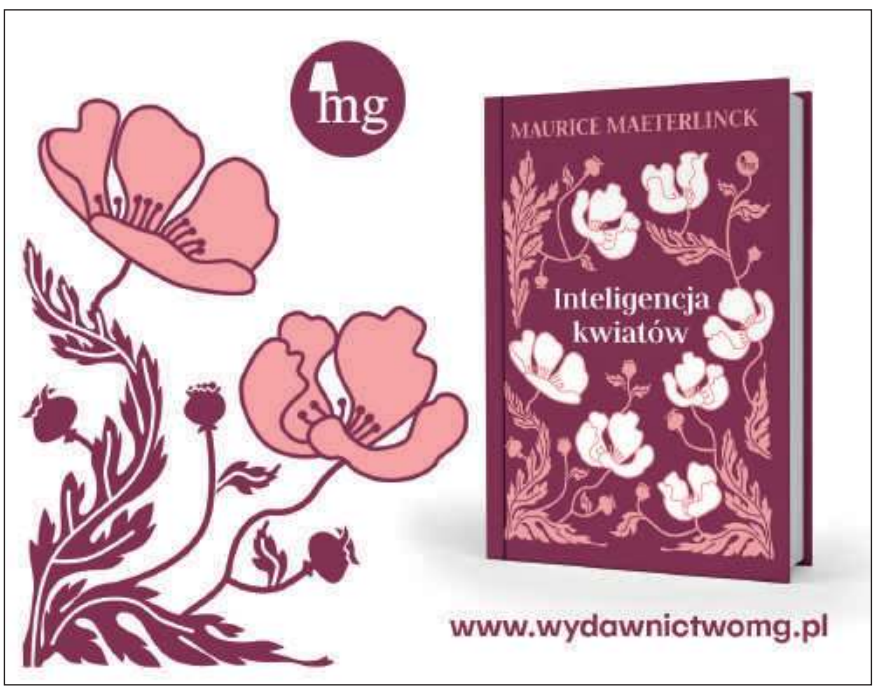

eprasa.pl 4a35c65921

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Trzeźwica

Raczej żłopię, niż popijam, choć pandemia zmieniła moje upodobania – prawie nie uczęszczam już do żłopka, odwykłem od pubów, nie piję na mieście, teraz w domu sobie używam, nie nadużywam, choć zapewne używam nazbyt regularnie. Żona miewa pretensje, jest wrażliwa w temacie, jej dawno zmarła matka przed bez mała ćwierćwieczem wódką wyhodowała sobie raka jelita; była rówieśniczką mojej, która wciąż żyje. Wedle specjalistów każda szkodliwa dawka alkoholu skraca życie o kwadrans.

Żłopię nawykowo raczej niż nałogowo, zdarzają mi się olśniewające okresy całkowitej abstynencji, podczas których upijam się trzeźwością, a raczej wpadam w stan turbodoładowania, tzw. trzeźwicę. Ludzie, którzy od alkoholu stronią, nie znają tego zjawiska, wedle niektórych teoretyków trzeźwość odzyskana, owa psychofizyczna regeneracja organizmu, wychyla wahadło znacznie powyżej normalnej sprawności, przynajmniej na pewien czas; tylko byli degeneraci zaznają w pełni iluminacji, taka to niesprawiedliwość nieomal biblijna, synowie i córy marnotrawne dostają więcej niż dzieci pokorne przez całe życie. Owszem, im głębsza degeneracja, tym bardziej zjawiskowa regeneracja, każdy pijak tak sobie tłumaczy przedłużone ciągi, łatwo jednak przekroczyć granicę samozgnębienia, za którą wahadełko się urywa, drzwi zatrzaskują i powrotu już nie ma. Ci, którym wrócić się udało w ostatniej chwili, przechodzą na trzeźwość permanentną, a jeśli potrafią pisać, czują się w obowiązku dać braci pijackiej pisemną przestrogę.

Niedoścignionym w polskiej literaturze faktu piciorystą był Wiktor Osiatyński, pierwej srogi alkoholik, później nieposkromiony orędownik trzeźwicy, którego trylogia „Rehab", „Litacja" i „Rehabilitacja" to absolutny kanon pisarstwa odwykowego. Te lektury już przerabialiśmy, teraz moja najżońsza milusia (nie tylko po 12 butelkach jałowcówki) podsunęła mi wyłowioną spośród nowości książkę Catherine Gray, autorki bestsellerowej serii „The Unexpected Joy of…". Biorąc pod uwagę radosną twórczość autorki, idealnym tłumaczeniem tej glamourowej historii przechodzenia z piekła do raju byłaby „Radosna trzeźwość". Rzecz zaczyna się od rozdziału pod obiecującym mianem „nawalona w podziemnym światku Soho": Gray jako autorka ekskluzywnych pism plotkarskich miała darmowy wjazd na vipowskie imprezy i na starcie przechwala się, że balowała z wszystkimi gwiazdami brytyjskiego szołbizu. Było grubo, namiętnie realizowano motto zbuntowanych nastolatków: „rzeczywistość jest halucynacją wywołaną brakiem alkoholu". Potem bajka się zmienia wedle znanego i nieuniknionego schematu: smutki, które chciało się utopić w alkoholu, uczą się pływać, cera się pogarsza, ręce drżą, siódme poty zalewają, alkohol nie wymaga towarzystwa, picie trwa od porannego klina po wieczorne misje w brudnym dresie po ostatnią puszkę. Filmy się urywają coraz częściej, autorka pije wszystko i wszędzie, zajmuje się wyprowadzaniem psów, żeby mieć dostęp do barków gospodarzy, kiedy troskliwi rodzice przyjmują ją do domu i odcinają od wódopoju, Gray „jedzie" na miętowym płynie do płukania ust, który też swoje procenty ma.

Smutki, które chciało się utopić w alkoholu, uczą się pływać.

Druga część książki to już uproszczona fenomenologia trzeźwicy. Autorka zauważa jej tytułowe „nieoczekiwane radości", z naciskiem na zmiany fizjologiczne, wszak mamy do czynienia z reporterką „Stylist" i „Cosmopolitan". A to znika oponka, która nie pozwalała nosić krótkich topów, a to cera się poprawia, pijacki trądzik znika, ogorzałe lica zmieniają barwę. Można też mieć wywalone na to, co ludzie powiedzą. Właśnie – taki jest morał – ludzie piją, bo chcą mieć wywalone na to, co ludzie powiedzą, a tymczasem strach zżera dusze pijaków najbardziej. Widzą wszystko płasko, bo trójwymiarowy świat ich zanadto stresuje.

No dobrze, książkę przeczytałem, u Żony zaliczyłem, obiecałem przejście na tryb trzeźwicowy. I tak miałem zamiar, bo znowu spodnie mi się skończyły. Ostatnim razem spadło mi od niepicia 13 kilo w dwa miesiące, wszystko z brzucha i biustu chmielnego, bo od fitoestrogenów piwo robi z faceta grubą babę z brodą. Nagle cała szafa jest pełna staro-nowych spodni i koszul, nieużywanych, od kiedy skurczyły się w praniu. Mózg jak brzytwa, myśli w HD, forma olimpijska – wahadełko strzela do góry. Zapowiada się seria udanych felietonów.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4a35c65921

Hajnówka

Knorydy

Malowane na drewnie

Arkadiusz Andrejkow, mieszkający w Sanoku autor murali i streetartowiec, realizując projekt „Cichy memoriał", upamiętnia w niezwykły sposób przeszłość polskiej wsi. Odwiedzając miasteczka i wioski od Helu po Podkarpacie, artysta przenosi na ściany domów, stodół czy szop postacie mieszkańców uwiecznione na rodzinnych fotografiach.

Fot. www.andrejkow.pl

Krościenko

Kniażyce

eprasa.pl 4a35c65921

Paszowa

Grabówka

Sitawka

Bezmiechowa Górna

Ruda Bugaj

Brelików

eprasa.pl 4a35c65921

Spalony temat kryzysu klimatycznego

Skoro mnie w Kalifornii brakuje dziś wody, to wcale nie oznacza, że ty w Polsce możesz czuć się bezpiecznie

Rozmawia Artur Zaborski

DAVID WALLERSTEIN
– szef rozwoju firmy technologicznej Tencent, producent filmu „Dzień zero" dla stacji BBC Earth, która zajmuje się m.in. kryzysem klimatycznym

Zajmuje się pan tematem kryzysu klimatycznego, który definiuje coraz więcej procesów zachodzących na Ziemi.

– Na świecie zachodzi tyle zmian klimatycznych, że bardzo trudno za tym nadążyć i orientować się, co faktycznie się dzieje. Zacząłem się zajmować tym tematem w 2013 r. Wtedy poświęcano mu niemal wyłącznie publikacje akademickie, które dla przeciętnego czytelnika były przepełnione niezrozumiałymi informacjami i napisane w nieprzystępny, nudny sposób. Zastanawiałem się, jak ktoś, kogo ten temat niespecjalnie zajmuje, ma się przekonać do czegoś tak topornego. Dlatego zacząłem szukać sposobu na przystępne i rzeczowe przedstawienie problemów planety, choćby kryzysu wodnego. Wpadłem na pomysł filmu dokumentalnego, który będzie oparty na nauce i danych, ale opakowany w rozrywkową, łatwo przyswajalną formę. Nauka przez zabawę – tak o tym myślałem, chciałem jednak, żeby to była produkcja na poważnie.

Rokowania specjalistów od kryzysu klimatycznego są porażające: zostało nam maksymalnie kilka dekad dostępu do wody pitnej, a podnosząca się temperatura wywoła radykalne migracje. Trudno chyba to pokazać w rozrywkowej formie.

– Ale można o tym opowiedzieć nie za pomocą wykresów i tabelek, tylko emocji, które nadal silnie oddziałują na widzów i zmuszają do myślenia, a nierzadko nawet pobudzają do działania. Sytuacja wszędzie staje się coraz bardziej dramatyczna. Pochodzę z Kalifornii – rok 2021 jest najsuchszym w historii pomiarów w tym stanie. Sytuacja rosnących tu drzew, krzewów, ale i plantacji jest dramatyczna. Nad dokumentem zacząłem pracować w 2017 r. i wtedy wydawało mi się, że gdy go skończę, będzie traktowany jako sygnał alarmowy, bo przecież nie każdy zetknął się z problemami z wodą. Minęły zaledwie cztery lata i okazuje się, że doświadcza ich cały stan. Pozytywne jest to, że coraz więcej ludzi mówi o tym temacie i jest nim zainteresowanych.

Niestety, ten wzrost jest proporcjonalny do przyrostu ludzi, którzy kryzysowi klimatycznemu zaprzeczają.

– Binarne podejście do tematu jest ogromnym problemem. Przeraża to, że w wielu kwestiach dyskusja nadal toczy się wokół uznawania problemu bądź zaprzeczania mu.

Skąd to się bierze?

– Temat kryzysu klimatycznego pojawił się w debacie publicznej ok. 15 lat temu. I według mnie został spalony, bo osoby zajmujące się tym problemem zbyt szybko chciały podejmować radykalne kroki. „Mamy kryzys klimatyczny, masz przestać jeździć samochodem". „Mamy kryzys klimatyczny, masz nie używać już samolotu". „Mamy kryzys klimatyczny, masz od dzisiaj nie jeść więcej mięsa". „Mamy kryzys klimatyczny, nie możesz mieć dziecka". Nie można wychodzić z oczekiwaniami i nakazami, jeśli nie przedstawi się naukowych argumentów tłumaczących, co się dzieje na świecie. Dopiero kiedy uświadomimy społeczeństwu istnienie problemu, możemy się zająć szukaniem jego rozwiązań. Ale kiedy zaczynamy od tych drugich, rodzi się bunt i sprzeciw, które w 2021 r. mają już na tyle potężne rozmiary, że ich wyznawcy zaprzeczają nauce. Dlatego w „Dniu zero" (kadr z filmu na zdjęciu) najbardziej wystrzegałem się jednej rzeczy: mówienia widzom, co mają zmienić i jak mają zacząć żyć.

To lekarstwo na zaogniający się konflikt dwóch stron?

– Zauważyłem, że ludzie, którzy zaprzeczają zmianom klimatycznym, tak naprawdę boją się, że uznając je, przyczynią się do zablokowania dystrybucji ropy i benzyny i zostaną bez możliwości poruszania się samochodem do pracy albo zostaną zwolnieni z kopalni węgla, a to ich jedyne źródło dochodu. Nie potrafię ich za to oceniać ani tym bardziej winić, bo ich pobudki wydają się logiczne

David Wallerstein – od 2001 r. pracuje w firmie Tencent, jednej z najważniejszych i najbardziej wpływowych firm informatyczno-technologicznych na świecie. Zajmuje się globalną współpracą, ze szczególnym nastawieniem na Chiny.

eprasa.pl 4a35c65921

i uzasadnione. Nikt z nas nie chciałby nagle zmieniać całego swojego życia, bo jest jakiś problem.

Ale nie możemy też czekać na pożar, żeby nieprzekonani się sparzyli i uwierzyli, że płoniemy.

– Dlatego trzeba im uświadomić, że podpałka została już podpalona i mamy dwa wyjścia: albo będziemy tu sobie siedzieć i nic nie robić, tylko czekać na płomienie, albo razem wypracujemy rozwiązania, które uchronią nas przed spaleniem się, ale nie pochłoną też ofiar z naszej społeczności. Pięć lat temu zrobiłem film o wirusach i ryzyku ich globalnego rozprzestrzenienia się. Wtedy nikogo on nie interesował.

Jak to?

– Telewizje nie chciały go emitować, bo przecież lepiej puścić kolejny teleturniej albo *talent show*, a dystrybutorzy kinowi byli przekonani, że nikt na niego nie pójdzie, bo mamy wystarczająco dużo zmartwień w życiu, żeby sobie dokładać kolejne. Niecałe pięć lat później temat wirusa stał się jedynym, o którym mogliśmy słyszeć w mediach tradycyjnych i w dyskusjach w mediach społecznościowych. Teraz powinniśmy sobie zadać pytanie: czy pół dekady temu ludzie nie mieli prawa wiedzieć o zagrożeniach pandemią? Czy nie mamy jako społeczeństwo obowiązku informowania się o tym, co nam zagraża? Czy taka wiedza nie powinna być dystrybuowana bez oglądania się na to, jaki jest jej potencjał komercyjny?

I jaka jest odpowiedź na te pytania?

– Dopóki ludzie nie dowiedzą się, że jest jakiś problem, nie będą mieli motywacji, żeby coś z nim zrobić. To jak z samochodem: po to robisz coroczne przeglądy, żeby mieć pewność, że coś cię zaraz nie zaskoczy. Tak samo jest z planetą – jako jej mieszkańcy mamy prawo wiedzieć, z czym sobie nie radzi, i wspólnymi siłami zająć się poszukiwaniem rozwiązań. Jeśli wiedza nie jest przekazywana, specjalistów proponujących radykalne rozwiązania problemu traktuje się wrogo. A że rozwiązań szuka się często, gdy problem już puka do drzwi, takie podejście wydaje się jedynym rozwiązaniem. Jeśli ludzie nie wiedzą o jakimś problemie, nie mają żadnego powodu szukać jego rozwiązań. Ale jeśli wiedzą, zakładają firmy skupione właśnie na tym, by takie rozwiązania znaleźć.

To wydaje się idealistyczne. Rzeczywiście ludzie inwestowaliby prywatne pieniądze, żeby zbawiać świat?

– Proszę zwrócić uwagę, jak to wyglądało w czasie pandemii. Współpracujący z Pfizerem BioNTech oraz Moderna, które dały nam szczepionki, to przecież start-upy. Zaczęły opracowywać szczepionki na długo, zanim ktokolwiek myślał, że będą nam do czegoś potrzebne. W przeszłości to przecież wcale nie był biznes, który mógł wydawać się intratny. Stoją za tymi koncernami ludzie, którzy na pewnym etapie życia usłyszeli o wirusach. Przyjrzeli się temu tematowi bliżej i postanowili przeciwdziałać zagrożeniom, jakie one wywołują. Dzięki temu w chwili pandemii ich działania wielu z nas uratowały życie. Dlatego jestem zdania, że dawanie ludziom dostępu do wiedzy o problemach świata powinno być naszym obowiązkiem. Tylko w ten sposób możemy kogoś zainteresować zagadnieniem i popchnąć do działania.

Jak to wygląda w przypadku kryzysu klimatycznego? Czy dużo start-upów zajmuje się tematem?

– Podróżowałem po całym świecie, spotykając się z różnymi firmami, które działają na tym polu. Jest kilka, które zajmują się kryzysem wodnym. Zaskoczyło mnie to, jak niewiele udało się tu zrobić. Kiedy jesteś młody, wydaje ci się, że świat jest tak skonstruowany, że zarządzają nim jacyś mądrzy ludzie, którzy ustrzegą nas przed katastrofą. Dopiero kiedy dorastasz, uświadamiasz sobie, jak wielu tematom w ogóle nie poświęca się uwagi. Jest tyle problemów, którymi nikt się nie zajmuje – choćby dostęp do bieżącej wody w niektórych częściach świata, jakby one nie miały znaczenia. Wierzę, że jeśli młodzi naukowcy i przedsiębiorcy zobaczą „Dzień zero", przekonają się, że problem jest na tyle ważki, że trzeba się do niego zabrać, i w ten sposób pomogą zapobiec nadchodzącej katastrofie. Szczególnie że jasno wynika z mojej produkcji, jak niewiele w tej kwestii się robi. Jest więc ogromne pole do popisu.

> Kryzys klimatyczny to problem ludzkości, a nie danego kraju czy regionu.

Tylko że pandemia już z nazwy jest problemem globalnym, a kryzys wodny wydaje się dotyczyć krajów, w których zasoby wody się kończą. Co nas to może obchodzić w Polsce?

– Dlatego moim celem przy robieniu dokumentu było pokazanie, że kryzys klimatyczny to problem nas wszystkich. Świat jest systemem naczyń połączonych i skoro mnie w Kalifornii dziś brakuje wody, to wcale nie oznacza, że ty w Polsce możesz czuć się bezpieczny i ignorować mój

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 4a35c65921

problem. U mnie jest susza, która spowoduje, że u ciebie zaczną się problemy z agrokulturą. Ale nawet jeśli nie jesteś idealistą i nie interesuje cię szukanie rozwiązań dla dobra ludzkości, możesz podejść do sprawy biznesowo.

W jaki sposób?

– Skoro wiesz, że mamy problem z wodą, i przysłuchujesz się ogólnoświatowej dyskusji na temat spalania węgla, czyli procesu wymagającego zużycia ogromnej ilości wody, możesz łatwo dodać dwa do dwóch i przekonać się, że brak wody musi wpłynąć na ten sposób pozyskiwania energii, więc szukanie alternatyw może się okazać bardzo intratne. Możesz jednocześnie ocalić wodę dla agrokultury i zarobić spore pieniądze. Jest tylko jeden warunek: musisz wiedzieć, że taki problem istnieje i jak bardzo jest poważny.

W kwestii kryzysu klimatycznego zbyt szybko chciano podjąć radykalne kroki.

W Polsce ta dyskusja jest akurat bardzo zacięta. Nasz prezydent przekonuje, że mamy węgla do 2050 r. i nie będziemy rezygnować z jego zużycia, co musi skutecznie zniechęcać do szukania i oferowania alternatywnych źródeł energii.

– Temat jest kontrowersyjny także w Stanach, bo z obliczeń wynika, że 40% wody zużywa się w przemyśle i przy pozyskiwaniu energii w tradycyjny sposób. Mówię tu np. o fabrykach, które wykorzystują wodę do schładzania maszyn. Dodatkowy problem w tym, że temat jest coraz bardziej rozgrywany politycznie. Chodzi przecież z jednej strony o mnóstwo miejsc pracy, a z drugiej o wspólną politykę krajów zrzeszonych w Unii Europejskiej. Te wyzwania nie znikną, bo to nie my podejmiemy decyzje, kiedy zaprzestać spalania węgla.

Tylko kto?

– Oczywiście sama natura. Jeśli zabraknie nam wody, siłą rzeczy zostaną też zatrzymane kopalnie. Bez wody nie ma bowiem możliwości wydobywania węgla, a przynajmniej jeszcze jej nie opracowano. W Stanach Zjednoczonych już dochodzi do takich sytuacji, że w okresach najwyższych temperatur, głównie latem, poziom wody jest tak niski albo woda jest tak rozgrzana, że kopalnie są zamykane, bo praca staje się albo niemożliwa, albo na tyle niebezpieczna, że nikt nie chce ryzykować śmierci robotników.

Politycy prawicy w Polsce i tak pewnie powiedzą: to problem Amerykanów, a nie nasz.

– Dlatego musimy robić takie filmy jak „Dzień zero" i docierać z nimi do widzów, żeby mogli się przekonać, że kryzys klimatyczny to problem ludzkości, a nie danego kraju czy regionu. Tylko takie pobudzanie świadomości może nas ocalić przed demagogiami, przed fałszami polityków i przed ludźmi rozprzestrzeniającymi fake newsy, którzy negują kryzys klimatyczny. Dostęp do wiedzy przysługuje każdemu i naszym obowiązkiem jest go gwarantować. Dlatego sam próbuję to robić.

Artur Zaborski

eprasa.pl 4a35c65921

Ale niesmak pozostanie

Były wiceminister i minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski określił *chargé d'affaires* USA w Polsce, pana Bixa Aliu, mianem „oszołoma". I nieważne, czy zrobił to wczesnym rankiem w pomroczności jasnej, chorobie filipińskiej w PR 24, czy też w TOK FM, gdy cierpiał na polineuropatię. Tak czy inaczej tego rodzaju język go dyskwalifikuje. Żegnaj, Witoldzie…

WW, zwany tak w gmachu, był wiceministrem przez pięć lat w rządach Marcinkiewicza, Kaczyńskiego i Tuska. Po 2015 r. dwa lata był ministrem u Szydło. W latach 80., jako student Uniwersytetu Łódzkiego, działał w SPONZ, czyli Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ, które stało się początkiem kariery wielu dyplomatów PRL-owskich. Do MSZ trafił na początku lat 90. Ponieważ chciał specjalizować się w polityce bezpieczeństwa, wyjechał na roczne studia do Geneva Centre for Security Policy. Potem był naczelnikiem wydziału NATO w Departamencie Instytucji Europejskich. W połowie lat 90. był to ogromny departament, w którym zajmowano się UE, NATO, OBWE, Grupą Wyszehradzką, CEFTA, a nawet Inicjatywą Środkowoeuropejską. Dawał wówczas się poznać jako dobry kolega, chętnie przekazujący wiedzę innym. Dogadywał się też (wtedy!) ze swoim szefem Andrzejem Towpikiem, wybitnym znawcą dyplomacji wielostronnej.

Gorzej było, gdy został zastępcą Towpika w ambasadzie przy NATO w Brukseli. Rył pod nim tak, że Amerykanie poprosili ministra Geremka o zapobieżenie konfliktowi, który niebezpiecznie się rozlewał. Geremek zawnioskował więc o wysłanie WW na ambasadora do Teheranu. Tam poznał Barbarę Ćwioro, młodą stażystkę, która przy jego boku zrobiła świetną karierę.

W Teheranie, po wizycie oficjalnej, minister Bartoszewski wywróżył WW dużą karierę, ale nie dyplomatyczną, lecz polityczną. To się spełniło, po tym jak minister Sikorski był zmuszony go odwołać za ignorowanie instrukcji podczas negocjacji z USA na temat tarczy antyrakietowej. A potem już poszło: poseł do Sejmu z list PiS, minister spraw zagranicznych, europoseł PiS. Wydawałoby się, że ma wiedzę i *cojones*, by wytłumaczyć prezesowi czy innym dysponentom polityki zagranicznej Polski bezsens ich zachowania wobec USA. Szczególnie jako znawca polityki bezpieczeństwa na świecie i znawca administracji demokratów. Wpisał się jednak w partyjną narrację. Zdaniem WW „koncesja dla TVN 24 to nie jest przejaw braku praworządności, ale próba wyjaśnienia sytuacji z punktu widzenia prawa europejskiego. Trzeba zejść z tego histerycznego tonu i w sposób rzeczowy rozmawiać z Amerykanami. On (Bix Aliu) publicznie opowiada, że jego misją jest walka o prawa mniejszości, bo sam wywodzi się z mniejszości. Ingerowanie w tak otwarty sposób w politykę kraju, w którym jest gościem, to łamanie konwencji wiedeńskiej o dyplomacji z 1961 r.".

Witek, przecież mówisz jak *czynownik* Łukaszenki czy Alijewa! Swoją drogą ciekawe, jakie tłumaczenie rzeczownika oszołom zastosowała ambasada USA w Warszawie: *freak*, *eccentric*, *lunatic*, *nut*? Nam najbardziej pasuje *crackpot*.

Pewien ambasador zadzwonił po bardzo udanej kolacji do swojego kolegi, by mu podziękować. Usłyszał, że po owej kolacji gospodarze nie mogli się doliczyć dwóch srebrnych łyżeczek. Gdy się znalazły, odetchnęli z ulgą. Ale gospodarz zakończył: „Wiesz, znalazły się, ale niesmak pozostał".

Attaché

Groby ofiar koronawirusa na cmentarzu Rorotan w Dżakarcie.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4a35c65921

JOLKA

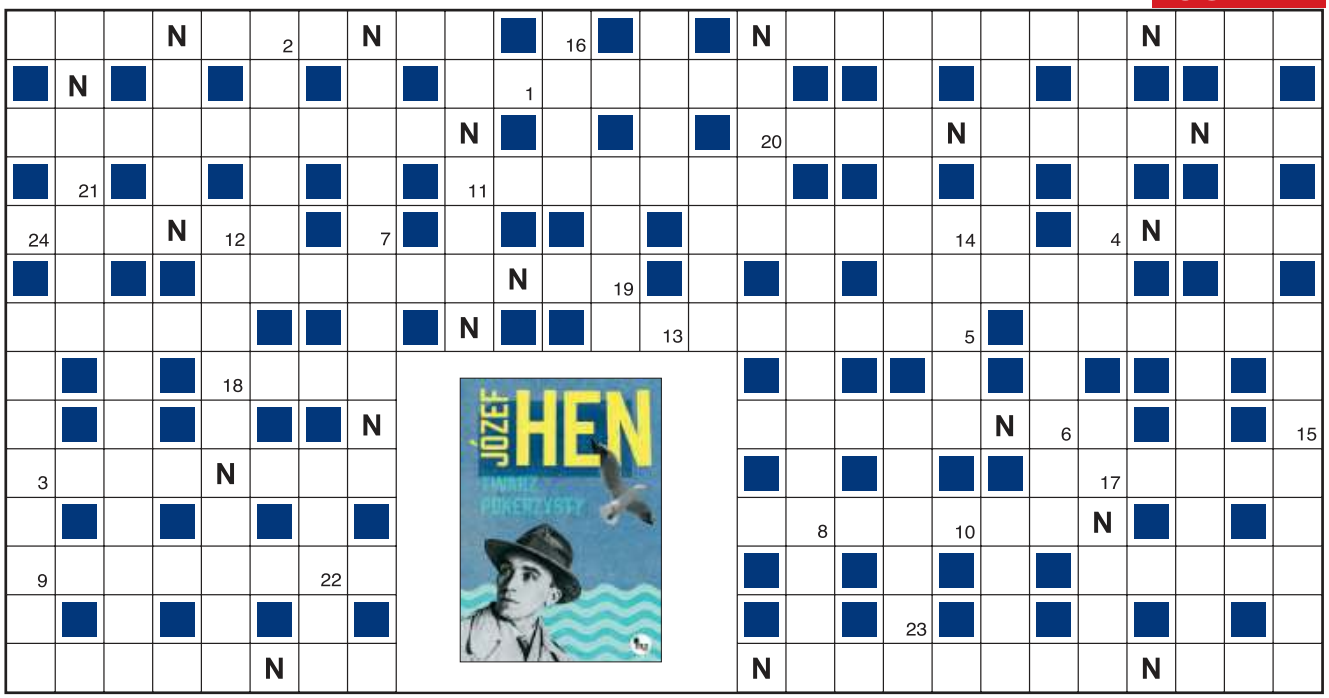

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- wywodzi się ze starojapońskich wojennych sztuk walki
- wszczyna burdy
- w „Przedwiośniu" wieś w pobliżu Nawłoci
- cyrkumfleks nad literą
- „Pieśń o Rolandzie" to …rycerski
- impreza artystyczna połączona z konkursem
- Sowie lub Stołowe
- wyobraźnia, fantazja
- Indianin i fryzura
- w darze ze złotem i mirrą
- słodki napój i powieść Jorge Amado
- w tym stanie na farmie mieszkała Dorotka
- dietetyczna potrawa z kaszy lub ryżu
- Polski… Naftowy Orlen
- i resztka, i sztuka Samuela Becketta
- makaron w formie krótkich pasków
- maleńkie władztwo, rozmiarów np. Monako
- konkurs z pytaniami
- trochę słownik, trochę encyklopedia
- drobniutki węgiel
- maszyna rolnicza do oddzielania ziaren od kłosów, kolb
- wysłała list, paczkę
- niezauważalność, znikomość
- siedziba powiatu niżańskiego
- ona w domu i w zagrodzie
- pończochowe włókno syntetyczne
- skórki z warzyw lub owoców
- imię lub unijny urząd ds. nadużyć finansowych
- futerał na pistolet przy siodle
- jej hodowca pytał Tuska: „Jak żyć?!"
- wieko, klapa na zawiasach
- elektryczny lub Zatokowy
- komedia Gogola ze „sceną niemą"
- annały
- bohater rosyjskich bylin, grał Królowi Morskiemu
- gradacja
- miasto, gdzie Wda uchodzi do Wisły
- pajęczyca z „Pszczółki Mai"
- homogenizowany lub grani
- koralowiec jak kielich z wypustkami
- muza astronomii
- zaleta, pozytywna cecha
- cukier jako związek organiczny
- i pomieszczenie, i psychika
- element podtrzymujący
- rodzaj gry z użyciem piłki
- olimpijski już zgasł
- przeciętność, codzienność
- jedyny… rodziny

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1026". Do rozlosowania książki „Twarz pokerzysty" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 sierpnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1023" z nr. 31: *Dobrze czyń, ale wiedz komu.* Nagrody otrzymują: Jan Biernacki z Warszawy, Krystyna Czopik z Jarosławia, Anna Krzysztoszek z Warszawy.

eprasa.pl 4a35c65921

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA, KOMENTATOR

Ruchy antyszczepionkowe i systemowe łamanie praworządności w Polsce mają ze sobą punkty styczne. Są nimi brak kultury, nieuctwo, buta, brak szacunku do prawa (bo czymże jest łamanie umów międzynarodowych?) i lekceważenie Konstytucji RP. O szczepionkach najgłośniej krzyczą nie ich zwolennicy, ale ich przeciwnicy! Wulgarni ignoranci, czerpiący swoje puste przekonania z internetu, czyli z niczego. A kim są antyszczepionkowcy? Są klonami rządzących polityków, takich samych jak oni nieuków, arogantów i hipokrytów.

Monde diplomatique

IAN URBINA, DZIENNIKARZ

Gambia to najbardziej krzyczący przykład nowego kolonializmu. Jego celem jest zawłaszczenie zasobów morskich krajów Afryki Zachodniej. Flotylle wielkich statków pustoszą je tylko po to, żeby przerobić swoją zdobycz na mączkę rybną dla akwakultur w Chinach i Europie. Eksportowane do Stanów Zjednoczonych, Europy i Azji to nowe złoto w proszku służy za białkowy dodatek dla prężnie rozwijającego się przemysłu akwakulturowego. Afryka Zachodnia jest najszybciej rozwijającym się producentem na tym niszowym rynku. Na wybrzeżach Mauretanii, Senegalu, Gambii i Gwinei Bissau działa przeszło 50 zakładów przetwórczych. Masa warzonych i rozdrabnianych w tych zakładach ryb jest niewyobrażalna: 7,5 tys. ton rocznie w jednym zakładzie w Gambii.

PANI

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI, NAUKOWIEC I PISARZ

Najpierw znalazłem psychoterapeutkę, która była psychiatrą. Ta bardzo mądra Niemka wpadła na pomysł, żebym codziennie wieczorem pisał o emocjach, które przeżyłem w ciągu dnia. Bo jak piszemy o emocjach, to się nad nimi pochylamy i jeszcze raz je analizujemy. Kazała mi pisać po polsku, wcale nie chciała tego czytać. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby rozbić swoje emocje na różne postaci, i tak zaczęła się „S@motność w sieci". Od napisania tej książki zaczął się mój powrót do zdrowia. Trwało to kilka lat. Dopiero wtedy przestałem mieć objawy depresji. Zapłaciłem jednak za to rozpadem rodziny.

Twój STYL

ANNA DERESZOWSKA, AKTORKA

Im jestem starsza, tym bardziej doceniam, jakie to ważne mieć kogoś, kto cię rozumie, zna twoją historię, wie, skąd się biorą twoje troski, niepokoje i radości. Moja patchworkowa rodzina rozpierzchła się po świecie. Brat mieszka w Belgii, tata i macoszka pod Bielskiem, przyrodnia siostra i pierwsza macoszka w Bieszczadach, druga siostra w Krakowie. Dotąd spotykaliśmy się w Jaworzu, u taty i Gabrysi, jego trzeciej żony. Dom na Mazurach też będzie miejscem dla całej rodziny.

Tygrys syberyjski chłodzi się w... basenie w kopenhaskim zoo.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

Aby język giętki…

JAN KLATA O DYSTANSIE

Bardzo skrócił się dystans między oświeconą pruderią liberalnej lewicy a ciemnogrodem Jędraszewskiego.

JERZY URBAN O MICHAELU SCHUDRICHU

Miał dosyć czasu, żeby nauczyć się poprawnej polszczyzny. Jednak straszliwie żydłaczy, urągając polskości.

MAREK SAWICKI O UWIKŁANIU POLITYKÓW

Sam Morawiecki jest uwikłany, bo do dziś nie znamy stanu jego majątku, który ukrył, przepisując pieniądze na żonę.

PROF. JERZY HAUSNER O POLITYCE GOSPODARCZEJ

Szczerze powiedziawszy, nie wiadomo aktualnie, kto personalnie odpowiada za całość polityki gospodarczej.

SUSANA OSORIO-MROŻEK O MĘŻU SŁAWOMIRZE

Kiedy czuł się zagrożony, zaatakowany lub zmanipulowany, reagował z zaciętą furią, która mogła przerażać.

JANUSZ CHABIOR O ŻONIE AGACIE

Nauczyłem się słuchać, co mówi, czego chce. Bo co jest ważniejsze – racja czy relacja?

ROBERT GONERA O CZEKANIU

Chciałbym jeszcze coś fajnego zrobić w filmie fabularnym. Czekam. Może to jeszcze przede mną.

ŁUKASZ SIMLAT O JANIE HOLOUBKU

Jest bardzo spostrzegawczy i świetnie, niuansowo prowadzi aktorów.

KATARZYNA ŻAK O SPOTKANIACH Z WODĄ

Najbardziej lubię wypłynąć na środek jeziora kajakiem, łódką, położyć się i poddać kołysaniu fal.

IZABELA KUNA O SNACH

Zapisuję sny. Te najbarwniejsze, przerażające albo znaczące.

ANNA GUZIK O STRESIE

Oddycham głęboko, klnę w myślach, a kiedy granica jest już przekroczona, wtedy słychać mój ryk.

eprasa.pl 4a35c65921

Zapach znajomy ten

IKEA wypuściła limitowaną serię świeczek pachnących jak… klopsiki HUVUDROLL. – To pyszne i niedrogie danie jest dla wielu osób pierwszym, co przychodzi im do głowy na dźwięk nazwy IKEA. Nie ma innej sieci sklepów meblowych z tak popularną częścią gastronomiczną. Na urodziny jej programu lojalnościowego chcieliśmy zrobić coś szokującego dla fanów klopsików – wyznał Sho Matsuzaki, dyrektor kreatywny agencji Ogilvy, która stoi za projektem. Niestety, jest haczyk: na razie aromatyczny produkt dostępny jest wyłącznie w USA. No to klops…

W lewo zwrot?

Rewolucyjne zmiany zaszły w brytyjskich oraz indonezyjskich siłach zbrojnych. Te pierwsze zarzuciły zasadę, że żołnierki muszą mieć włosy krótkie lub spięte w kok – teraz będą mogły także nosić kucyki oraz różnego typu warkocze i warkoczyki. Jak wyjaśnił dowódca RAF, marsz. Michael Wigston, nowa polityka ma na celu lepsze odzwierciedlenie współczesnego społeczeństwa Wysp. Z kolei szef indonezyjskiego sztabu generalnego Andik Perkas poinformował, że po 50 latach armia rezygnuje ze sprawdzania dziewictwa kobiet pragnących wstąpić w jej szeregi. Wykonywanie testu wojsko tłumaczyło troską o ewentualne małżeństwa zawierane pomiędzy odbywającymi służbę. Jeśli postęp w świecie oręża będzie dalej tak pędził, może doczekamy się nawet zakazu strzelania do ludzi?

Znowu to zrobiła

W jednym z amerykańskich muzeów „Titanica" doszło do wypadku z udziałem, a jakże, góry lodowej. W Titanic Museum Attraction w Pigeon Forge w Tennessee fragmenty

ściany z lodu odłamały się i spadły na zwiedzających. Po incydencie placówka, w której można podziwiać ponad 400 zabytków ze słynnego transatlantyku oraz jedną z największych na świecie jego replik, została na krótko zamknięta, szybko jednak ponownie otworzyła podwoje i rozpoczęła prace nad odtworzeniem „góry". Nie brzmi to rozsądnie – ten lodowiec wydaje się niereformowalny.

Ostatnia wieczerza pod lupą

Duńscy naukowcy ustalili, że ostatnim posiłkiem słynnego Człowieka z Tollund, który zakończył życie 2,4 tys. lat temu, była owsianka. Mężczyzna, którego zwłoki świetnie zakonserwowały się w torfowisku na Półwyspie Jutlandzkim, w ostatnich godzinach życia spałaszował danie, które składało się z jęczmienia, wierzbownicy bladoróżowej oraz lnu z domieszką nasion chwastów, zapewne użytych jako przyprawa. Badacze ogłosili ponadto, że ostatnia owsianka denata, prawdopodobnie złożonego bogom w ofierze, była nieco przypalona. A my czasem narzekamy, że mieliśmy zły dzień…

Chińska młodzież śpiewa (pro)chińskie piosenki

W Chinach resort kultury i turystyki tworzy listę utworów, których od 1 października nie będzie można śpiewać w barach karaoke. Na indeks trafią te, które zdaniem władz zagrażają integralności terytorialnej imperium lub

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 4a35c65921

Współczesna Roszpunka – 37-letnia ukraińska prawniczka Ałła Perkowa nigdy nie obcięła włosów. Przerosły właścicielkę już o prawie 3 cm.

są sprzeczne z jego polityką religijną, ale też takie, które zachęcają do hazardu lub zażywania narkotyków bądź propagują przesądy. Za porządek w bazach piosenek będą odpowiedzialni ich dostawcy, których zachęcono do udostępniania barom muzyki „zdrowej i podnoszącej na duchu". To może być ten moment, kiedy „Szła dzieweczka do laseczka" wreszcie zdobędzie w Azji popularność, na jaką zasłużyła!

Ćma nie człowiek

Do porządków wzięło się także Amerykańskie Towarzystwo Entomologiczne, co zaowocowało m.in. rezygnacją ze stosowania nazwy ćma cygańska. Zdaniem organizacji takie określenie motyla, znanego w Polsce jako brudnica nieparka, jest obraźliwe dla Romów. Do lamusa odesłano także inny termin, mianowicie mrówkę cygańską. Margareta Matache, dyrektorka Programu Romskiego Centrum Zdrowia i Praw Człowieka Uniwersytetu Harvarda, nazwała te decyzje historycznymi i wyraziła nadzieję, że to dopiero początek szerszych zmian. – Jesteśmy ludźmi i chcemy, aby inni dostrzegali nasze człowieczeństwo, kulturę i historię – powiedziała. Miło, że entomologom to nie lata!

FOT. PIC NA WODĘ, FOTOMONTAŻ (3), MEDIADRUMWORLD/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 4a35c65921

Julia Curyło
Kosmogonie

Wielkoformatowe obrazy Julii Curyło utrzymane są w estetyce realizmu magicznego. Wyobrażone na nich sceny to refleksje nad prapoczątkiem wszechświata i próba przedstawienia jego nowej wizji. Artystka tworzy własną kosmogonię, zastanawia się nad miejscem człowieka i naszej cywilizacji w bezkresie kosmosu, pokazuje sprzeczności, ograniczenia i absurdy dzisiejszego świata. Niegdyś religia tłumaczyła niezwykłe zjawiska, teraz to nauka udziela odpowiedzi na temat pochodzenia świata – wątki biblijne, tłumaczące naszą rolę we wszechświecie, Julia Curyło zderza z osiągnięciami astronautyki i astrofizyki.

Muzeum im. Bolesława Biegasa
Warszawia, Al. Jerozolimskie 51
od 17 sierpnia do 3 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

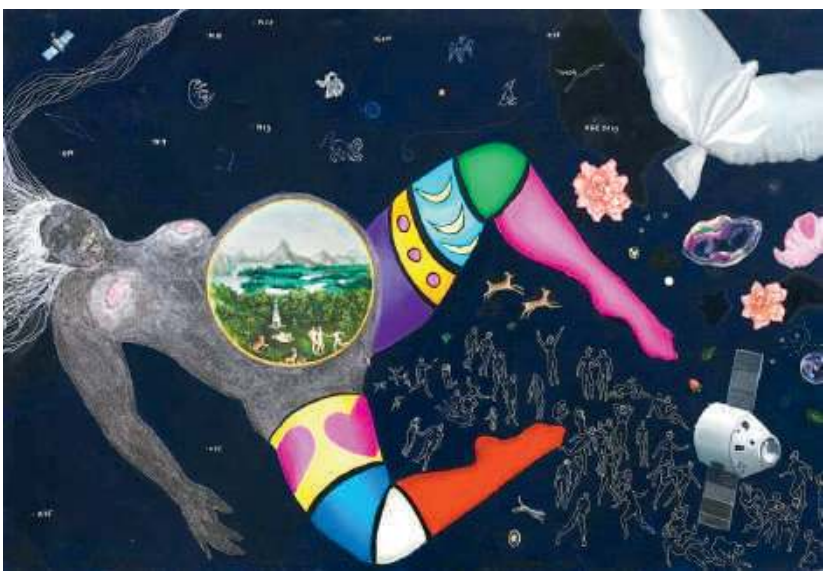

eprasa.pl 4a35c65921

10 LAT AURORA

W ROLI GŁÓWNEJ AGNIESZKA GROCHOWSKA

Marthe KELLER · André JUNG · Birgit MINICHMAYR · Jacob MATSCHENZ · Anatole TAUBMAN · Cezary PAZURA · Agata RZESZEWSKA

KOMEDIODRAMAT...
o idealnej rodzinie, w której nic nie jest idealne...
o miłości, prawdziwej i udawanej...

Moja cudowna Wanda

reżyseria Bettina Oberli

W KINACH OD 13 SIERPNIA

SWISS FILMS

eprasa.pl 4a35c65921

STODOLA more than live music | KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

ASAF AVIDAN

ANAGNORISIS BAND TOUR

7.04.2022

KRAKÓW

KLUB KWADRAT

9.04.2022

WARSZAWA

KLUB PROXIMA

WWW.ASAFAVIDANMUSIC.COM

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL